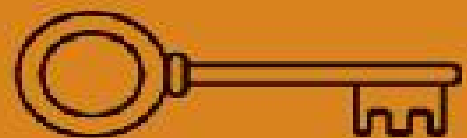
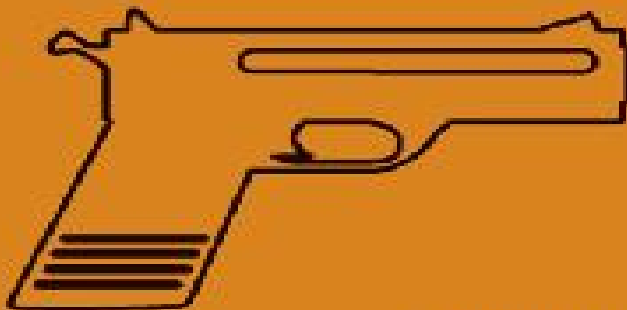
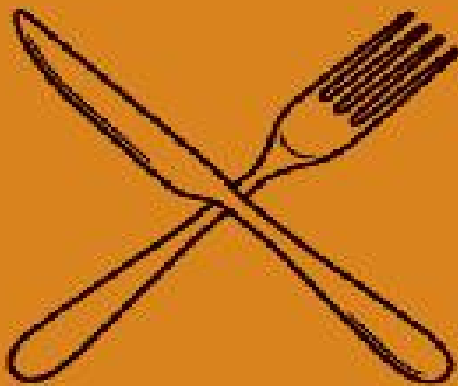


Sycylia komisarza Montalbano

ANDREA
CAMILLERI
Uśmiech Angeliki

„Albo już kochasz książki Andrei Camilleriego,
albo jeszcze ich nie czytałeś”

New York Times



NOIR SUR BLANC

ANDREA CAMILLERI

UŚMIECH
ANGELIKI

Przełożył
Maciej A. Brzozowski

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Nota

Inne książki Andrei Camilleriego

Przypisy

Tytuł oryginału: IL SORRISO DI ANGELICA

Opracowanie redakcyjne: OLGA KLECEL

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, MARTA MROZOWSKA

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2020 Sellerio Editore, Palermo
For the Polish edition
Copyright © 2020, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-699-8

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Obudził się nagle i usiadł z szeroko otwartymi oczami. Usłyszał w sypialni jakiś głos, teraz panowała cisza. Był w domu sam, więc bardzo się zaniepokoił.

Jednak po chwili zachciało mu się śmiać, bo przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru do Marinelli bez zapowiedzi przyjechała Livia. Chciała zrobić mu niespodziankę, która przynajmniej na początku okazała się przemiła. A teraz Livia smacznie spała obok niego.

Przez okno wpadał promyk bladego światła wczesnego poranka. Zamknął oczy, nie spojrzawszy nawet na zegarek. Miał nadzieję, że pośpi jeszcze parę godzin.

Ale po chwili poderwał się, szeroko otwierając oczy. Do głowy przyszła mu pewna myśl.

Jeśli rzeczywiście ktoś coś powiedział w tym pokoju, to musiała to być Livia. A skoro spała, to znaczy, że mówiła przez sen.

Przedtem nigdy jej się to nie zdarzało, może zresztą coś tam i mówiła, ale nie tak głośno, żeby go obudzić.

Jeśli nadal przebywa w tej fazie snu, to przecież może powiedzieć coś więcej.

No nie, takiej okazji nie można było stracić.

Jeśli ktoś zaczyna mówić przez sen, to z pewnością ma do powiedzenia całą prawdę, którą skrywa gdzieś w sobie. Chyba nigdzie nie czytał, że przez sen można kłamać czy coś kręcić, bo przecież osoba śpiąca jest bezbronna i niewinna jak dziecko.

Nie może sobie pozwolić, żeby uronić choć słowo z tego, co powie Livia. To ważne z dwóch powodów. Jeden to taki, że mężczyzna może żyć z kobietą choćby i sto lat, spać z nią, mieć z nią dzieci, oddychać tym samym powietrzem, a potem nagle się przekonać, że nic o tej kobiecie nie wie.

Drugi podyktowały wymogi chwili.

Po cichu wstał z łóżka i wyjrzał przez szpary żaluzji na zewnątrz. Dzień zapowiadał się pogodny, bezwietrzny i bezchmurny.

Potem podszedł do łóżka od strony Livii, wziął krzesło i usiadł u jej wezgłowia, jakby miał czuwać przy zmarłym.

Poprzedniego wieczoru Livia, i to był ten szczególnie powód, urządziła mu piekielną scenę zazdrości, psując całą radość, jaką sprawiła swoim przyjazdem do Marinelli.

A było to tak.

Zadzwoił telefon, Livia poszła odebrać.

Powiedziała tylko „słucham”, a żeński głos po drugiej stronie kabla odpowiedział:

– Przepraszam, pomyliłam się.

I połączenie zostało przerwane.

Wtedy Livia od razu się wkurzyła, że to na pewno była jakaś jego flama, że na pewno byli na dzisiaj umówieni i że tamta odłożyła słuchawkę, słysząc, że ona, Livia, jest w domu.

– Przeszkodziłam wam, co? Gdy kota nie ma, myszy harczą! Co z oczu, to i z serca!

Nie było sposobu, żeby zmieniła zdanie, cały wieczór skończył się żałością, ponieważ Montalbano wpadł w szal, bardziej zirytowany wypowiedzianymi przez Livię komunałami niż jej podejrzeniami.

A teraz czekał, aż Livii wymknie się coś głupiego, co pozwoli mu na godny rewanż.

Naszła go ochota na papierosa, ale wytrzymał. Po pierwsze dlatego, że jeśli Livia otworzyłaby oczy i zobaczyła, jak pali w sypialni, rozpętałoby się piekło. A po drugie, bał się, że dym mógłby ją obudzić.

Po dwóch godzinach dostał nagle bolesnego skurczu w lewej łydce.

Wstał i zaczął kołysać się na nogach, żeby skurcz przeszedł jak najszybciej, i z całej siły uderzył bosą stopą w drewniany bok łóżka.

Poczuł silny ból, ale na szczęście powstrzymał potok przekleństw, które już wymykały mu się z ust.

Uderzenie w łóżko spowodowało jednak, że Livia westchnęła, uspokoiła się trochę i przemówiła przez sen.

– Nie, Carlo, z tyłu nie.

Montalbano o mało nie spadł z krzesła. No pięknie, kto by się spodziewał!

Jemu wystarczyłyby nawet dwa oderwane słowa, minimum, na którym zbudowałyby fortecę oskarżeń, po jezuicku pozbawionych podstaw.

Ale, do jasnej cholery, Livia wydusiła z siebie całe logiczne zdanie!

Zupełnie, jakby wcale nie spała.

I to zdanie, które tyle dawało do myślenia.

A przecież nigdy nie mówiła mu o żadnym Carlu. Dlaczego?

Skoro nie mówiła, to musiała mieć ku temu jakiś powód.

No i czego ona nie chciała, żeby jej Carlo robił z tyłu?

Czyli że z przodu tak, ale już z tyłu to nie?

Oblał go zimny pot.

Chciał obudzić Livię, potrząsnąć nią, spojrzeć wychodzącymi z orbit oczami i zapytać bandyckim głosem:

– Kim jest Carlo? To twój kochanek?

Livia była jednak kobietą.

Czyli mogła wszystkiemu zaprzeczyć, nawet jeszcze zaspana. Nie, to byłby zły ruch.

Lepiej poczekać i wyciągnąć to w bardziej odpowiedniej chwili.

Ale jaka chwila mogła być odpowiednia?

Zresztą trzeba by mieć na to czas, nie można tak od razu zmierzyć się z tą sprawą. Livia zajęłaby pozycję obronną. Nie, to trzeba jakoś inaczej wybadać, nie wzbudzając w niej podejrzeń.

Postanowił pójść pod prysznic.

O zaśnięciu nie było już mowy.

Pił właśnie pierwszą poranną kawę, kiedy zadzwonił telefon.

Była już ósma. Nie miał nastroju do rozmowy o jakichś tam morderstwach. Co najwyżej sam chętnie by kogoś zabił, gdyby tylko nadarzyła mu się okazja.

Najchętniej kogoś o imieniu Carlo.

Przeczucie go nie myliło, to był Catarella.

– Spał pan komisarz może jakby?

- Już nie, co się stało?
 - Stała się kradzież, panie komisarzu.
 - Kradzież? To dlaczego akurat mnie zawracasz tym głowę?
 - Upraszam o wybaczenie i zrozumienie, panie komisarzu, ale...
 - Wiesz, gdzie mam zrozumienie? Dzwon natychmiast do Augella!
- Catarella był bliski płaczu.

– Właśnie chciałem to panu powiedzieć, proszę wybaczyć, ale tenże Augello od rana jest zwolniony.

Montalbano osłupiał. Przecież nawet służącej nie można zwolnić tak od razu!

- Ale kto go zwolnił?
- Pan komisarz w osobie własnej, wczoraj, po obiedzie.

Montalbano przypomniał sobie.

- Catarella, ale on poszedł na zwolnienie, a nie został zwolniony!

– No przecież tak powiedziałem.

– Fazio też zwolniony?

– No właśnie miałem to powiedzieć. Na targu była jakaś bójka i tenże Fazio jest na miejscu. Ale na miejscu bójki.

Nie było rady, musiał się tym zająć.

– No dobra, zgłaszający tam jest?

Catarella zamilkł na chwilę, po czym zapytał:

– Tam? To znaczy gdzie, panie komisarzu?

– W komisariacie, a gdzie niby indziej?

– Ale skąd ja mam niby wiedzieć, co znaczy to „tam”?

– No to jest czy nie?

– Kto?

– Zgłaszający!

Catarella zamilkł.

– Jesteś tam?

Catarella nie odpowiedział.

Montalbano pomyślał, że przerwano połączenie.

Ogarnęło go wielkie, kosmiczne, irracjonalne przerażenie, jak zawsze w takich przypadkach. Strach, że został jedyną żyjącą osobą na całym

bożym świecie.

Zaczął wydzierać się jak szalony.

– Halo? Halo!

– Jestem, panie komisarzu.

– To dlaczego się nie odzywasz?

– Pan komisarz nie obrazi się, jeśli powiem, że nie wiem, co to ten zgłaszający?

Tylko spokój i cierpliwość, Montalbano.

– To znaczy ten, którego okradziono.

– A, ten! Ale on się nie nazywa zgłaszający, tylko Piritone.

Czyli, w miejscowym dialekcie, głośne pierdnięcie. Czy to możliwe?

– Na pewno nazywa się Piritone?

– Rękę sobie dam uciąć, komisarzu. Piritone Carlo.

Zduślił w sobie krzyk, dwóch mężczyzn o imieniu Carlo tego samego ranka trudno już było wytrzymać.

Czuł, że teraz nienawidzi wszystkich Carlo na całym świecie.

– Pan Piritone jest na komisariacie?

– Nie, dzwonił do nas. Mieszka na ulicy Cavour, pod trzynastką.

– Zadzwoń do niego i powiedz, że już jadę.

Livii nie obudził ani dzwonek telefonu, ani jego krzyki.

Tylko lekko uśmiechała się przez sen.

Może tej idiotce nadal śnił się Carlo.

Ogarnęła go straszna złość.

Podniósł krzesło i cisnął nim o podłogę.

Przeżona Livia natychmiast się obudziła.

– Co się stało?

– Nic, przepraszam. Muszę wyjść. Wrócę na obiad. Pa.

Wyleciał z domu, żeby uniknąć kłótni.

Ulica Cavour znajdowała się w dzielnicy zamieszkannej przez bogatych mieszkańców Vigaty.

Domy zaprojektował architekt, który zasłużył tym sobie co najmniej na dożywocie. Jeden budynek przypominał hiszpański galeon z czasów

piratów, a sąsiedni jak nic czerpał inspirację z Panteonu.

Zaparkował pod domem z numerem trzynaście, przypominającym piramidę Mykerinosa. Wysiadł i poszedł w lewo, do przeszklonej portierni.

– Na którym piętrze mieszka pan Piritone? – zapytał portiera.

Portier, wysoki i potężnie zbudowany pięćdziesięciolatek, po którym widać było, że chodzi na siłownię, odłożył czytana właśnie gazetę, zdjął okulary, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– Nie musi się pan fatygować – powiedział Montalbano. – Muszę tylko...

– Musisz tylko dostać po pysku – powiedział portier, podnosząc zaciśniętą w pięść dłoń.

Montalbano osłupiał i cofnął się o krok.

Co go napadło?

– Chwileczkę, chyba zaszło jakieś nieporozumienie, szukam pana Piritone i jestem...

– Spadaj i to szybko, radzę posłuchać.

Montalbano stracił cierpliwość.

– Do jasnej cholery, jestem komisarz Montalbano!

Skonfundowany portier zawahał się chwilę.

– Naprawdę?

– Chce pan zobaczyć legitymację?

Portier zrobił się purpurowy.

– Matko święta, no rzeczywiście, teraz pana poznałem! Proszę mi wybaczyć, myślałem, że to jakieś jaja. No bo tu nie mieszka żaden Piritone.

Oczywiście, jak zwykle, Catarella podał mu błędne nazwisko.

– To może mieszka tu ktoś o podobnym nazwisku?

– Pan Peritore.

– Może to i on, które piętro?

– Drugie.

Portier odprowadził komisarza do windy, przepaszając i gnąc się w ukłonach.

Montalbano pomyślał, że to ciągle przekręcanie nazwisk przez Catarellę może spowodować, że ktoś bardziej nerwowo zacznie strzelać.

Elegancki, szczupły czterdziestoletni blondyn w okularach, który otworzył mu drzwi, nie wyglądał, wbrew oczekiwaniom komisarza, antypatycznie.

– Dzień dobry, jestem Montalbano.

– Proszę wejść, komisarzu, zapraszam. Zawiadomiono mnie o pańskiej wizycie. Oczywiście w mieszkaniu jest bałagan, nie chcieliśmy z żoną niczego dotykać.

– Chciałem rzucić okiem.

Sypialnia, jadalnia, pokój gościnny, salon, gabinet, kuchnia i dwie łazienki. Wszystko powywracane do góry nogami.

Zawartość szaf i szafek powyrzucano na podłogę, opróżniono bibliotekę i powysuwano szuflady biurka i komód.

Złodzieje i policjanci mieli ten sam styl przeszukiwania mieszkań. Trzęsienie ziemi z pewnością nie spowodowałoby takiego straszego bałaganu.

W kuchni stała niska trzydziestoletnia kobieta, także blondynka, ładna i sympatyczna.

– Moja żona Caterina.

– Napije się pan kawy?

– Chętnie – odpowiedział komisarz.

W kuchni panował najmniejszy bałagan.

– Może lepiej porozmawiajmy tutaj – powiedział Montalbano, siadając na krześle.

Peritore zrobił to samo.

– Wydaje mi się, że drzwi wejściowe nie zostały wyłamane – ciągnął komisarz. – Weszli przez okno?

– Nie, mieli nasze klucze – powiedział Peritore.

Wsadził rękę do kieszeni, wyjął pęk kluczy i położył go na stoliku.

– Zostawili je przy wejściu.

– Chwileczkę, czyli nie było państwa w domu w chwili kradzieży?

– Nie, wczoraj wieczorem pojechaliśmy do naszego domu nad morzem, w Punta Piccola.

- No to jak tu weszliście, skoro złodzieje mieli wasze klucze?
- Portier ma zawsze zapasowy komplet.
- Proszę wybaczyć, ale nadal nie rozumiem. Skąd zatem złodzieje wzięli wasze klucze?
- Z domu nad morzem.
- Ukradli je, kiedy spaliście?
- Tak.
- A stamtąd niczego nie wzięli?
- Oczywiście, że tak.
- Czyli mamy dwie kradzieże?
- Tak jest.
- Proszę wybaczyć, komisarzu – powiedziała żona, podając mu kawę. – Może lepiej ja opowiem, mąż jest jeszcze zbyt zdenerwowany. A więc, dzisiaj rano obudziliśmy się koło szóstej z lekkim bólem głowy. I od razu zorientowaliśmy się, że złodzieje włamali się do naszego domu nad morzem, odurzili nas jakimś gazem i wzięli się do roboty.
- Nic nie słyszeliście?
- Nic a nic.
- Dziwne. Przecież zanim was usnęli, musieli wyważyć drzwi. Sama mi to pani powiedziała. I to nie bezszelestnie...
- No tak, ale my byliśmy...
- Kobieta zaczerwieniła się.
- Byliście...?
- Lekko wstawieni, świętowaliśmy piątą rocznicę ślubu.
- Rozumiem.
- No i nie usłyszelibyśmy nawet wystrzału z armaty.
- Proszę mówić dalej.
- Złodzieje znaleźli w kieszeni marynarki mojego męża portfel z dokumentami, dowodem i adresem tego mieszkania, klucze do niego i kluczyki do auta. Wsiedli sobie w samochód, przyjechali tutaj, otworzyli mieszkanie, ukradli, co się dało, i tyle.
- Co zabrali?

– Poza samochodem, to z domu nad morzem w sumie niedużo. Obrączki, rolex męża, mój zegarek z brylantami, dość drogi naszyjnik, dwa tysiące euro w gotówce, nasze dwa komputery, telefony i karty kredytowe, już je zablokowaliśmy.

I to ma być niedużo.

– I obraz marynistyczny Carrà – przypomniała sobie pani Peritore.

Montalbano podskoczył na krześle.

– Obraz Carrà? Trzymaliście go tak w domu?

– Mieliśmy nadzieję, że nikt się nie pozna na jego wartości.

A jednak ktoś się poznał.

– A stąd co ukradli?

– Tu już o wiele więcej. Przede wszystkim szkatułkę z całą moją biżuterią.

– Jakiej wartości?

– Około półtora miliona euro.

– Co jeszcze?

– Pozostałe cztery roleksy męża, zbierał je.

– I tyle?

– Pięćdziesiąt tysięcy euro i...

– I?

– Obrazy Guttusa, Morandiego, Donghiego, Mafai i jeden Pirandella, którego mój teść zostawił w spadku synowi – powiedziała jednym tchem Caterina.

W sumie kolekcja sztuki ogromnej wartości.

– Mam pytanie – powiedział Montalbano. – Kto wiedział, że będziecie świętować rocznicę ślubu w willi w Punta Piccola?

Mąż i żona przez chwilę popatrzyli na siebie.

– Nasi przyjaciele – powiedziała pani Peritore.

– Ilu ich jest?

– Około piętnaścioro.

– Macie pomoc domową?

– Tak.

– Ona też wiedziała?

– Nie.

– Jesteście ubezpieczeni od kradzieży?

– Nie.

– A zatem – powiedział, wstając, Montalbano – musicie natychmiast jechać na komisariat i złożyć formalne zgłoszenie. Proszę o dokładny spis biżuterii, roleksów i obrazów.

– Dobrze.

– Oraz pełną listę poinformowanych o wyjeździe przyjaciół, z adresami i numerami telefonów.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że ich pan nie podejrzewa.

Montalbano spojrzał na nią.

– Myśli pani, że mogliby się obrazić?

– Z pewnością.

– Proszę nic im nie mówić. Zgłoszę się pierwszy. Widzimy się na komisariacie.

I wyszedł z mieszkania.

2

Kiedy tylko wszedł do komisariatu, zauważył, że Catarella siedzi nadąsany z obolałą miną.

– Co się stało?

– Nic, panie komisarzu.

– Wiesz, że masz mi wszystko mówić! No, dalej, o co chodzi?

Catarella wybuchnął.

– To nie moja wina, panie komisarzu, że Augello jest zwolniony! Nie moja wina, że Fazio pojechał na targ. Do kogo miałem się zwrócić? Kto tu został? Nikt! Tylko pan! A pan tak strasznie mnie potraktował!

Płakał, ale nie chciał, żeby Montalbano widział jego łzy, mówił więc odwrócony bokiem.

– Wybacz, Catarella, ale dzisiaj rano byłem zdenerwowany z powodów osobistych. Nie masz z tym nic wspólnego. Jeszcze raz przepraszam.

Zdążył usiąść w swoim pokoju, kiedy pojawił się Fazio.

– Musi pan wybaczyć, komisarzu, nie mogłem pojechać zamiast pana, byłem na targu.

– Mamy poranek przeprosin. Siadaj i posłuchaj, opowiem ci o tym włamaniu.

Kiedy skończył, Fazio stwierdził:

– Dziwne.

– Jasne, to kradzież opracowana w najdrobniejszych szczegółach. Tu w Vigacie nie zdarzyło się dotąd nic równie perfekcyjnego.

Fazio pokręcił głową.

– Nie chodziło mi o perfekcję, ale o powtórkę.

– To znaczy?

– Trzy dni temu miało miejsce dokładnie takie samo włamanie, identyczne.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Bo powiedział pan, żeby mu nie zawracać dupy włamaniami. Zajął się tym Augello.

– Opowiadaj.

- Zna pan mecenasa Lojacono?
- Ma na imię Emilio? Taki koło pięćdziesiątki, gruby, kuleje?
- No ten.
- I co z nim?
- W każdą sobotę rano jego żona wyjeżdża do Ravanusy, żeby odwiedzić matkę.
- Świetny przykład córkowej miłości. Ale co mnie to obchodzi? Co to ma do rzeczy?
- Ano ma, chwilka cierpliwości. Zna pan panią magister Vaccaro?
- Farmaceutkę?
- Tak. Jej mąż też w każdą sobotę rano jeździ do Favary, żeby odwiedzić matkę.
- Montalbano poczuł, że zaraz wybuchnie.
- Przejdiesz wreszcie do rzeczy?
- Już przechodzę. Dzięki tym wyjazdom mecenas Lojacono i pani magister Vaccaro korzystają z nieobecności współmałżonków i spędzają razem upojne sobotnie noce w wiejskim domu mecenasa.
- Od kiedy są kochankami?
- Od ponad roku.
- A kto o tym wie?
- Całe miasto.
- Super, no i jak to się stało?
- Mecenas jest znany ze swojej precyzji, powtarza zawsze te same gesty, nigdy się nie myli. Na przykład, kiedy jedzie do siebie na wieś z kochanką, to zawsze kładzie klucze nad telewizorem, który stoi metr od uchylonego całego czasu, niezależnie od pory roku, okna. To jasne?
- Jasne.
- Złodzieje wsadzili przez furtkę i okno trzymetrowy drewniany kij zakończony magnesem i w ten sposób wyciągnęli klucze.
- Skąd wiesz o tym kiju?
- Znaleźliśmy go tam.
- Mów dalej.

– Bezszelestnie otworzyli kluczami furtkę i drzwi, potem weszli do sypialni. Uśpili gazem mecenasa i jego kochankę. Zabrali wartościowe rzeczy, załadowali do dwóch samochodów, bo kobieta przyjechała na spotkanie swoim, i potem okradli oba mieszkania w Vigacie.

– Czyli złodziei było przynajmniej trzech?

– Ale dlaczego?

– Bo ktoś ich musiał przecież tam przywieźć.

– No, to prawda.

– Wytłumacz mi, jak to się stało, że lokalne telewizje w ogóle o tym nie mówiły?

– Poprosiliśmy je. Tak świetnie się spisaliśmy, że nie chcieliśmy wyjść na durni.

W tym momencie pojawił się Catarella.

– Dopraszam o wybaczenie, ale obecnie przybyli na miejsce państwo Piritone.

Montalbano spojrzał na Catarellę, ale wolał nic mu nie mówić. Jeszcze by znowu zaczął płakać.

– Naprawdę tak się nazywają? – zapytał zdziwiony Fazio.

– No co ty! Nazywają się Peritore. Zajmij się nimi, niech złożą zeznanie i dadzą listę, a potem wracaj tu do mnie.

*

Po półgodzinie spędzonej na podpisywaniu dokumentów mnożących się na biurku Montalbano odebrał telefon.

– Panie komisarzu, narzeczona tu jest.

– U nas?

– Nie, na linii telefonu.

– Powiedz jej, że mnie nie ma – powiedział impulsywnie.

Catarella osłupiał. Tak przynajmniej pomyślał Montalbano.

– Dopraszam o wybaczenie, panie komisarzu, ale chyba nie zrozumiał pan, kto jest na linii telefonu. Chodzi tu o niejaką Livię, pańską narzeczoną, jeśli niezbyt jasno to wyraziłem wcześniej...

– Zrozumiałem, Catarella, ale nie ma mnie.

– Jak pan sobie życzy.

Zaraz potem Montalbano pożałował swojej odpowiedzi. Co on, do cholery, wyprawia? Zachowuje się jak chłopiec dąsający się na jakąś dziewczynkę. I co teraz ma zrobić? Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Wstał i poszedł do Catarelli.

– Pożycz mi swoją komórkę.

Catarella podał mu ją. Komisarz wyszedł na parking, wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i odjechał. Kiedy włączył się do ruchu, zadzwonił do Livii.

– Livia? To ja, Salvo. Catarella powiedział mi, że... Tak, prowadzę, więc się streszczaj.

– Wspaniała ta twoja Adelina – zaczęła Livia.

– Co takiego zrobiła?

– Przede wszystkim wpakowała mi się do pokoju, kiedy byłam nagusieńka! Nawet nie zapukała!

– A po co miałyby pukać? Nie wiedziała, że jesteś, ma przecież klucze...

– Ciągłe jej bronisz! A wiesz, co powiedziała, kiedy tylko mnie zobaczyła?

– Nie.

– Powiedziała, w każdym razie tak mi się zdawało, bo mówiła w tym waszym afrykańskim dialekcie: „A, pani tutaj? No to ja idę, do widzenia”. Odwróciła się plecami i poszła sobie!

Montalbano wolał nie komentować zdania o afrykańskim dialekcie.

– Livio, dobrze wiesz, że Adelina cię nie znosi. To stara historia. Być może zawsze, kiedy...

– Być może! Ja też jej nie znoszę!

– Czyli sama widzisz, dobrze, że sobie poszła!

– Lepiej już skończmy. Przyjadę do Vigaty autobusem.

– A po co?

– Po zakupy. Chyba chcesz zjeść obiad?

– No jasne! Ale dlaczego masz sobie robić kłopot? Przyjechałaś raptem na kilka dni wakacji.

Co za hipokryta z niego. Rzecz w tym, że Livia nie umiała gotować. A Montalbano chorował za każdym razem, kiedy jadł coś, co przygotowała.

– To co robimy?

– Koło pierwszej przyjadę po ciebie autem i zjemy u Enza. Tymczasem ciesz się słońcem.

– U siebie w Boccadasse mam go tyle, ile chcę.

– Nie neguję tego. Ale można to rozwiązać w następujący sposób. Tu mogłabyś przyjąć trochę promieni od przodu, powiedzmy w rejonie klatki piersiowej i twarzy, a w Boccadasse od tyłu, czyli poopalać sobie plecy.

– Co ty gadasz? – zapytała Livia.

– Nic, wybacz, głupi żart. Do zobaczenia.

Wrócił do biura.

Fazio pojawił się po godzinie.

– Zrobione, ale trochę czasu to zajęło. Nieźle się ci złodzieje obłowili!

– A przy tym pierwszym włamaniu?

– Mniej tam było wartościowych rzeczy, ale dodając to, co znaleźli w obydwu mieszkaniach, to i tak niezły łup.

– Muszą mieć dobrego przywódcę.

– Szef bandy pewnie ma łeb.

– Z pewnością jeszcze o nich usłyszymy. Peritore dali ci listę znajomych?

– Tak jest.

– Po przerwie posprawdzaj ich wszystkich.

– Dobrze, aha, zrobiłem panu kopię.

– Czego?

– Listy znajomych państwa Peritore.

Po wyjściu Fazio postanowił zadzwonić do Adeliny.

– Dlaczego mi pan nie powiedział, że przyjechała narzeczona? – napadła go gospoia.

– Bo ja też nic nie wiedziałem o jej przyjeździe. Zrobiła mi niespodziankę.

– Mnie też, i to jaką! Była nagusieńka!

– Adelino, posłuchaj...

– Kiedy wyjeżdża?

– Za jakieś dwa, trzy dni. Uprzedzę cię, bądź spokojna. Posłuchaj, twój syn jest na wolności?

– Który?

– Pasquale.

Obydwaj synowie Adeliny, Giuseppe i Pasquale, co jakiś czas popełniali przestępstwa, za które za każdym razem trafiali do więzienia.

Pasquale, którego Montalbano kilkakrotnie aresztował, przywiązał się do komisarza i poprosił go nawet, ku wielkiemu oburzeniu Livii, żeby został chrzestnym jego syna.

– Tak, chwilowo jest w domu. A Giuseppe siedzi w więzieniu w Palermo.

– Możesz poprosić Pasquale, żeby dzisiaj po przerwie, tak gdzieś koło czwartej, przyszedł na komisariat?

Adelina zaniepokoiła się.

– A po co? Aresztuje go pan?

– Spokojnie, słowo honoru, że nie. Chcę z nim tylko porozmawiać.

– Powiem mu.

Pojechał po Livię, która czytała książkę na werandzie. Nadąsana i milcząca.

– Dokąd chcesz pojechać?

– Nie wiem.

– Może do Enza? Albo do Carla?

Nie było żadnej restauracji o takiej nazwie, ale nagle, w obliczu tak oschłego powitania, postanowił zaatakować.

Raz kozie śmierć.

– Wszystko jedno – powiedziała obojętnie Livia.

Nie zareagowała, słysząc to imię.

– Wiesz co? Jedziemy do Enza i koniec.

Chcąc zrobić na złość siedzącemu obok Montalbanowi, Livia czytała książkę jeszcze przez pięć minut.

Kiedy przyjechali do restauracji, właściciel, Enzo, zaczął giąć się w ukłonach, komplementując Livię.

– Pięknie pani wygląda! Co za przyjemność zobaczyć panią ponownie!

– Dziękuję.

– Jest pani uosobieniem wdzięku! Co za czar! Proszę mi wytłumaczyć, jak to możliwe, że za każdym razem, kiedy tu pani do mnie przyjeżdża, jest jeszcze piękniejsza?

Niespodziewany uśmiech rozświetlił zachmurzoną twarz Livii jak promień słońca. I jak to możliwe, że teraz ten dialekt już jej się nie wydaje afrykański i niezrozumiały? – zastanowił się Montalbano.

– Na co mamy dzisiaj ochotę? – zapytał Enzo.

– Zrobiłam się głodna – powiedziała Livia.

Jeśli komplementy Enza tak jej zaostrzyły apetyt, to jaką siłę sprawczą mógł mieć Carlo!

Montalbano jeszcze bardziej się zdenerwował.

– Mam spaghetti z jeżami morskimi, są świeżuteńkie, rano złowione, fantastyczne – obwieścił Enzo.

– To niech będą jeże ze spaghetti – zgodziła się Livia, mrugając rzęsami jak Minnie do Myszki Miki.

– A co dla pana? – zapytał Enzo komisarza.

Ja wezmę ten widelec i zaraz wydłubię oczy mojej narzeczonej – pomyślał Montalbano.

Ale powiedział co innego:

– Nie chce mi się jeść. Przynieś mi jakieś przystawki.

Po wchłonięciu spaghetti Livia uśmiechnęła się do narzeczonego i położyła pieszczotliwie rękę na jego dłoni.

– Przepraszam za wczoraj.

– Za wczoraj? – zapytał fałszywie Montalbano, udając, że niczego już nie pamięta.

– No tak, za wczoraj, zachowałam się jak idiotka.

O nie, tak łatwo nie będzie!

To nie było lojalne zagranie!

Livia pomieszała mu szyki.

Wykonał dłonią gest, który mógł oznaczać wszystko i nic, i coś wymamrotał.

Livia uznała to za przyjęcie przeprosin.

Kiedy wyszli z restauracji, powiedziała, że chce pojechać do Montelusy, bo dawno już tam nie była.

– Weź auto.

– A ty?

– Ja go nie potrzebuję.

Nie potrzebował dzisiaj zwyczajowego spaceru przyspieszającego trawienie i, stojąc pod latarnią morską, zastanawiał się, dlaczego tak mało zjadł.

Zachowanie Livii sprawiło, że zablokował mu się żołądek.

W końcu jednak przeszedł się, w nadziei, że minie mu złość.

Kiedy usiadł na swojej płaskiej skale, rzucił okiem na wielką wieżę dominującą nad całym krajobrazem.

Zbudował ją Carlo V.

Iluż tych Carlo było na świecie?

Catarella rzucił się na wchodzącego komisarza.

– Panie komisarzu, syn pańskiej gosposi tu czeka! Mówi, że go pan wezwał!

– Przyrowadź go do mnie.

Wszedł do pokoju i usiadł przy biurku, zanim pojawił się Pasquale.

Uścisnęli sobie ręce.

– Jak tam syn?

– Rośnie jak na drożdżach.

– A żona?

– Wszystko dobrze, a co u pani Livii?

– Dobrze, dziękuję.

Po zakończeniu rytuału Pasquale odezwał się pierwszy:

– Mama powiedziała mi...

– Tak, muszę cię o coś spytać. Siadaj.

Pasquale usiadł.

– Słucham pana.

– Czy przypadkiem nic ci się nie obilo o uszy w związku z tymi dwoma niedawnymi sprytnymi włamaniami?

Pasquale udawał roztargnionego. Potem skrzywił się lekceważąco.

– Tak, coś tam słyszałem.

– A co takiego?

– Tak tam gadają... coś wpada do ucha na ulicy... przez przypadek.

– A co takiego usłyszałeś przez przypadek na ulicy?

– Komisarzu, powiem panu, ale to ma zostać wyłącznie między nami, zgoda?

– Oczywiście.

– Słyszałem, że to robota nie naszych.

Czyli miejscowi złodzieje nie mieli z tym nic wspólnego.

– Tak mi się właśnie wydawało.

– To mistrzowie w swoim fachu.

– No właśnie. Spoza Unii?

– Nie.

– Z północy?

– Nie.

– No to skąd?

– Sycylijczycy, jak pan i ja.

– Z tego regionu?

– Tak.

Trzeba by chyba użyć szczypiec, żeby coś z niego wydobyć. Pasquale nie miał ochoty dzielić się wiedzą z komisarzem.

Jedno to się przyjaźnić, a drugie zacząć donosić.

Zresztą z przestępcami lepiej rozmawiać jak najrzadziej.

– Dlaczego, według ciebie, postanowili nagle przyjechać na robotę do Vigaty?

Zanim odpowiedział, Pasquale obejrzał sobie czubki butów, potem zapatrzył się na sufit, potem na okno i w końcu zdecydował się otworzyć usta.

– Wezwali ich.

Wezwali? Pasquale powiedział to tak cicho, że Montalbano nie zrozumiał.

– Mów głośniej.

– Wezwali ich.

– Nie rozumiem.

Pasquale rozłożył ramiona.

– Komisarzu, mówi się, że wezwał ich ktoś stąd, z Vigaty. On nimi kieruje.

– Czyli ta osoba jest jednocześnie mózgiem operacji?

– Na to wygląda.

Często zdarzało się, że złodzieje dawali gościnne występy, ale nigdy nie słyszał o sprowadzaniu kogoś na taką robotę.

– Jakiś inny złodziej?

– Nie sądzę.

Cholera! Skoro nie chodziło o zawodowego złodzieja, sprawa coraz bardziej się komplikowała.

Kto to mógł być?

I dlaczego to robił?

3

– Co o tym sądzisz, Pasquale?

– W jakim sensie?

– Powiedzmy, że z twojego punktu widzenia.

Z punktu widzenia złodzieja, rzecz jasna.

– Widział pan ten drąg?

– Jaki drąg?

– Ten z magnesem, z pierwszego włamania.

– Nie widziałem, a ty?

Pasquale uśmiechnął się, wyraźnie coraz bardziej rozbawiony.

– Jeszcze pan tak ze mną pogrywa, komisarzu? Przecież gdybym go widział, to znaczyłoby, że należę do tej bandy.

– Przepraszam, Pasquale, tak mi się wyrwało.

– W ogóle tego nie widziałem, ale mi dokładnie opisali.

– I co?

– Jest ze specjalnego drewna, lekkiego i wytrzymałego, jak rurka, ale zrobiony jak luneta, wie pan, o czym mówię? Na zamówienie, wielokrotnego użytku.

– I co z tego?

– No to niech mi pan wytłumaczy, dlaczego porzucili go po włamaniu? Ja bym zabrał ze sobą, przecież skoro jest składany, to nie zajmuje dużo miejsca.

– Wiesz, że zostawili nawet klucze z dzisiejszego włamania?

– Nie wiedziałem. To też mi nie pasuje. Pęk kluczy zawsze się może jeszcze przydać.

– Ostatnie pytanie, Pasquale. Ci złodzieje ukradli przynajmniej trzy samochody, wiedziałeś?

– Tak.

– Co z nimi zrobili?

– Po mojemu, panie komisarzu, to pozbyli się ich i jeszcze na tym zarobili.

– W jaki sposób?

- Jeśli to luksusowe samochody, to mogli wywieźć za granicę.
- A jeżeli nie?
- Są złomiarze, którzy dobrze płacą za części zamienne.
- Znasz kogoś takiego?
- Kogo?
- No takiego, co skupuje auta na części.
- To nie moja specjalność.
- Dobra, chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?
- Nie.
- Dziękuję i do widzenia, Pasquale.
- Uszanowanie, panie komisarzu.

Od razu zrozumiał, że te włamania były dziełem kogoś z zewnątrz, doświadczonego w swoim fachu. Miejscowi złodzieje, bardziej naiwni i prymitywni, wyłamywali drzwi i wchodzili, nigdy jednak wtedy, gdy ktoś był w środku. Zresztą nie umieliby nawet zrobić składanego kija z magnezem, jak ten użyty podczas pierwszego włamania.

Ta banda jak nic składała się z czterech osób: trzech przyjezdnych, którzy działali na miejscu, podczas gdy czwarty był mózgiem całego przedsięwzięcia. Być może tylko on mieszkał w Vigacie. Pozostali najprawdopodobniej zaraz po skoku wrócili do siebie.

Intuicja i doświadczenie podpowiadały mu, że to będzie trudne śledztwo.

Wzrok komisarza padł na zostawioną przez Fazia listę znajomych małżeństwa Peritore. Było na niej osiemnaście osób.

Zaczął przelatywać wzrokiem nazwiska i przy czwartym aż podskoczył na krześle.

Mecenas Emilio Lojacono.

Ten, który przebywał w swoim wiejskim domu razem z kochanką i który padł ofiarą pierwszej kradzieży.

Kontynuował lekturę już bardziej uważnie.

Magister Ersilia Vaccaro.

Kochanka mecenasa Lojacono.

Nagły błysk przeleciał mu przez głowę.

Intuicja, bez szans na żadne logiczne wytłumaczenie.

Pomyślał, że następne włamanie wydarzy się właśnie w domu któregoś z pozostałych znajomych wymienionych na liście.

Zatem to, co przekazał mu Fazio w sprawie przyjaciół okradzionego małżeństwa, okazuje się niezwykle ważne.

Właśnie w tym momencie zadzwonił Fazio.

– Chciałem powiedzieć, że...

– Najpierw to ty mnie posłuchaj. Zauważyłeś, że na liście tych Peritorów są też...

– Mecenas Lojaco i pani Vaccaro? Oczywiście, od razu mi się to rzuciło w oczy!

– I co o tym sądzisz?

– Że nazwisko następnej ofiary też jest na tej liście.

No jasne.

Chciał się popisać przed Faziem, ale mu się nie udało.

Tego dnia wszyscy mieli nad nim przewagę.

Fazio często jednak wyciągał takie same wnioski.

– Co mi chciałeś powiedzieć?

– Dowiedziałem się, że przyjechała pani Livia.

– Tak.

– Moja żona będzie zachwycona, jeśli jutro wieczorem przyjdziecie do nas na kolację. Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

Dlaczego miałby mieć coś przeciwko?

A zresztą, co ważne, pani Fazio fantastycznie gotowała.

– Dziękuję, przekażę Livii, przyjdziemy na pewno. Do zobaczenia jutro rano.

– Catarella!

– Tak jest, panie komisarzu!

– Przyjdź tu do mnie.

Nie zdążył nawet odłożyć słuchawki, kiedy Catarella stał już przed nim na baczność.

- Mam do ciebie prośbę, komputer załatwi to wszystko w pięć minut.
 - Ja to dla pana komisarza mógłbym i ze sto lat siedzieć przed komputerem!
 - Potrzebuję listy wszystkich blacharzy w naszym regionie, których kiedykolwiek oskarżono o paserstwo.
- Catarella zmarszczył brwi.
- Nie za bardzo zrozumiałem, komisarzu.
 - Wszystkiego, czy tylko kawałka tego, co powiedziałem?
 - Części.
 - Której?
 - Tego ostatniego słowa.
 - Paserstwo?
 - O właśnie.
 - To znaczy, że ktoś coś bierze, wiedząc, że to pochodzi z kradzieży.
 - Rozumiem teraz, ale może lepiej niech mi to pan napisze.
 - Aha – powiedział Montalbano, podając mu kartkę z napisem „paserstwo” – znajdź Fazio i poproś go tutaj.

Zadzwoił telefon.

- Słucham, panie komisarzu.
- Pamiętasz marki i numery tych trzech skradzionych samochodów?
- Nie, ale jeśli pójdzie pan do mojego pokoju, na biurku znajdzie pan to, czego potrzebuje.

Fazio był wręcz maniakałnym zwolennikiem porządku. Montalbano natychmiast znalazł kartkę, której szukał.

Przepisał ją i wrócił do gabinetu.

DAEWOO CZ 566 RT magister Vaccaro.

VOLVO AC 641 RT mecenas Lojacono.

PANDA AV 872 RT państwo Peritore.

Na samochodach znał się tyle, co na astrofizyce, ale był pewien, że nie są to modele luksusowe.

Po niespełna pięciu minutach wszedł Catarella i położył mu na biurku kartkę.

Gemellaro Angelo, ulica Garibaldi 32, Monreale, tel. 0922 343217.

Biuro: ulica Martiti di Belfiore 82. Jeden wyrok.

Butticè Carlo, ulica Etna 38, Sicudiana, tel. 0922 468521.

Biuro: ulica Gioberti 79. Jeden wyrok.

Macaluso Carlo, aleja Milizie 92, Montelusa, tel. 0922 2376594.

Biuro: ulica Saracino, bez numeru. Dwa wyroki.

No proszę: na trzech delikwentów dwóch nosi imię Carlo. To z pewnością coś znaczy. Statystyka nigdy się nie myli.

No, właściwie czasami to ta statystyka wydawała się stworzona w domu wariatów, ale w sumie...

Nie było chwili do stracenia, najprawdopodobniej złodzieje nie pozbyli się jeszcze auta państwa Peritore.

– Catarella, zadzwoń do pana Tommaseo i połącz mnie z nim.

Zdążył tylko powtórzyć sobie mnożenie przez siedem.

– Słucham pana, Montalbano.

– Może mnie pan przyjąć za jakieś dwadzieścia minut?

– Proszę przyjść.

Włożył do kieszeni listę trzech blacharzy, zadzwonił do Galla i pojechał do Montelusy służbowym samochodem.

Przekonanie prokuratora Tommaseo o konieczności założenia podsłuchu w trzech telefonach zajęło mu dobrą godzinę.

Kiedy tylko mowa była o podsłuchach, prokurator zamykał się w sobie i kulił jak jeź.

A jeśli okazałoby się, że jakiś porywacz, diler albo alfons jest bliskim przyjacielem któregoś z posłów?

To z pewnością zaszkodziłoby biednemu prokuratorowi.

Rząd pracował niby nad ustawą zabraniającą podsłuchów w ogóle, ale na szczęście jeszcze jej nie dokończył.

Zadowolony Montalbano wrócił do komisariatu.

Jakieś pięć minut potem zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, ta pana narzeczona powiedziała mi, że czeka na parkingu, a ja jej na to, że pana nie ma, no i ona, ta narzeczona właśnie, odpowiedziała, że i tak tam na pana poczeka. No to co teraz?

– Ale dlaczego powiedziałaś, że mnie nie ma?

– Bo rano pan mi powiedział, żebym tak mówił.

– Ale teraz już nie jest rano!

– No, to prawda, panie komisarzu. Ale nie odwołał pan poprzedniego polecenia, więc nie wiedziałem, czy te kwasy między wami to przejściowe, czy coś poważnego.

– Zobacz, gdzie zaparkowała.

Catarella wrócił po chwili.

– Dokładnie przy frontacyjnym wejściu, panie komisarzu.

– Mówi się frontowym, Catarella.

Pozostała mu tylko ewakuacja z oblężonej twierdzy.

– Czy tylne drzwi są otwarte?

– Nie, zawsze zamknięte.

– Do jasnej cholery! A kto ma do nich klucze?

– Ja, komisarzu.

– Otwórz je.

Wstał, przeszedł przez cały komisariat aż do tylnego wyjścia, które otworzył mu Catarella.

Wyszedł na ulicę, skręcił za róg, potem jeszcze raz i doszedł do głównego wejścia.

Livia, widząc go, nacisnęła lekko klakson.

Montalbano uśmiechnął się do niej i wsiadł do auta.

– Długo już czekasz?

– Nawet mniej niż pięć minut.

– Dokąd jedziemy?

– Możemy wpaść na chwilę do domu? Chciałabym wziąć prysznic.

Podczas gdy Livia była w łazience, komisarz usiadł na werandzie, żeby wypalić papierosa i nacieszyć się pięknym wieczorem.

Pojawiła się Livia, już gotowa do wyjścia.

– Gdzie chcesz zjeść?

– Zdaję się na ciebie.

– Chciałbym pojechać w takie miejsce, w którym nigdy jeszcze nie byłem, nad morzem, za Monreale. Enzo mówi, że można tam dobrze zjeść.

– Skoro Enzo tak mówi...

Znając drogę, można tam było dojechać w dwadzieścia minut. Komisarz zgubił się cztery razy i byli na miejscu dopiero po godzinie.

Jakby i tego było mało, pokłócił się z Livią, która wskazała mu właściwą drogę.

To była restauracja z prawdziwego zdarzenia, z kelnerami w uniformach i zdjęciami piłkarzy i aktorów na ścianach.

Usiedli na werandzie, przy stoliku z widokiem na morze.

Lokal był pełen Anglików, prawie upitych słoń bryzą.

Czekali kwadrans na pojawienie się kelnera, który miał przyczepioną do kołnierza marynarki zieloną tabliczkę z wypisanym imieniem Carlo.

Włosy na rękach komisarza najeżyły się jak u wściekłego kota.

Podjął natychmiastową decyzję.

– Może pan wrócić do nas za pięć minut? – zapytał kelnera.

– Oczywiście, jak pan sobie życzy.

Livia popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– O co ci chodzi?

– Muszę iść do łazienki.

Wstał i pobiegł odprowadzany wzrokiem przez osłupiałą Livię.

– Gdzie jest szef? – zapytał kelnera.

– Przy kasie.

Podszedł do kasy, za którą siedział sześćdziesięcioletek w okularach w złotej oprawce, z podkreconymi do góry wąsami.

– Słucham pana.

– Jestem komisarz Montalbano.

– To dla mnie zaszczyt! Mój przyjaciel Enzo...

– Przepraszam, ale się spieszę. Pani, która jest ze mną, moja narzeczona, straciła dziesięć dni temu ukochanego brata, który miał na imię

Carlo. A obsługujący nasz stół kelner ma na imię właśnie Carlo i nie chciałbym, sam pan rozumie...

– Wszystko jasne, panie komisarzu. Zaraz go wymienię.

– Bardzo panu dziękuję.

Wrócił do stołu. Uśmiechnął się do Livii.

– Wybacz, nagła, acz gwałtowna potrzeba.

Podszedł inny kelner o imieniu Giorgio.

Zamówili przystawki.

– A ten kelner, który był wcześniej, nie miał na imię Carlo? – zaintrygowała się Livia.

– Carlo? Nie zauważyłem.

– Ciekawe, dlaczego go wymienili.

– Żałujesz?

– A dlaczego miałabym żałować?

– Wydawało mi się, że jest ci przykro.

– Co ty wygadujesz, był tylko bardziej przystojny.

– Przystojny! No to może jednak dobrze się stało!

Livia przyglądała mu się coraz bardziej zdziwiona.

– Poprosiłeś, żeby zmienili kelnera?

– A tak.

– Ale dlaczego?

– Bo ponad sześćdziesiąt procent tych, którzy mają na imię Carlo, to przestępcy. Tak mówi statystyka.

Zdawał sobie sprawę, że wygaduje piramidalne głupoty, ale wściekłość i zazdrość nie pozwalały mu używać rozumu. Już nic nie mogło go powstrzymać.

– Co za brednie!

– Możesz nie wierzyć. Znasz wielu facetów o takim imieniu?

– Kilku.

– Wszyscy są przestępcami?

– Co cię opętało, Salvo?

– Mnie? To raczej ciebie! Uparłaś się z tym Carlem! Jeśli chcesz, zaraz każę ci go tu podesłać!

– Oszalałeś?

– Właśnie, że nie! Tylko ty...

– Państwa przystawki – powiedział kelner.

Livia poczekała, aż odejdzie, żeby mówić dalej.

– Posłuchaj mnie uważnie, Salvo. Wczoraj zachowałam się jak kretyńka, ale dzisiaj to chyba ty starasz się godnie mnie zastąpić. Przysięgam, że nie mam najmniejszej ochoty na spędzenie wieczoru na kłótni. Jeśli masz zamiar dalej tak się zachowywać, to zamówię samochód i wrócę do Montelusy. Spakuję się i pojedę do Palermo, a stamtąd pierwszym samolotem na północ. Decyduj.

Montalbano, który już zaczął się wstydzić tej hysterii, powiedział tylko:

– Spróbuj przystawek, wydają się dobre.

Dobre było też pierwsze danie.

Wspaniałe drugie.

A dwie butelki świetnego wina zrobiły swoje.

Wyszli z restauracji, trzymając się za ręce.

Nocne godzenie było długie i fantastyczne.

*

O ósmej rano miał już wychodzić z domu, kiedy zadzwonił telefon. Catarella.

– Kogoś zabili?

– Bardzo mi przykro, ale nie, panie komisarzu. Dzwonili z kwestury, prosili, żeby pan migusiem tam do nich pojechał.

– Ale kto dzwonił?

– Nie przedstawił się, powiedział tylko, żeby pan pojechał tam, gdzie trzymają wino.

– Niby dokąd? Do knajpy?

– Tylko to mi powiedzieli.

– Ale powiedzieli, że mam jechać tam, gdzie trzymają wino, czy użyli innego słowa?

– Innego.

– Piwnica?

– O właśnie!

Piwnicą nazywano zazwyczaj podziemie, w którym znajdowały się urządzenia podsłuchowe.

– Kiedy pojawi się Fazio, powiedz, żeby na mnie zaczekał.

– Tak jest, panie komisarzu!

Pożegnał się z Livią i pojechał do Montelusy.

Przed pancernymi drzwiami w podziemiach stał strażnik z karabinem.

– Dostałeś rozkaz, żeby strzelać, kiedy tylko pojawi się jakiś dziennikarz?

– Kim pan jest? – zapytał strażnik, któremu nie chciało się żartować.

– Jestem komisarz Montalbano.

– Proszę o dokumenty.

Montalbano wylegitymował się, a strażnik otworzył drzwi, mówiąc:

– Boks numer siedem.

Zapukał do drzwi boks numer siedem, odrobinę większego od kabiny w lokalu wyborczym, i czyjś głos poprosił, żeby wszedł.

W środku, przed aparatem i ze słuchawkami na głowie, siedział główny inspektor.

Wstał i przedstawił się.

– Guarnera.

– Montalbano.

– Dzisiaj o wpół do siódmej rano Carlo Macaluso przeprowadził interesującą rozmowę. Puszczę ją panu, tylko proszę założyć słuchawki.

Przekręcił gałkę i Montalbano usłyszał zaspany głos należący z pewnością do Macalusa, który powiedział:

– *Halo, słucham?*

– *Jestem przyjacielem z wásami* – odpowiedział młody, stanowczy głos, należący do mężczyzny około trzydziestoletniego.

– *Aha, o co chodzi?*

– *Miałbym trzy nowe paczki.*

– *Jestem zainteresowany. Jak się umawiamy?*

– *Jak zwykle. Dzisiaj o północy zostawimy ci je tam gdzie wiesz.*

– A ja zostawię wam tam kasę. Tyle co zwykle?

– No nie, to nowy towar.

– No to zrobmy tak: ja zapłacę tyle co zawsze, a następnym razem dopłacę różnicę, zgoda?

– Zgoda.

4

Montalbano zdjął słuchawki, podziękował, pożegnał się i wyszedł. Wrócił na komisariat.

Miał szczęście, przynajmniej właściciele odzyskają swoje samochody.

Poszedł od razu do Fazia.

– Zajrzyj do mnie.

Fazio wstał i poszedł za nim.

– Siadaj.

Powiedział mu to, co przekazał mu Pasquale, o pomyśle z namierzeniem blacharzy i podsłuchanej rozmowie.

– Jak działamy? – zapytał Fazio.

– Dzisiaj po obiedzie trzeba śledzić Macalusa, to jasne.

– Poślę Galla, będzie się z nami kontaktował przez komórkę.

– Świetnie.

– Może lepiej przełożyć dzisiejszą kolację.

– Dlaczego? Zaczniemy jeść koło wpół do dziewiątej, Gallo i tak na pewno nie zadzwoni przed dziesiątą trzydzieści. Najwyżej Livia zostanie z twoją żoną, a ja potem wpadnę po wszystkim, żeby ją zabrać.

– Dobrze.

– Ale musisz wysłać razem z Gallem przynajmniej trzech agentów.

– Po co?

– Bo na pewno Macaluso weźmie swoich ludzi, żeby prowadzili te auta.

– No fakt.

– A teraz powiedz, czy dowiedziałeś się czegoś ciekawego o znajomych Peritorów.

– Doszedłem do połowy listy. Oprócz mecenasa Lojacono i pani Vaccaro interesujący wydaje mi się numer piąty. Proszę spojrzeć.

Lista leżała na biurku. Montalbano spojrział na kartkę. Pod numerem piątym zapisano:

Inż. De Martini Giancarlo.

– Co to za jeden?

– Nietutejszy, urodził się w Mantui.

- A co tu robi?
- Mieszka w Vigacie od czterech lat. Nadzoruje przebudowę portu.
- Dlaczego miałby nas zainteresować?
- Bo odsiadywał czteroletni wyrok.

Cztery lata to już nie żarty.

- A co zrobił?
- Wspieranie grup zbrojnych.
- Czerwone Brygady czy coś w tym stylu?
- Tak jest.
- I na czym polegało to przestępstwo?

Fazio uśmiechnął się.

- Organizował kradzieże, żeby dofinansowywać te grupy.
- O kurwa!
- No właśnie!
- Ile on ma lat?
- Dokładnie sześćdziesiąt.
- Co o nim mówią w mieście?
- Że jest szanowanym, spokojnym obywatelem.
- Jeśli o to chodzi, to kiedy aresztujemy szefa tej naszej bandy, też okaże się spokojnym i szanowanym obywatelem.
- Ma pan rację, komisarzu, ale inżynier stał się teraz działaczem, popiera rząd i głosi chwałę partii Berlusconi.
- Czyli tym bardziej trzeba mieć go na oku.
- Załatwione, posłałem za nim agenta Caruanę.
- Przejrzyj całą listę, do zobaczenia wieczorem u ciebie.

Kiedy pojechał po Livię do Marinelli, nie zastał jej w domu. Wyszedł na werandę i zobaczył ją na plaży, opalającą się w kostiumie nad brzegiem morza. Podszedł do niej.

- Opalam się.
- Widzę, ale teraz się ubierz i jedziemy coś zjeść.
- Nie chce mi się ubierać.
- Ja tam jestem trochę głodny.

– Przygotowałam coś.

Montalbano zdenerwował się. I tak już był wykończony.

Po jedzeniu przygotowanym przez Livię jak nic przez dwa dni będzie go bolał brzuch.

– Zadzwoiłam do garmażerii, byli przemili. Jak się nazywa ta pizza, którą robicie?

Nazywać cuddriruni pizzą to naprawdę skandal. To tak jak nazwać kuleczkami arancini z ryżem i mozzarellą.

– Cuddriruni.

– Wy tłumaczyłam im, zrozumieli. A potem kurczak z różną i frytki. Wszystko przywieźli, jest w piekarniku.

– Zajmę się tym – powiedział komisarz zachwycony, że tym razem uda mu się przeżyć. – A ty się jeszcze poopalaj.

Wszedł do domu, włożył kąpielówki, nakrył stół na werandzie i poszedł popływać. Woda była zimna, ale orzeźwiająca. Wrócił do domu, wytarł się i zawołał Livię.

Po obiedzie ponownie wyciągnęli się na piasku.

Ponieważ zdrzemnął się, a Livia go nie obudziła, przyjechał dość późno na komisariat, gdzieś koło wpół do piątej.

– Coś się dzieje? – zapytał Catarelli.

– Nic, panie komisarzu.

– Połącz mnie z Faziem.

Usiadł przy biurku, na którym wznosiła się góra czekających na podpis dokumentów.

Podpisać czy nie podpisać? Oto jest pytanie.

A Fazio? Dlaczego się nie odzywa?

Zadzwoił do Catarelli.

– Panie komisarzu! Fazio chyba się wyłączył, bo ta automatyczna pani powiedziała mi, że osoba, do której dzwonię, jest osiągalna.

– Chyba nieosiągalna.

– A co ja powiedziałem?

– Połącz mnie, kiedy tylko oddzwoni.

Rozmyślał jeszcze przez chwilę, potem postanowił uspokoić sumienie przykładowego urzędnika państwowego i zabrał się do podpisywania setki dokumentów.

Po godzinie zadzwonił Fazio.

– Proszę mi wybaczyć, komisarzu, ale rozmawiałem poufnie z kimś w sprawie listy. Potem opowiem.

– Jak tam?

– Wszystko w porządku. Gallo pilnuje zakładu Macalusa, o siódmej wieczorem dołącza do niego Micciché, Tantillo i Vadalà.

– W takim razie do zobaczenia o wpół do dziewiątej.

Powrócił do podpisywania dokumentów, ale jakąś godzinę później przeszkodził mu inny telefon.

– Panie komisarzu, tu miejscowo przebywa taki pan, który chciałby z panem komisarzem osobiście we własnej osobie porozmawiać.

– Ale dlaczego?

– Mówi, że w jego domu było włamanie.

Włamanie?

Obecnie włamania rozpatrywane były w pierwszej kolejności.

– Natychmiast przyprowadź go do mnie.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

– Proszę!

– Nazywam się Giosuè Incardona – powiedział gość.

Montalbano rzucił okiem na listę. Nie było na niej żadnego Incardony.

– Proszę siadać.

Incardona był chudym pięćdziesięciolatkiem w okularach o grubych szklach, bez kapelusza, w za dużym ubraniu. Najwyraźniej bardzo przeżywał wizytę na komisariacie.

– Nie chciałbym przeszkadzać, ale...

– Słucham pana.

– Mam domek na wsi, w połowie drogi do Montelusy. Co jakiś czas jeździmy tam z żoną i dwojgiem wnucząt. Ponieważ ostatnim razem

zostawiłem w nim okulary, dzisiaj po obiedzie pojechałem po nie i zastałem wyważone drzwi.

– W jakim sensie wyważone?

– W sensie, że wyrwano je z zawiasów.

– Trudno byłoby je otworzyć wytrychem albo podrobionym kluczem?

– Ależ skąd, bardzo łatwo. Ale widać było, że nie chcieli tracić czasu.

– Co panu ukradli?

– Nowiutki telewizor, komputer, z którego puszczałyśmy filmy wnuczkom, osiemnastowieczny zegar mojego prapradziadka i tyle. Ale według mnie to szukali czegoś innego.

– Czego?

– Tego.

Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i podał go komisarzowi.

– Od czego te klucze?

– Od mojego domu w Vigacie. Złodzieje chyba się domyślili, że zapasowe klucze trzymam w domu na wsi, z pewnością chcieli okraść mnie tutaj, w mieście.

– Dlaczego ich nie znaleźli?

– Bo ostatnim razem schowałem je gdzie indziej. Do rezerwuaru. Obejrzałem wtedy *Ojca chrzestnego*. Pamięta pan, kiedy jego syn ma iść zabić i...

Montalbano podał Incardonie listę.

– Proszę przejrzeć i powiedzieć, czy zna pan kogoś z tej listy.

Incardona wziął kartkę, przeczytał i oddał Montalbanowi.

– Znam prawie wszystkich.

Montalbano zdziwił się.

– Jak to możliwe?

– Nieskromnie mówiąc, jestem najlepszym hydraulikiem w mieście. Ponadto umiem robić doskonałe duplikaty kluczy.

– A może poradził pan komuś z tej listy, żeby zrobił to co pan i schował w drugim domu zapasowe klucze?

– Oczywiście, to najpewniejszy sposób, aby...

– Przepraszam na chwilę.

Zawołał Catarellę.

– Zaprowadź pana do Galluzza, niech spisze zeznanie. Jeśli czegoś się dowiemy, zawiadomimy pana. Do widzenia.

Coś tu było nie tak.

Z pewnością ktoś chciał zmylić trop.

Peritore na pewno powiedzieli przyjaciołom, że policja chciała poznać ich nazwiska.

A mózg tej bandy, nie chcąc, aby Montalbano doszedł do jakiegoś wniosku, próbował go wywieść w pole. Tyle że się spóźnił.

Ale trzech złodziejasków popełniło błąd, wyważając drzwi, wiedzieli, że to szybka robota, mająca na celu jedynie zamydlenie oczu policji.

Ich szef popełnił kolejny błąd, wybierając jako ofiarę fikcyjnego włamania kogoś, kto nie był na tej liście, choć wszyscy z listy go znali.

A to dowód na to, że ofiarą najbliższej, prawdziwej kradzieży padnie któraś z pozostałych osób z listy.

Najwidoczniej mózg przywódcy szajki działał wystarczająco szybko i sprawnie, aby zrozumieć sposób działania mózgu komisarza.

Montalbana czekała pasjonująca partyjka szachów.

*

Kiedy pojechał po Livię, zobaczył, że ma na sobie nieznaną mu sukienkę.

– Ładna.

– Podoba ci się? Uszył mi ją mój przyjaciel krawiec. Chciał jeszcze doszyć falbanę z tyłu, ale wydawało mi się, że to już przesada.

Błysk, jak podczas wielkiej burzy, a zaraz po nim grzmot eksplodujący w mózgu komisarza.

Usiadł całym ciężarem na krześle, żeby nie zwalić się na ziemię jak worek.

Livia przeraziła się.

– Co ci jest?

– Nic, tylko mi się w głowie zakręciło. To ze zmęczenia. Powiedz, a ten twój kolega krawiec to ma na imię Carlo?

– Tak, ale jeśli chcesz wiedzieć, nie jest żadnym przestępcą – odparowała Livia.

I ciągnęła dalej:

– Powiem ci, że to świetny facet, niezwykle uczciwy. Ale jak odgadłeś jego imię?

– Niczego nie odgadywałem, sama mi powiedziałaś.

– Nie pamiętam. To co, jedziemy?

Niewynagrodzone zaufanie

Powieść dla młodych pań z dobrych rodzin o surowych obyczajach

Pewien mężczyzna, drążony zazdrością o swoją kobietę, przekręca znaczenie zdania, które ona wypowiada przez sen, i całymi dniami dręczy się, poddając kobietę przesłuchaniom, urządzając jej sceny i zastawiając pułapki. Dopiero kiedy odstępuje od swej niezdrowej zazdrości, otrzymuje nagrodę. Kobieta bowiem, przez przypadek, wyjawia mu prawdziwy i ze wszech miar niewinny sens wypowiedzianego przez sen zdania. A mężczyzna od tej chwili czuje, że jeszcze bardziej kocha kobietę swego życia.

Piękne, co? I w dodatku pouczające.

*

Pani Fazio przygotowała proste potrawy, które okazały się bardzo smaczne. Zupa rybna i chrupiące smażone barweny. Przyniesione przez Montalbana cannoli były wyśmienite.

W towarzystwie pań komisarz i Fazio nie rozmawiali o pracy.

Za piętnaście jedenasta Montalbano odwiózł Livię do Marinelli, potem wsiadł w samochód Fazia, który jechał za nim.

Za dziesięć jedenasta zadzwonił telefon Fazia. To był Gallo.

– Macaluso właśnie wyjechał z domu w stronę Vigaty. Prowadzi żółte mitsubishi, siedzi w nim jeszcze paru mężczyzn. Jadę za nimi, a wy gdzie jesteście?

– W Marinelli – odpowiedział Fazio.

– Według mnie jadą w stronę Monreale. Jeśli tam jesteście, to przejedziemy koło was. Gdyby pojechali inną drogą, to dam znać.

Po dziesięciu minutach przejechało koło nich żółte mitsubishi.

Dwa samochody za nim – polo.

– To Gallo – powiedział Fazio.

I pojechał za nim.

– Jedziemy za tobą – powiedział Fazio przez komórkę.

– Widziałem.

Przejechali Monreale, Sicudianę, Montallegro. Brakowało dziesięciu minut do północy, ale samochód Macalusa nadal się nie zatrzymywał.

Nagle Montalbano zobaczył, że mitsubishi włącza prawy kierunkowskaz i skręca na coś w rodzaju obszernego parkingu.

Mijając go, zobaczyli stojące na nim trzy auta.

– Te samochody już tam są – powiedział Montalbano.

W tym samym czasie usłyszeli przez telefon głos Galla.

– Wracam, jadę po nich.

I chwilę później zobaczyli, jak zbliża się do nich, prowadząc jak wariat.

Fazio przepuścił go i wykręcił auto tak gwałtownie, że omal nie zaczął dachować.

Kiedy komisarz dojechał do parkingu, Gallo kontrolował już sytuację.

Trzej mężczyźni powiadali do samochodów, ale nie zdążyli jeszcze odjechać.

Teraz stali z rękami w górze, trzymani na muszce przez trzech policjantów.

Macaluso też stał z podniesionymi rękami koło pojemnika na śmieci. W jednym ręku trzymał pakunek owinięty w gazetę i obwiązany sznurkiem.

– Daj mi to – powiedział Montalbano.

Macaluso podał komisarzowi paczkę.

– Ile tego jest?

– Piętnaście tysięcy euro w banknotach po sto euro.

Montalbano wrócił do Vigaty, prowadząc samochód Fazia.

– Ponieważ wpadłeś na gorącym uczynku z trzema kradzionymi autami, to tym razem wydaje mi się, że masz przechłapanie, drogi Macaluso. To

twoja recydywa, masz dwa wyroki na koncie, też za paserstwo – powiedział Fazio.

Trzech współników zamknięto w policyjnej celi.

Wzięty w dwa ognie Macaluso siedział w pokoju komisarza.

– Możecie zdjąć mi kajdanki? – zapytał Macaluso.

Był potężnym mężczyzną o czerwonej skórze i włosach tego samego koloru, ubranym w kombinezon przypominający przenośną szafę.

– Nie – odpowiedział Montalbano.

Zapadła cisza.

– Jak dla mnie, to możemy tak siedzieć do rana – powiedział w pewnym momencie Fazio.

Macaluso westchnął i przemówił.

– To wcale nie tak, jak wam się wydaje – powiedział.

– Komisarzu, wiedział pan, że nasz przyjaciel to filozof? – zapytał Fazio. – No to wytłumacz nam, jak się sprawy mają.

– Zadzwoił do mnie jeden klient i powiedział, żebym pojechał po te trzy auta, które zostawił...

– Nazwisko klienta? – zapytał Fazio.

– Nie pamiętam.

– A jak dał ci klucze?

– Powiedział, że zostawia je w otwartym bagażniku daewoo.

– Ten szczegół akurat może być prawdziwy, tyle że te kluczyki zostawili wam złodzieje.

– Zapewniam, że...

– Wymyśl lepiej coś innego.

– Wiesz co – włączył się Montalbano – późno już, jest druga, a mnie chce się spać.

– To niech mnie pan wypuści i wszyscy pójdziemy spać – zaproponował Macaluso.

– Milcz. Ani słowa i słuchaj, co ci powiem – rzekł komisarz. – Słuchaj mnie uważnie.

I zaczął cytować podsłuchaną rozmowę.

– Halo, słucham?

– Jestem przyjacielem z waszami.

– Ach tak, co masz?

– Trzy nowe przesyłki...

Spojrzał na Macalusa i zapytał:

– Wystarczy, czy mam mówić dalej?

Macaluso był zdenerwowany.

– Wystarczy.

– Chcesz papierosa?

– Tak.

Montalbano podał papierosa Faziowi, który wsunął go w usta Macalusa i zapalił mu go.

– Możemy zawrzeć układ – zaproponował komisarz.

– Czyli?

– Ty powiesz, jak nazywa się ten, który dzwonił, ten z waszami. A ja pogadam z prokuratorem, żeby wziął pod uwagę twoją chęć współpracy.

– Jestem za, ale to niemożliwe, musi mi pan uwierzyć.

– A kto ci zabrania?

– Nikt, ale ja tego z waszami widziałem tylko raz, nocą, i to z boku, trzy lata temu, nawet nie wiem, jak się nazywa.

– Od kiedy razem pracujecie?

– Od trzech lat, już mówiłem. Dzwonią, mówią, gdzie zostawią auto, ja wkładam kasę do śmietnika, odjeżdżam i do widzenia.

Wydawał się szczery.

5

Montalbano wymienił szybkie porozumiewawcze spojrzenie z Faziem. Może Fazio uważał, że Macaluso mówi prawdę.

Dalsze przesłuchanie byłoby jedynie stratą czasu.

– Wsadź go do celi – powiedział komisarz. – A jutro rano przewieźcie wszystkich do więzienia. Potem napisz raport dla Tommasea. Dobranoc.

Komisarz Salvo Montalbano wcale nie był zadowolony, że tak się to wszystko potoczyło.

– Pobudka, leniuchu!

Otworzył oczy mimo ciężkich, jakby sklejonych powiek. Przez okno wpadało radosne, triumfujące słońce.

– Przyniosłabyś mi kawę do łóżka?

– Nie. Czeka w kuchni.

Ach, żeby tak się napić kawy w łóżku!

Grzech śmiertelny! Gorszy niż rozpusta.

Wstał, przeklinając po cichu, poszedł do kuchni, wypił kawę i zamknął się w łazience.

Wyszedł z domu o dziesiątej.

W komisariacie czekał na niego Fazio.

– Komisarzu, mam panu parę rzeczy do powiedzenia.

– Ja tobie też. Ale ty zaczynaj.

– Wczoraj, kiedy kazał pan do mnie dzwonić, a ja miałem wyłączony telefon, rozmawiałem właśnie z panią Agatą Cannavò, wdową po komendancie Gesmundo, byłym dyrektorem generalnym portu, byłym patronie święta pracowników portowych, byłym...

– Dobra, dobra, a kim jest ta pani Cannavò?

– Numer szesnasty na liście.

– Ano tak. Dlaczego poszedłeś z nią porozmawiać?

– Chciałem jej powiedzieć, że nie jest wykluczone, choć to mało prawdopodobne zagrożenie, że może paść ofiarą włamania.

– Nie rozumiem.

– Komisarzu, o tych ludziach z listy opowiadali mi inni, a ja chciałem zobaczyć, co o tym myśli ktoś, kto jest na liście.

– Brawo! Świetny pomysł! I co ci powiedziała?

– Bardzo wiele. Ta wdowa to straszna plotkara, wie wszystko o wszystkich. I nie przestaje gadać. Powiedziała, że księgowy Tavella tonie w długach karcianych, ponieważ chadza do nielegalnych lokali. Powiedziała też, że pani Martorana, żona geodety Antonia, jest kochanką inżyniera de Martino. Szeptem wyznała, że według niej małżeństwo Peritore żyje w otwartym związku, mimo że robią wszystko, aby to nie wyszło na jaw. Nawet co niedziela chodzą do kościoła. Powiedziała mi też coś zabawnego.

– Niby co?

– Podobno tej nocy, kiedy ich okradli, to spali tam we czwórkę.

– Wytłumacz mi to lepiej.

– Według tej wdowy pani Peritore spała w jednym pokoju z jakimś mężczyzną, a jej mąż w drugim, z jakąś kobietą.

– To oni nie pojechali tam, żeby świętować rocznicę ślubu?

– Każdy może świętować na swój sposób – powiedział filozoficznie Fazio.

– Piękne towarzystwo. A powiedz mi, jak się powodzi Peritoremu?

– Oficjalnie sprzedaje używane auta.

– A nieoficjalnie?

– Żyje dzięki fortunie żony, jest bardzo bogata, ciotka zapisała jej olbrzymi majątek.

– Jednym słowem wdowa nie powiedziała ci nic ciekawego o tych włamaniach.

– Nic.

– Czyli tkwimy w martwym punkcie.

– Też tak sędzę.

– Ja jestem bardziej niż pewien, że doczekamy się kolejnego włamania.

– Na pewno. Nie możemy jednak obserwować szesnastu mieszkań i kto wie ilu domów nad morzem czy w górach!

– Możemy tylko czekać. Oby podczas następnego włamania poczynili jakiś fałszywy krok.

– O to będzie raczej trudno.

– Nie tak bardzo. Podczas włamania, którym chcieli zamydlić nam oczy, niepotrzebnie wyważyli drzwi.

– O którym włamaniu pan mówi?

– Ano tak, nic o tym nie wiesz.

Opowiedział Faziowi o wizycie Incardony i o włamaniu, które, jego zdaniem, było jedynie próbą naprowadzenia ich na fałszywy ślad.

Fazio przyznał mu rację.

Po wyjściu Fazio powoli wyciągnął rękę, wziął cztery listy, które znalazł na biurku, i zaczął przypatrywać się pieczętkom. Adresatem wszystkich był komisarz Montalbano.

Dwa zostały nadane w Mediolanie, jeden w Rzymie, a ostatni w Montelusie.

W Mediolanie nie miał żadnych znajomych, w Rzymie – przyjaciela, który nawet gościł go kiedyś w domu, ostatnio jednak został przeniesiony do Parmy. W Montelusie znał parę osób.

Tak naprawdę to wcale nie chciało mu się otwierać listów.

Dostawał prawie wyłącznie ulotki reklamowe, zaproszenia na jakieś wydarzenia kulturalne i skąpe wiadomości od kolegów z akademii.

Z perspektywy wieku mógł stwierdzić, że miał w życiu bardzo mało przyjaciół.

Z jednej strony cieszyło go to, z drugiej martwiło. Może w obliczu zbliżającej się z kosmiczną prędkością starości jakaś przyjacielska dusza u boku wcale nie byłaby taka zła.

Ale w sumie to Fazio, Mimì Augello i nawet Catarella byli przecież bardziej przyjaciółmi niż współpracownikami.

Jeśli chciał się pocieszyć, to poszedł właściwą drogą.

Postanowił otworzyć listy.

I rzeczywiście, trzy nie miały żadnego znaczenia, ale czwarty...

To był anonim, napisany drukowanymi literami.

Przeczytał w nim, co następuje.

*Najdroższy komisarzu,
proszę potraktować niniejszy list jako rzucenie wyzwania.*

Zresztą sam podjął już pan to wyzwanie, osobiście zajmując się śledztwem.

Niniejszym informuję pana, iż będą miały miejsce, na pańskie nieszczęście, jeszcze dwa włamania.

Potem znowu zacznę zajmować się tym co zwykle.

Będzie to dla mnie wspaniała zabawa.

Musiałem przecież znaleźć jakiś sposób na zabicie czasu, przyzna mi pan chyba rację?

O tym, że jest to wyłącznie rozrywka, świadczy przecież fakt, że wszystkie łupy pozostawiam moim współpracownikom.

Teraz powinien pan odgadnąć, kto zostanie okradziony, przewidując datę i miejsce.

Pozostaję z szacunkiem i serdecznie pozdrawiam.

List został nadany w Montelusie poprzedniego dnia.

Zadzwoił po Fazio i podał mu kartkę.

Fazio przeczytał list i odłożył bez słowa na biurko.

– Co o tym myślisz?

Fazio pokręcił głową.

– Bo ja wiem?

– Mów, co masz do powiedzenia!

– Komisarzu, ten list wydaje mi się zupełnie bez znaczenia, napisano go bez żadnego powodu.

– Pozornie tak to właśnie wygląda.

– A tak nie jest?

– Po pierwsze, autor jest zarozumiały. Być może jest nawet inteligentny i ma o sobie wysokie mniemanie, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. A zarozumialec nie zawsze umie się powstrzymać. W pewnej chwili chce za wszelką cenę pokazać, jaki jest wspaniały.

– I co dalej?

– Po drugie, chciałby mi wmówić, że włamania są jedynie rozrywką, sposobem na zabicie czasu.

– A tymczasem?

– A tymczasem wydaje mi się, że szuka czegoś konkretnego, jednej jedynej rzeczy, która go interesuje.

– Czegoś do ukradzenia?

– Nie wiadomo, trudno powiedzieć. Często takie kradzieże mają też, tak to ujmę, skutki uboczne. Kiedy byłem wicekomisarzem, włamano się do pewnego domu. Właścicielka zgłosiła kradzież biżuterii. Przez przypadek mąż zobaczył tę listę, a na niej kolczyki i naszyjnik, których nigdy nie sprezentował żonie. Kupił je jej kochanek. I skończyło się awanturą.

Spędził cały ranek, podpisując jeden dokument za drugim, dopóki nie zdrętwiała mu ręka.

Pomnik biurokraty idealnego, pomyślał Montalbano, powinien przedstawiać człowieka z prawą ręką na temblaku.

Pojechał do Marinelli, licząc na to, że spotka tam opalającą się na plaży Livię.

A jednak zobaczył ją ubraną do wyjścia.

– Muszę natychmiast wracać do Genui.

– Co się stało?

– Zadzwonili z biura, że dwie koleżanki się rozchorowały, i nie mogłam odmówić. Wiesz przecież, że w dzisiejszych czasach mogą wykorzystać najdrobniejszy pretekst, żeby cię wywalić.

Cholera! A przecież wreszcie zaczęło im się tak dobrze układać!

– Zarezerwowałaś lot?

– Tak, wylatuję o piątej.

Montalbano spojrział na zegarek. Była dokładnie pierwsza.

– Mamy godzinę. Jestem wolny, mogę cię odwiedzić na lotnisko, a teraz pojedźmy zjeść coś szybkiego u Enza albo...

Livia uśmiechnęła się.

– Albo... – powiedziała.

Podróż na lotnisko przebiegała spokojnie aż do skrzyżowania przy Lercara Freddi. Droga była zablokowana i jakiś policjant z drogówki wytłumaczył komisarzowi, że wjechały na siebie dwie ciężarówki i trzeba będzie pojechać objazdem.

Nagle znaleźli się na czymś w rodzaju wiejskiej drogi, pośród lwich paszczy, nad którymi, w nieregularnych odstępach, wyrastały niezwykle wysokie turbiny wiatrowe.

Livia była zachwycona.

– Ależ wy macie pejzaże...

– A wy w Ligurii to nie?

Zwyczajowa wymiana uprzejmości, jako że między nimi dobrze się teraz układało. W przeciwnym razie pejzaż zostałby nazwany przez nią „bandyckim”.

Dojechali na lotnisko w Palermo godzinę przed odlotem, tylko po to, żeby się dowiedzieć, że samolot odleci z godzinnym opóźnieniem.

Ponieważ byli bez obiadu, Livia objadła się cannoli.

Kiedy samolot Livii odleciał, Montalbano zadzwonił z lotniska do komisariatu i uprzedził Catarellę, że nie będzie go po południu. Zawiadomił też Adelinę, że od jutra ma już zielone światło i może pojawić się w domu nazajutrz rano. Po czym wsiadł do auta i pojechał do Vigaty najdłuższą drogą, tą przez Fiaccę.

Dojechał o ósmej trzydzieści i natychmiast poszedł do restauracji specjalizującej się w homarach.

Nie żałował sobie.

O jedenastej był już w Marinelli.

Nie zdążył wejść do domu, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwoniła zdenerwowana Livia.

– Gdzie ty byłeś? Dzwoniłam już cztery razy! Bałam się, że miałeś wypadek!

Uspokoił Livię, wziął prysznic i usiadł na werandzie z whisky i papierosem.

Nie miał chęci o niczym myśleć, wolał patrzeć na nocne morze.

Po jakiejś godzinie wszedł do domu, włączył telewizor i usiadł na fotelu.

Odbiornik był ustawiony na „Televigàte” i od razu zobaczył przypominającą kurzy kuper twarz Pippa Ragonese, komentatora i zwolennika jednej zasady: być zawsze po stronie tych, którzy trzymają władzę.

Ragonese miał na pieńku z Montalbano.

„Z Vigaty doszły do nas informacje, że od kilku dni działa tam dobrze zorganizowana szajka specjalizująca się w okradaniu mieszkań. Do tej pory miało miejsce już parę włamań dokonanych w pewien szczególny sposób, którego wytłumaczenie naszym widzom zajęłoby zbyt dużo czasu. Grupa przestępcza nie składa się z cudzoziemców, jak to się często zdarza na północy Włoch, ale z Sycylijczyków. To, co zadziwia, to cisza ze strony policji.

Wiemy, że dochodzeniem zajmuje się komisarz Montalbano.

Szczerze mówiąc, nie sposób powiedzieć, że śledztwo znajduje się w dobrych rękach, pamiętając, co...”

Zgasił telewizor i posłał do diabła dziennikarza.

Ale jedno go zastanowiło: w jaki sposób Ragonese dowiedział się o włamaniach?

Z pewnością nie powiedział mu o nich nikt z komisariatu ani z prokuratury.

A może to sam szef bandy anonimowo poinformował o wszystkim dziennikarza?

Znając już jego zarozumiałstwo, nie mógł znieść ciszy wokół zaplanowanych przez siebie kradzieży.

Montalbano czuł się zmęczony, zmęczyła go podróż na lotnisko. Postanowił się położyć.

Przyśnił mu się sen.

Nie wiedząc dlaczego ani po co, znajdował się na środku areny, ubrany jak marionetka z kukielkowego teatru. Siedział na koniu, dzierżąc włócznie paladyna.

Scenie przypatrywali się damy i kawalerowie, którzy wznosili okrzyki:

– Niech żyje Salvo! Niech żyje obrońca chrześcijaństwa!

Nie mógł odpowiedzieć, pochylając się w ukłonie, bo uniemożliwiła mu to zbroja. Podnosił zatem tylko wazącą sto kwintali rękę, machając zakutą w metal dłonią.

Potem rozległ się dźwięk trąb i na arenę wjechał rycerz w czarnej zbroi, przerażający olbrzym z opuszczoną przyłbicą zasłaniającą twarz.

Karol Wielki, we własnej osobie, powstał i powiedział:

– Niech rozpocznie się pojedynek!

Montalbano natychmiast ruszył w stronę czarnego rycerza, który stał nieruchomo niczym posąg.

Potem, zniecka, włócznia czarnego rycerza rozerwała mu ramię.

Kiedy upadał na ziemię, zobaczył, że czarny rycerz podnosi przyłbicę.

Nie miał twarzy, tylko gumową piłkę.

Montalbano zrozumiał, że to szef bandy, który za chwilę go zabije.

Najświętsza Panienko, co za potworny wstyd przed wszystkimi.

Obudził się spocony, z sercem bijącym jak szalone.

Telefon zadzwonił po ósmej.

Komisarz zaklął.

W skrytości ducha postanowił wylegiwać się do dziewiątej i wypić w łóżku kawę przygotowaną przez Adelinę.

– Słucham? – zapytał szorstko.

– Święty Boże, panie komisarzu! Co ja mogę poradzić, że znowu okradzili kogoś! Jeśli pan chce, mogę zadzwonić za pół godziny – wyjęczał Catarella.

– Już i tak nie śpię. Mów, o co chodzi.

– Właśnie dzwoniła pani Angelica Cosulich.

Akurat Cosulich! Angelica Cosulich. Numer czwarty na liście.

Co było do udowodnienia.

– Gdzie ona jest?

– Na ulicy Cavour numer czternaście!

Na tej samej ulicy mieszkają Peritore!

- Powiedziałeś Faziowi?
- Jest obecnie wyłączony.
- No dobrze, powiedz tej pani, że już do niej jadę.

Dom, w którym mieszkała pani Cosulich, przypominał rożek z lodami. Łącznie z kawałkami orzeszków przyczepionymi na dachu.

- Cosulich? – zapytał portiera.
- Która?

Boże, byle znowu nie musiał kłócić się z portierem. Naszła go chęć, żeby odwrócić się i odejść, ale się opanował.

– Cosulich.

– Rozumiem, nie jestem głuchy. Ale tu mieszkają dwie. Angelica i Tripolina.

Chciał powiedzieć, że szuka Tripoliny, tylko po to, żeby poznać kobietę noszącą takie imię.

– Angelica.

– Ostatnie piętro.

Superszybka winda w okamgnieniu uniosła go na ostatnie piętro, podczas gdy żołądek powędrował do gardła. Komisarz znalazł się tam, gdzie zazwyczaj na czubku rożka z lodami ląduje bita śmietana.

Powitał go olbrzymi podest w kształcie półksiężyca i jedne drzwi, do których zadzwonił.

– Kto tam? – zapytał po chwili zza zamkniętych drzwi młody, kobiecy głos.

– Komisarz Montalbano.

Drzwi otworzyły się i komisarzowi przydarzyły się jednocześnie trzy rzeczy:

Pierwsza w życiu, lekka utrata wzroku, której towarzyszyła mgła przed oczami, ciężkie nogi i wyraźny brak tchu.

A wszystko to dlatego, że pani Cosulich była nie tylko oszałamiającą trzydziestoletnią piękną o naturalnej urodzie, pozbawioną jakichkolwiek, stosowanych wzorem dzikusów, upiększeń twarzy, ale...

Czy to wszystko było owocem jego wyobraźni?

Czy to się dzieje naprawdę?

Pani Cosulich wyglądała identycznie jak Angelica z *Orlanda szalonego*^[1], dokładnie tak samo ją sobie wyobrażał i zakochał się w niej w wieku szesnastu lat, oglądając ilustracje Gustava Dorè, które ukrywał przed nim wuj.

Coś niewiarygodnego, prawdziwy cud.

*Jedno jej co zajrzał, poznał warkocz złoty,
Choć z daleka, i one anielskie przymioty
I piękną twarz, dla której srodze skłopotany,
W krętej sieci miłości został uwikłany*^[2].

Angelica, ach, Angelica!

Zakochał się w niej jak szalony od pierwszego wejrzenia. Nie spał całymi nocami, wyobrażając sobie, że robi z nią rzeczy tak świńskie, że nie opowiedziałyby o nich nawet najlepszemu kumplowi.

Ileż to razy wyobrażał sobie, że to on jest Medorem, rycerzem, w którym Angelica się zakochała, przyprawiając o szaleństwo biednego Orlanda!

Drżąc z podniecenia, wyobrażał sobie nagą Angelicę wyciągniętą na sianie w grocie, obok wygasłego ogniska, podczas gdy na zewnątrz lał deszcz, a z oddali słychać było beczenie owieczek...

*I więcej, niżli miesiąc, potem tam mieszkali
I pociech swych i wczasów miłych zażywali.
Nie mogła prawie nigdy być bez młodzieńczyka
Ani się jem nasycić piękna Angelika,
I choć mu ustawicznie u szyje wisała,
Przecię tem swoich wielkich żądz nie umarzała.*

– Proszę wejść.

Lekka mgła przesłaniająca mu oczy rozwiała się i Montalbano dopiero teraz zobaczył, że kobieta ma na sobie białą, obcisłą bluzkę.

*Okrągłe piersi były podobne do mleka,
Które dopiero piękna wydoiła ręka...*

No, może piersi, o których pisał poeta, nie należały do Angeliki,
w każdym razie...

6

– Proszę wejść – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się na widok zażenowania komisarza.

Jej uśmiech był jak stuwatowa żarówka nagle rozświetlająca mrok.

Montalbano potrzebował naprawdę dużo silnej woli, aby powrócić z przeszłości i zrozumieć, że teraz nie ma już szesnastu lat, tylko pięćdziesiąt osiem.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

Wszedł do środka.

Już w przedpokoju widać było spustoszenie, jakiego złodzieje dokonali w tym mieszkaniu.

Apartament był wielki, urządzone w bardzo nowoczesnym stylu. Przypominał statek kosmiczny, a okrężał go zapewne równie wielki taras.

– Proszę posłuchać – powiedziała Angelica. – Jedyne pomieszczenie w jako takim porządku to kuchnia. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, możemy tam pójść.

Z panią wszedłbym nawet do chłodni – pomyślał Montalbano.

Ale powiedział co innego:

– Oczywiście.

Miała na sobie czarne spodnie, równie obcisłe co bluzka, a możliwość oglądania jej z tyłu była prawdziwym darem bożym.

Widok krzepiący i osłabiający zarazem.

Podsunęła mu krzesło.

– Proszę siadać, napije się pan kawy?

– Tak, dziękuję. Ale najpierw poprosiłbym o szklankę wody.

– Dobrze się pan czuje, komisarzu?

– Bbb... bardzo dobrze.

Woda nieco go orzeźwiła.

Dokładnie tak samo jak u Peritorów. Tyle że tu brakowało mężczyzny.

W mieszkaniu nie widać było ani śladu jakiegokolwiek męskiej obecności.

Podana mu kawę i usiadła, pijąc swoją, naprzeciwko.

Wypili w ciszy.

Montalbanowi bardzo to odpowiadało, mogli tak siedzieć, sącząc kawę, do jutra rana.

A nawet dłużej, dopóki komisariat nie zgłosi jego zaginięcia.

Potem powiedziała:

– Jeśli chce pan zapalić, proszę bardzo, mnie też może pan poczęstować.

Wstała, poszła po popielniczkę i ponownie usiadła.

Zaciągnęła się i powiedziała półgłosem:

– Krótko mówiąc, zrobili to identycznie jak u moich przyjaciół Peritorów.

Miała niebiański głos, czarujący, jak flet zaklinający węże.

Trzeba było zabrać się do tej cholernej pracy, nawet jeśli nie miał na to żadnej ochoty.

Odchrząknął, mimo wypitej właśnie wody czuł suchość w gardle.

– Pani też dzisiaj noc spędziła w domu poza miastem?

Miała długie blond włosy sięgające jej aż do połowy pleców.

Zanim się odezwała, odgarnęła włosy z twarzy.

Po raz pierwszy wydała się komisarzowi zmieszana.

– Tak, ale...

– Ale?

– To nie był dom.

– Mieszkanie?

– Też nie.

Czyli co, spała pod namiotem czy w przyczepie?

– To w końcu gdzie?

Angelica zaciągnęła się mocno i wydmuchała dym.

Potem spojrzała komisarzowi prosto w oczy.

– W pokoju z małżeńskim łóżkiem i łazienką, z osobnym wejściem.

Zrozumiał pan?

Dokładnie wymierzony cios w serce. Strzał oddany przez najlepszego strzelca. Zabolęło, ale

*Nakoniec ciężka żałość wewnątrz w niem została,
Która nazbyt skwapliwie z niego wypaść miała.*

– Rozumiem – powiedział.

Garsoniera. Dosadniej nazywana pieprznikiem.

Ale po raz pierwszy to kobieta okazała się właścicielką takiego przybytku.

Odczuł potężny przypływ zazdrości, jak to przydarzyło się Orlandowi, kiedy wyobrażał sobie

Angelikę z Medorem pospołu związanych...

A ona wytłumaczyła:

– Mam narzeczonego, ale pracuje za granicą, wraca do Włoch na tydzień raz do roku, a ja co pewien czas potrzebuję... proszę mnie zrozumieć, to żaden stały związek.

Mogę wpisać się na listę oczekujących? – chciał zapytać Montalbano, ale powiedział tylko:

– Proszę opowiedzieć, jak to się stało.

– Wczoraj wieczorem, po kolacji, jakieś wpół do dziesiątej, wsiadłam w samochód i pojechałam w stronę Monreale. Zaraz za miastem dosiadł się... chłopak, z którym byłam umówiona, i pojechaliśmy do willi, w której wynajmuję mieszkanie.

– Przepraszam, a do kogo należy ta willa?

– Do jednego mojego kuzyna, który mieszka w Mediolanie i przyjeżdża tylko latem na dwa tygodnie.

– Proszę mi wybaczyć, ale ponownie muszę pani przerwać.

– To pańska praca – powiedziała, uśmiechając się, Angelica.

Pies drapał garsonierę, była tak apetyczna, że każdy chciałby ją schrupać, jak jakiś soczysty owoc.

– Złodzieje okradli pani pokój?

– Oczywiście.

– A willę?

– Wie pan, że miałam takie podejrzenie. Poszłam sprawdzić, wiem, gdzie kuzyn trzyma klucze. Ale do willi nie weszli.

– Proszę mówić dalej.

– Mało już mam do powiedzenia. Wypiliśmy po kieliszku, porozmawialiśmy, na ile się dało, i potem poszliśmy do łóżka.

*I coraz tak go gryzły żale niepojęte,
Mdle serce zimną ręką czuł w sobie ujęte.*

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałym...

– Ależ skąd, proszę pytać.

– Powiedziała pani, że porozmawialiście, na ile się dało.

– Tak.

– Co to znaczy?

Uśmiechnęła się odrobinę złośliwie.

– Nie zawsze umawiam się z osobami wykształconymi. Interesują mnie inne przymioty. Ten wczoraj był w sumie prawie analfabetą.

Montalbano przełknął ślinę. Poczł gorycz. Jak to mówił inny poeta?

*Poławiacz gąbek
zdobędzie tę rzadką perłę... [3]*

– Proszę mówić dalej.

– Co jeszcze? Obudziłam się o siódmej ze strasznym bólem głowy. On z kolei spał jak suseł. Wyciągnęłam rękę w stronę szafki nocnej, chciałam zobaczyć, która godzina, ale nie było tam zegarka, który wczoraj zostawiłam. Pomyślałam, że może spadł. Wstałam i wtedy zorientowałam się, że wszystko ukradli.

– Co znaczy wszystko?

– Zegarek, naszyjnik, bransoletkę, telefon, komputer, portfel, torebkę i klucze do tego mieszkania. Wysłałam na zewnątrz. Samochód też ukradli.

– Po co wzięła pani komputer?

– Dobre pytanie, w punkt – odpowiedziała, śmiejąc się. – Żeby zobaczyć jakiś instruktażowy filmik, rozumie pan?

Chce w sobie żal utaić Orlando

- Rozumiem. Jak pani wróciła?
- W garażu willi stoi małe auto mojego kuzyna.
- Miała pani dużo pieniędzy w portfelu?
- Trzy tysiące euro.
- Proszę mówić dalej.
- Pojechałam natychmiast do domu, wiedziałam, co tu zastanę.
- Dużo ukradli?
- Sporo, i to bardzo cennych rzeczy, niestety.
- Musi pani to zgłosić na komisariacie.
- Przyjadę później, muszę się zastanowić, co ukradli.

Przerwała.

- Da mi pan jeszcze jednego papierosa?

Montalbano podał jej ogień.

- A dlaczego nie robi pan tego, co powinien? – zapytała nagle.

Montalbano zmieszał się,

- Ja? A co powinienem robić?
- No nie wiem, wyciągnąć lupę, robić zdjęcia, wezwać techników...
- Chodzi pani o odciski palców?
- Tak.

– Przecież tacy zdolni złodzieje działają w rękawiczkach! Tylko bym stracił czas. À propos, jak weszli do pani piep... pokoju w willi?

Chciał powiedzieć: pieprznika, popełniłby kolosalną gafę.

A właściwie, jakby się tak dobrze zastanowić, to dlaczego gafę? Angelica nie owijała w bawełnę, mówiła prosto z mostu.

– Mój pokój znajduje się z tyłu willi i wchodzi się do niego po zewnętrznych schodach. Obok drzwi jest zakratowane okno, tylko tędy powietrze wpada do środka. Zostawiam je otwarte. Oczywiście oprócz łóżka jest tam też stolik i dwa krzesła. Klucze do pokoju kładę zawsze na tym stoliku. Złodzieje prawdopodobnie wpuścili gaz przez uchylone okno.

Potem, kiedy już usnęliśmy, wsadzili składany kij z hakiem na końcu i przysunęli sobie stół. A potem wystarczyło już tylko wyciągnąć rękę.

Specjaliści ze składanym kijem, raz z magnesem, a teraz z hakiem...

– Przepraszam, ale ten kij to pani sobie wymyśliła?

– Nie, sama widziałam, porzucili go pod drzwiami.

Montalbano zamknął na chwilę oczy, teraz nadszedł czas na najbardziej bolesną dla niego chwilę. Skoczył na główkę.

– Muszę zadać pani osobiste pytanie.

– Proszę bardzo.

– Czy ten pani towarzysz był już tam kiedyś wcześniej?

– Nigdy, nie lubię odgrzewanych zup.

– Jak często pani tam jeździ?

– Mniej więcej co dwa tygodnie. Bywają wyjątki, to oczywiste.

Nie jestem tem, czem się zdam z twarzy:

– Oczywiście – powiedział Montalbano z obojętną miną.

I zapytał:

– Zdarzyło się pani kiedyś pokłócić z którymś z nich?

– Raz.

– Kiedy?

– Jakiś miesiąc temu.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Chciał więcej.

– Ile ustaliliście?

– Dwa tysiące.

– A ile chciał?

– Cztery tysiące.

– Dała mu pani tyle?

– Nie.

– Jak to pani załatwiła?

– Zagroziłam mu.

– Czym?

– Że go postrzelę.

Powiedziała to w taki sposób, jakby strzelanie było najzwyczajszą rzeczą pod słońcem.

– Żartuje pani?

– Ależ skąd. Kiedy jadę na takie spotkanie, czuję się pewniej, zabierając pistolet. Mam pozwolenie na broń.

W odróżnieniu od Angeliki z czasów jego młodości ta nie uciekała w obliczu zagrożenia.

Montalbano ocknął się jak po krótkim zemdleniu.

– Wczoraj wieczorem też miała pani pistolet w torebce?

– Tak.

– I ukradli go?

– Oczywiście.

– To już poważna sprawa. Kiedy przyjdzie pani na komisariat, proszę przynieść wszystkie dokumenty związane z tą bronią.

– Jasne.

– Czy pani pracuje?

– Tak.

– Czym się pani zajmuje?

– Od sześciu miesięcy jestem szefem kasjerów w Banku Sycylijsko-Amerykańskim.

Może przeniosę tam moje konto – pomyślał.

Zapytał:

– Jak pani znajduje tych mężczyzn?

– Spotykam ich przez przypadek albo w banku... Wie pan, nieraz nie trzeba nawet rozmawiać, rozumiemy się w lot.

– A klucze do tego mieszkania?

– Zostawili je w przedpokoju.

– Ostatnie pytanie: skąd pani pochodzi?

– Co takiego?

– Gdzie się pani urodziła?

– W Trieście, ale moja mama była z Vigaty.

– Nie żyje?

– Nie, ojciec też nie. To był potworny... wypadek, miałam wtedy pięć lat. Kiedy to się stało, nie było mnie z nimi, rodzice wysłali mnie do Triestu, do dziadków.

Jej błękitne oczy zrobiły się nagle granatowe, najwidoczniej śmierć rodziców była dla niej bolesnym tematem.

Montalbano wstał.

Ona też.

– Mam do pana ogromną prośbę – powiedziała Angelica, zasłaniając twarz włosami.

– Słucham.

– Można by ominąć pierwszą część?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Zrobiła krok do przodu i położyła dłonie na klapach marynarki komisarza.

Była tak blisko, że Montalbano czuł zapach jej skóry. Zakręciło mu się w głowie.

Wydawało mu się, że jej ręce pieką, z pewnością odcisnęłyby piętno na marynarce.

– Mógłby pan... pominąć sprawę tego pokoju i powiedzieć, że włamali się tylko tutaj?

Montalbano poczuł, że za chwilę rozpułynie się jak lód na słońcu.

– Cóż... to byłoby możliwe, ale i niezgodne z prawem.

– Naprawdę nie mógłby pan tego pominąć?

– Mógłbym, ale... kto nam zagwarantuje, że osoba, która spędziła z panią noc, nie zacznie opowiadać na prawo i lewo, jak to naprawdę było?

– To już pańska sprawa, tym już pan powinien się zająć.

Odsunęła ręce od marynarki, zarzuciła je na plecy Montalbana i splotła dłonie na szyi.

W tej pozycji jej wargi znajdowały się niebezpiecznie blisko.

*Im więcej odpoczynku szuka i pokoju,
Tem większy ma niepokój...*

– Jeżeli wyda się sprawa tego pokoju, to już po mnie. Z panem byłam szczerą, od razu zrozumiałam, że mogę panu zaufać... Ale jeśli to się rozniesie, to z pewnością będę miała nieprzyjemności w biurze, może nawet mnie zwolnią... Błagam pana! Odwdzięczę się!

Montalbano natychmiast rozłączył ich ciała, cofając się o krok.

– Zobaczę, co da się zrobić. Do zobaczenia.

Wyszedł prawie biegiem.

Był spocony i czuł się jak po wypiciu duszkiem połowy butelki whisky.

Opowiedział wszystko Faziowi. Oczywiście bez zdawania relacji ze stanu uczuć wobec Angeliki.

– Zastanówmy się po kolei nad wszystkim, komisarzu. Zacznijmy od kradzieży w pieprzniku.

Nie wiedzieć czemu to słowo w ustach Fazia denerwowało go.

– Rozumie pan, dlaczego zostawili ten przyrząd, dzięki któremu weszli do mieszkania?

– Składany teleskopowy kijek? Długo o tym myślałem. Wszystko, co robią, ma jakiś sens. Jak w bilardzie, w tej grze ruchy powtarza się zawsze w ten sam sposób.

– Nie rozumiem.

– Zaraz ci wytłumaczę. Włamanie odbywa się zawsze dwuetapowo. Najpierw wchodzi do willi albo do pokoju, w zależności od okoliczności, kiedy śpią tam właściciele lub właścicielka. W ten sposób zdobywają klucze do mieszkania w mieście. Uderzają kulę, kierując ją w stronę bandy A, aby uderzyła w bandę B. Teraz rozumiesz?

– Jasne.

– Dlatego zrozumiałem, że włamanie do wiejskiego domku Incardony miało na celu wprowadzenie nas w błąd. Nie było zgodne z przyjętym przez nich planem działania.

– A ten kijek?

– Zaraz do tego dojdę. Zostawiają go na miejscu, to ma podwójne znaczenie. To pewnie pomysł szefa tej całej bandy. Z jednej strony znaczy to, że już tu nie wrócą, a z drugiej, że to jeszcze wcale nie koniec. Że niby

mają jeszcze wiele sposobów na zdobycie kluczy do mieszkania. Dlatego też porzucają klucze w przedpokojach mieszkań w mieście, mówiąc: już nie są nam potrzebne. Przekonałem cię?

– Tak. A co do pani Cosulich – nie chce pan mówić o tym wynajętym pokoju?

– I chciałbym, i boję się. Z jednej strony chciałbym wyświadczyć jej przysługę, a z drugiej boję się, że ten chłopak, który był z nią...

– Na to akurat jest sposób – powiedział Fazio. – Kiedy pani Cosulich przyjedzie złożyć zeznanie, zapytam ją o nazwisko tego chłopaka i sam z nim porozmawiam. Przekonamy go, żeby siedział cicho jak trusia.

– Ale problemem jest nie tylko ten mały.

– To znaczy?

– To znaczy, że nasze zatajenie rzeczywistego przebiegu wydarzeń odkryje szef bandy, nazwijmy go panem Zet. I on właśnie może wykorzystać to wykroczenie przeciwko nam.

– To prawdopodobne – powiedział Fazio. – Ale sam pan zauważył, że pan Zet jest zarozumiałcem.

– I co z tego?

– Być może to nasze wykroczenie zdenerwuje go i skłoni do zrobienia fałszywego kroku. Co pan na to?

Montalbano nie odpowiedział.

– Słyszysz mnie pan, komisarzu?

Montalbano wpatrywał się w ścianę naprzeciwko.

Fazio zaniepokoił się.

– Dobrze się pan czuje, komisarzu?

7

Montalbano zerwał się na równe nogi, uderzając dłonią w czoło.

– Ale ze mnie dureń! Masz rację. Napiszemy raport w takiej wersji, jak chce Cosulich. Ale musisz działać szybko.

– Jestem gotowy.

– Weź spis przyjaciół Peritorów i sprawdź, którzy z nich też mają domy za miastem, w których spędzają weekendy i nocują. Widzimy się za godzinę.

– Dokąd pan idzie?

– Spotkać się z Zito.

Jadąc do Montelusy, straci okazję, żeby zobaczyć Angelicę, ale trudno.

Zaparkował przed siedzibą „Retelibery”, wysiadł i wszedł do środka. Sekretarka uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Jaka miła niespodzianka! Dawno pana u nas nie było. Dobrze pan komisarz wygląda.

– A ty jesteś jeszcze piękniejsza.

– Dyrektor jest u siebie, może pan wejść.

Z Zito przyjaźnił się od dawna.

Drzwi gabinetu były otwarte i dziennikarz, widząc Montalbana, zerwał się, żeby go powitać.

– Jak tam żona i syn?

– Wszyscy mają się dobrze, w czymś ci mogę pomóc?

– Tak.

– Do usług!

– Słyszałeś, że Ragonese poinformował o dwóch włamaniach?

– Tak.

– Ale było jeszcze trzecie. Nikt jeszcze o tym nie wie.

– Dasz mi to na wyłączność?

– Tak.

– Dziękuję, co mam powiedzieć?

– Że okradziono apartament pani Angeliki Cosulich zamieszkałej w Vigacie przy ulicy Cavour pod numerem czternastym. I podkreśl, że w sąsiednim domu o numerze trzynastym wcześniej włamano się do państwa Peritore. Trzeba zaznaczyć także, że pani Cosulich w chwili włamania spała w mieszkaniu, ale oszołomiono ją gazem. To tyle.

– Czego się po tym spodziewasz?

– Jakiejś reakcji.

– Z czyjej strony?

– Szczerze mówiąc, to nie umiem ci powiedzieć. Ale jeśli ktoś do ciebie zadzwoni albo przyśle anonim związany z tą wiadomością, to pamiętaj, żeby mnie powiadomić.

– Puszczę to w wiadomościach o trzynastej – powiedział Zito. – A potem powtórzę o dwudziestej.

Montalbano wrócił na komisariat, pędząc siedemdziesiąt na godzinę, co w jego przypadku oznaczało prędkość godną Formuły Jeden.

– Przyślij do mnie Fazio – poprosił Catarellę.

– Komisarzu, podzwoniłem i wiem już wszystko – powiedział Fazio. – Ci z listy, którzy mają także dom poza miastem, to dwie pary i jeden singiel: państwo Sciortino, Pintacuda i pan Maniace, wdowiec.

– Dowiedziałeś się, gdzie mają te nieruchomości?

– Tak, mam adresy.

– Warto byłoby zapytać, kiedy zamierzają...

– Już to zrobiłem – powiedział Fazio. – Skoro wiedziałem, co ma pan na myśli, pozwoliłem sobie...

– Świetnie zrobiłeś. Ostatnia kradzież jak nic będzie miała miejsce w którymś z tych trzech domów.

– Pan Sciortino powiedział mi, że może dzisiaj przyjedzie do nich znajoma para z Rzymu i pojedą do domu nad morzem. Uzgodniliśmy, że jeśli wyjadą, to mnie zawiadomią.

– A pani Cosulich pojawiła się?

– Jeszcze nie.

– À propos, wdowa Cannavò, ta plotkara, co ci naopowiadała o Cosulich?

– Jak to co? Dla niej to święta! Powiedziała, że jest całkowicie wierna narzeczonemu, który odwiedza ją raz w roku, że kręcą się wokół niej tłumy mężczyzn, a ona zawsze niewzruszona jak skała.

Montalbano uśmiechnął się.

– Widać nikt nie dowiedział się o jej garsonierze! I dlatego chce i teraz utrzymać to w tajemnicy.

Montalbano spojrział na zegarek, była prawie pierwsza. W tym momencie zadzwonił telefon.

To była Angelica.

– Już jadę, przepraszam za spóźnienie.

– Kiedy tu pani dojedzie, proszę zapytać o inspektora Fazia. Spisze pani zeznanie.

– Aha.

Ton lekko rozczarowany.

A może się mylił?

– Nie zobaczę się z panem? Myślałam... jeśli nie ma pan innych zajęć... że może zjemy razem obiad.

*Niebezpieczniejszą ranę na sercu i jeszcze
Głębszą poczuła, którą przyniosło żelazce...*

– Kiedy skończy pani z Faziem, proszę do mnie zajrzeć – powiedział Montalbano tonem lawirującym pomiędzy urzędowym a obojętnym.

A tak naprawdę, gdyby nie Fazio stojący nadal w jego pokoju, zaczęłyby skakać z radości.

Jak zabić czas, czekając, aż Angelica skończy zeznawać u Fazia?

Takie pytanie przypomniało mu pewien epizod z czasów, kiedy był jeszcze wicekomisarzem. Dzięki wspomnieniom minęło mu trochę zdenerwowanie i wewnętrzna trzęsionka.

Pewnej nocy zaczął się razem z dwójką swoich ludzi w zaułku nieznanego mu miasteczka, na które składało się trzydzieści domów porzrzucanych w górach.

Mieli złapać ukrywających się bandytów.

Nadszedł ranek, wzeszło słońce.

Nie mieli tu już nic więcej do roboty, cała operacja nie wypaliła.

Poszedł razem z kolegami na kawę i z daleka zobaczył kiosk z gazetami na głównej drodze.

Kiedy już był blisko niego, zorientował się, że wystawione gazety są stare, pochodziły z 1940 roku.

Był tam nawet egzemplarz „Il Popolo d’Italia”, faszystowskiego dziennika numer jeden, który publikował na pierwszej stronie przemówienie Mussoliniego wypowiadającego wojnę.

Poruszony i zaciekawiony wszedł do kiosku.

Na drewnianych, pokrytych kurzem półkach leżały mydła, pasty do zębów, żyletki, puszki z brylantyną, wszystko z tej samej epoki co gazety.

Za ladą stał chudziutki siedemdziesięciolatek z kocią bródką, w okularach o grubych szklach.

– Potrzebuję pasty do zębów – powiedział Montalbano.

Staruszek podał mu pastę.

– Musi pan jej jednak najpierw spróbować – poradził. – Może nie być już dobra.

Montalbano odkręcił zakrętkę, nacisnął tubkę i zamiast pasty wyleciał z niej czerwony pył.

– Już wyschła – powiedział zawiedziony staruszek.

Ale w jego oczach widać było rozbawienie.

– Spróbujmy jeszcze innej – powiedział Montalbano, ponieważ chciał do końca zbadać tak fascynującą sprawę.

Z drugiej tubki też wydobył się pył.

– Proszę mi wybaczyć – odważył się wreszcie zapytać. – W jaki sposób zarabia pan na tym sklepie?

– W ogóle nie zarabiam, szanowny panie, spędzam tu tylko czas z przyjezdnymi, takimi jak pan.

Spędzać czas znaczyło przeżyć.

Jak wtedy, kiedy zaczął walczyć z jaszczurką w pełnym słońcu. Próba sił.

Zapukano do drzwi.

– Proszę.

Weszli Fazio i Angelica.

– Nie zajęło nam to dużo czasu, bo pani świetnie się spisała, przywiozła nam szczegółową listę wszystkich skradzionych rzeczy – powiedział Fazio.

– To możemy jechać? – zapytał komisarz Angelicę.

– I to szybko – odpowiedziała, uśmiechając się.

– Ma pani samochód?

– Zapomniał pan, że mi go ukradli?

Widząc ją u swego boku, zaczął tracić głowę.

– W takim razie pojedziemy moim.

– Dokąd mnie pan zawiezie?

– Tam, dokąd zazwyczaj jeżdżę. Do Enza. Była tam pani kiedyś?

– Nie, my mamy zniżkę w jednym z lokali zaraz za bankiem. Taki sobie. U tego Enza jest dobre jedzenie?

– Wspaniałe, w przeciwnym razie bym tam nie jeździł.

– Ja też lubię dobrze zjeść, nic wyszukanego, same proste rzeczy, ale dobre.

Punkt na jej korzyść!

A właściwie był to już punkt tysięcy pierwszy, bo pierwszy tysiąc dostała za samą obecność.

Enzo osłupiał na widok tak pięknej kobiety i przez chwilę wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Potem spostrzegł małą plamkę na obrusie i uparł się, żeby go wymienić.

– Co państwo zjedzą?

– Ja zjem to wszystko, co zamówi ten pan – oświadczyła Angelica.

*I zajął się w niej płomień miłości obfity,
Który w niej z lekka palił serce zapalone.*

Montalbano zaczął litanie.

– Przystawka z owoców morza?

– Super!

– Spaghetti z jeżowcami?

- Doskonale!
- Smażone barweny?
- Świetnie!
- Wino domowe?
- W porządku.

Enzo odszedł szczęśliwy.

Teraz Montalbano musiał powiedzieć najtrudniejszą rzecz.

– Uzna mnie pani za prostaka i z pewnością będzie pani miała rację. Ale muszę panią ostrzec: kiedy jem, nienawidzę rozmawiać. Jeśli o panią chodzi, mogę oczywiście, i to z ogromną przyjemnością, posłuchać.

Angelica zaczęła się śmiać.

Jej śmiech był jak podskakujące na ziemi spadające perły.

– Dlaczego się pani śmieje?

– Bo ja też nie lubię rozmawiać w trakcie jedzenia. Nie może pan sobie wyobrazić, jakie katusze cierpię, siedząc z ludźmi z banku na obiedzie, w dodatku gadają wyłącznie o pracy!

Nie zamienili już ze sobą ani słowa, ograniczając się do spojrzeń, uśmiechów, pomruków, serwowanych w dużych dawkach.

To było o wiele lepsze niż długa dyskusja.

Nie żalowali sobie jedzenia i wyszli od Enza trochę ociążali.

– Odwiozę panią do domu?

– Pan wraca na komisariat?

– Nie od razu, najpierw...

– Najpierw co?

– No więc...

Powiedzieć jej czy nie? Mógł jej to wyznać?

– Jadę do portu, parkuję i jak co dnia robię sobie spacer po molo. Aż do latarni. Tam siadam na skale, palę i potem wracam.

– A czy na tej skale znajdzie się miejsce dla dwóch osób?

Miejsce się znalazło, ale nie było go zbyt dużo i ich ciała siłą rzeczy musiały się zetknąć.

Wiał leciutki wiaterek.

*Miłość to ten wiatr czyni, która mię ogniami
Pali, które rozżarza, machając skrzydłami.
Twój to cud, o miłości, że choć mię tak palisz
I w ogniu zawsze trzymasz, nigdy mię nie spalisz.*

Wypalili w milczeniu.

Potem ona powiedziała:

- Co do tej mojej prośby...
- Fazio nic pani nie powiedział?
- Nie.
- Postanowiliśmy przychylić się do pani prośby.

Odpowiadając na jej pytanie, powinien używać odpowiednich słów, jeśli chciał zachowywać się jak doskonały biurokrata.

Zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji każde wypowiedziane słowo mogło przechylić szalę w jedną lub w drugą stronę, wpływając na natychmiastowy zwrot akcji.

- Dziękuję.
- Wracamy? – zapytał Montalbano.
- Wracamy.

Angelica wzięła go za rękę. Ten gest wydał się mu niezwykle naturalny i prosty.

Doszli do samochodu.

- Odwiozę panią do banku?
- Nie, wzięłam wolny dzień. Chcę wszystko posprzątać, gospościa ma mi pomóc.
- Czyli odwiozę panią do domu?
- Wolę się przejść. Zresztą to niedaleko. Dziękuję za towarzystwo.
- To ja dziękuję.

W ciągu kolejnych dni nie mógł sobie przypomnieć, jak spędził tamto popołudnie na komisariacie.

Na pewno przyszedł Fazio, żeby coś mu opowiedzieć, ale komisarz w ogóle go nie zrozumiał.

Jego ciało spoczywało na krześle za biurkiem, to wszyscy mogli zobaczyć, ale nie widzieli, że głowa komisarza, jak piłka, którą bawią się dzieci, oderwana od szyi przykleiła się do sufitu.

Przytakiwała lub mówiła, bez najmniejszego sensu.

Fazio pojawił się jeszcze raz, zobaczył zagubiony wzrok Montalbana i postanowił wrócić tam, skąd przyszedł.

Komisarz czuł lekką gorączkę.

Dlaczego Angelica nie zadzwoni do niego pod jakimś pretekstem? Chciał usłyszeć jej głos.

*O zła, niesprawiedliwa, bezecna miłości!
Przecz nasze żądze trzymasz tak rzadko w sferności?*

Wreszcie nadeszła ósma.

Czas wracać do Marinelli.

Wstał, wyszedł z pokoju i kiedy przechodził koło Catarelli, zapytał:

- Ktoś do mnie dzwonił?
- Nie, panie komisarzu, do pana nie.
- Na pewno?
- Na sto procent.
- Dobran...

Catarella wszedł mu w słowo.

- Dzwonił taki jakiś.
- Kto? Nazywał się Jakiś?
- Nie, taki jakiś, bo chodziło o coś takiego jakiegoś.
- Ale co ci powiedział?
- Coś kompletnie dla nas tu w komisariacie nieprzydatnego.
- To znaczy?
- Mało z tego zrozumiałem, panie komisarzu. Powiedział, że skoro przyjechał jego przyjaciel, to on wyjeżdża. I co mu miałem odpowiedzieć? Życzyć miłych wakacji?

W głowie Montalbana nagle zapaliła się żarówka.

– Mówił, jak się nazywa?

– Tak, zapisałem sobie.

Wziął kawałek papieru i przeczytał.

– Sciocchino, tak się oto nazywał.

Sciortino! Który, zgodnie z umową, zawiadomił ich, że jedzie do domu nad morzem!

– Zadzwoń do Fazia, niech natychmiast do mnie przyjdzie.

Wrócił do swojego pokoju. Minutę później pojawił się w nim Fazio.

– Co się stało?

– Sciortinowie pojechali ze znajomymi z Rzymu do domu nad morzem.

Dowiedziałem się o tym przez przypadek od Catarelli. O mały włos w ogóle bym się o tym nie dowiedział. Nasza wina, zapomnieliśmy go uprzedzić.

– Cholera! Puściłem do domu Galla!

– Wyślijmy kogoś innego.

– Nie mamy kogo. Przez te rządowe cięcia...

– I jeszcze mają czelność nazywać to ustawą o bezpieczeństwie obywateli! Obcięli nam auta, paliwo, broń, ludzi... jasno widać, że chcą wesprzeć świat przestępczy. No dobra. Co możemy zrobić?

– Jeśli pan chce, to ja pojedę.

Montalbano pomyślał chwilę i znalazł rozwiązanie.

– Zrobimy tak: pojedę do Marinelli, zjem coś i potem o jedenastej zacznę obserwować dom. Ty mnie zmienisz o trzeciej w nocy. Daj mi adres.

Kiedy jechał do Marinelli, pomyślał, że może lepiej zobaczyć to miejsce jeszcze za dnia, skoro i tak znajdował się jakieś dziesięć kilometrów od domu państwa Sciortino.

To był dobry pomysł.

Zaraz za domem, stojącym prawie nad samym morzem, zobaczył pagórek z kilkoma drzewami. Można tam było dojechać od głównej drogi.

Siedząc wygodnie w aucie, ma się wszystko na oku.

Pojechał do domu.

Jak to często się zdarzało, usłyszał dzwonek telefonu, kiedy właśnie otwierał drzwi. Udało mu się jednak odebrać.

Dzwoniła Livia.

Nie umiał ukryć przed sobą rozczarowania.

Livia oznajmiła, że dzwoni teraz, bo późno wróci z zebrania ze związkami zawodowymi.

– A od kiedy to masz do czynienia ze związkami?

– Koledzy mnie wyznaczyli. Niestety czekają nas zwolnienia.

Montalbano życzył jej szczęścia.

Otworzył lodówkę. Była pusta. Zajrzał do piekarnika i oszalał z radości.

Adelina przygotowała obłądnie pachnącą zapiekankę z bakłażanów i parmezanu, która wystarczyłaby dla czterech osób.

Nakrył na werandzie i zaczął jeść, czując, że wpada w ekstazę.

Ponieważ po jedzeniu miał jeszcze trochę czasu, wziął prysznic i przebrał się w stare, ale wygodne ubranie.

Zadzwoił telefon.

To była Angelica.

Serce zaczęło mu dudnić jak stary pociąg jadący pod górę.

8

– Dlaczego pan dyszy?

– Trochę biegałem.

– Dzwoniłam na komisariat i byli tak uprzejmi, że dali mi pana domowy numer.

Pauza.

– Chciałam panu życzyć dobrej nocy.

Nagle wybuchła wiosna.

W fugach między kafelkami na podłodze pojawiły się margerytki.

Nadleciały dwie jaskółki i usiadły na bibliotece. Trochę poćwierkały, oczywiście zakładając, że jaskółki umieją ćwierkać.

– Dziękuję, dla mnie jednak to wcale nie będzie dobra noc.

Dlaczego to powiedział?

Chciał wzbudzić współczucie czy wydać się jej tak mężny jak Orland?

– A dlaczego? – zapytała.

– Muszę obserwować dom Sciortinów.

– Wiem, gdzie to jest. Myśli pan, że dzisiaj w nocy złodzieje...

– To możliwe.

– Sam pan tam jedzie?

– Tak.

– A gdzie się pan schowa?

– Tam z tyłu jest taki pagórek i...

– Tak, tak, wiem.

Kolejna pauza.

– To trzymam kciuki i mimo wszystko dobrej nocy.

– Pani też.

No i wreszcie zadzwoniła! Lepsze to niż nic. Poszedł do samochodu, podśpiewując przebój z lat sześćdziesiątych.

Dziesięć minut po przyjeździe zrozumiał, że to wcale nie był dobry pomysł.

Sciortinowie i ich znajomi przygotowali grill nad brzegiem morza i teraz siedzieli, paląc i pijąc.

On nie miał nic do pilnowania, mógł sobie siedzieć i rozmyślać.
I to był wielki błąd.
Ponieważ wcale nie myślał o śledztwie, złodziejach, panu Zet.
Myślał o Angelice.

*Tak barzo zamyślony, że się zdał być taki,
Jako słup marmurowy albo kamień jaki.*

Kiedy tak siedział beczynn timer, czuł, jak w środku, nagle i gwałtownie, ogarnia go wielkie poczucie wstydu.

Mimo że nikogo przy nim nie było, poczuł, że robi się czerwony na twarzy.

Co on wyprawia? Postradał zmysły?

Zachowuje się wobec tej dziewczyny jak jakiś szesnastolatek!
Wzdychać do dziewczęcia na obrazku w wieku szesnastu lat to co innego,
niż zachowywać się jak kretyn w stosunku do prawdziwej kobiety.

Pomieszały mu się marzenia nastolatka i rzeczywistość gościa dobiegającego już sześćdziesiątki.

Żałośnie! Zachowywał się żałośnie!

Tak się zakochać w kimś, kto mógłby być jego córką!

Co chciał uzyskać?

Tamta Angelica była jego młodzieńczym obiektem westchnień, a teraz starał się, z pomocą prawdziwej Angeliki, powrócić do młodych lat?

Przecież to jakieś bredzenie lubieżnego starucha!

Musi z tym skończyć. I to natychmiast.

To nie przystoi takiemu mężczyźnie jak on.

Może jeszcze Fazio go przejrzał i teraz tylko się wyśmiewa.

W jakże niegodnym i żalonym przedstawieniu przyszło mu występować!

*Więcej, niżli godzinę, głową nachylony
Ku ziemi stał bohater w miejscu, zamyślony.*

Dość tego! I koniec z tym durnym *Orlandem szalonym!*

Mimo otwartych okien zabrakło mu powietrza.

Otworzył drzwiczki, wysiadł, przeszedł się trochę. Znad morza dochodziły go śmiechy czwórki znajomych.

Zapalił papierosa drżącymi, ku jego zdumieniu, dłońmi.

Ci z dołu nie mogli go zobaczyć.

Tak więc, punkt pierwszy: po powrocie do domu natychmiast wyłączyć telefon. A nuż Angelice wpadnie do głowy zadzwonić do niego w nocy.

A jutro rano, zaraz po przyjeździe do biura, powie Catarelli, żeby...

Nagle zobaczył jakieś auto, które zjechało z głównej drogi i, ze zgaszonymi światłami i silnikiem pracującym na najmniejszych obrotach, kierowało się w jego stronę.

Serce podskoczyło mu do gardła.

Jak nic to złodzieje.

Pewnie oni też wybrali to miejsce na punkt obserwacyjny.

Wyrzucił papierosa i, schylając się, pobiegł do auta, wyjął broń i zaczął się z boku.

Samochód zbliżał się bardzo powoli ze zgaszonymi światłami.

Montalbano obmyślił plan.

Zatrzymanie ich teraz nie miałyby żadnego sensu, a nawet byłoby ogromnym błędem.

Trzeba poczekać, aż spróbują wejść do willi. Wtedy od razu ostrzeże przez komórkę właścicieli. Ci zaczną głośno wzywać pomocy, a wystraszeni złodzieje zaczną uciekać.

Komisarz zaś sprawi, że kiedy już dobiegną do auta, nie będą go mogli uruchomić.

Ciąg dalszy obmyśli już w trakcie akcji.

Samochód zatrzymał się w niewielkiej odległości. Otworzyły się drzwiczki.

Z auta wysiadła Angelica.

*Pełen skrytego ognia, do niej się pokwapi,
Pełen ognistej żądzei; ona go obłapi,
Ściskając go za szyję...*

O wiele później, kiedy Sciortinowie i ich znajomi poszli już spać, światła w willi pogasły, a księżyc w pełni rozświetlał noc, zapytał ją:

– Po co tu przyjechałaś?

– Z trzech powodów – odpowiedziała. – Ponieważ nie chciało mi się spać, ponieważ chciałam znowu cię zobaczyć i ponieważ pomyślałam, że złodziei nie wystraszy parka obściskująca się w samochodzie.

– Czyj jest ten samochód, którym przyjechałaś?

– Wynajęłam dzisiaj po południu, jest mi bardzo potrzebny.

– Nie chcę w aucie. Mamy czas.

– Ja też nie chcę.

Jeszcze później, było już wpół do trzeciej, Montalbano powiedział dziewczynie, że niedługo przyjedzie zastąpić go Fazio.

– Chcesz, żebym już pojechała?

– Tak byłoby lepiej.

– Jutro też jemy razem obiad?

– Jeśli będę wolny. Zadzwoń do biura.

Uściskali się na pożegnanie.

Całowali się tak długo, że aż zabrakło im tchu.

Potem ona odjechała.

Jakieś dziesięć minut później pojawił się Fazio. Montalbano czekał na niego koło swojego auta.

Nie chciał, żeby za bardzo się do niego zbliżał, był cały przesiąknięty zapachem Angeliki.

– Co się dzieje? – zapytał Fazio.

Ano działa się! Wydarzył się niespodziewany cud. Ale to nie miało związku ze śledztwem.

– Nic, spokój.

Bez żadnego powodu Fazio oświetlił mu twarz wielką policyjną latarką.

– Co się panu stało w usta?

– O co chodzi?

– Są czerwone i spuchnięte.

– Może komar mnie uciął?

Przez cztery godziny nie robili z Angelicą nic innego, jak tylko się całowali.

– No to dobranoc, komisarzu.

– Trzymaj się, tylko pamiętaj: w razie potrzeby dzwoń bez skrępowania.

– Zgoda.

Wiedział, że i tak nie ma po co się kłaść. Tylko przewracałby się w łóżku, myśląc o Angelice.

Usiadł na werandzie z whisky i papierosami w zasięgu ręki.

W ten sposób doczekał do świtu.

Pojawił się ten sam rybak co zwykle, pomachał mu na powitanie i poszedł spuścić łódź na wodę.

– Chce się pan przepłynąć?

– Dlaczego nie? Proszę chwilkę zaczekać.

Wszedł do domu, włożył kąpielówki i wrócił do łodzi.

Kiedy odpłynęli od brzegu, skoczył do morza i pływał prawie godzinę, aż poczuł się wykończony.

Woda była lodowata, ale tego właśnie potrzebował, żeby zmrozić krew, która tej nocy osiągnęła temperaturę wrzenia.

Pojawił się w komisariacie jeszcze przed dziewiątą, świeżutki i w doskonałym humorze.

– Jezusie, panie komisarzu! Jak pan dzisiaj pięknie wygląda! Zupełnie jakby panu dziesięć lat ktoś odjął – wykrzyknął Catarella na widok Montalbana.

– Skoro już, to powinienes powiedzieć, że trzydzieści – odpowiedział mu komisarz.

Potem zapytał:

– Fazio się pojawił?

– Właśnie przyszedł.

– Przyślij go do mnie.

– Wszystko w porządku – powiedział Fazio, wchodząc do pokoju. – Odjechałem o wpół do szóstej, za późno na złodziei.

– Może zadzwoń do Sciortinów i zapytaj, do kiedy będą siedzieli w Punta Bianca.

– Już to zrobiłem.

Kiedy Fazio mówił, że już coś zrobił, co zdarzało się często, Montalbano zaraz się wkurzał.

– Aż do pojutrze.

– Czyli trzeba się zorganizować i podzielić na grupy dzisiaj wieczorem i jutro.

– Już to zrobiłem.

Pod biurkiem nogi Montalbana z własnej inicjatywy zaczęły uderzać obcasami o podłogę.

– Potrzebny wam jestem do tego? – zapytał.

– Nie, panie komisarzu. Już pana od tego uwolniliśmy, chyba że sprawia to panu przyjemność...

Co ten Fazio miał na myśli?

Nawiązywał do czegoś? Coś podejrzewał?

Fazio był jednym z tych glin, od których w sytuacjach takich jak ta trzeba się trzymać z daleka.

– To ma niby być przyjemność, siedzieć w aucie i obserwować dom? – odburknął.

Fazio nie odezwał się.

– Jeszcze te komary nie dają spokoju – ciągnął komisarz.

– Mnie tam nie pogryzły – odpowiedział Fazio.

Tym razem i Montalbano powstrzymał się od odpowiedzi.

Miał tylko nadzieję, że Angelica nie zadzwoni do niego, kiedy Fazio będzie jeszcze u niego siedział.

Nagle Montalbanowi wpadł do głowy pewien pomysł.

Numer domowy Sciortinów miał zapisany w telefonie, ale zostawił go w Marinelli.

Poprosił Fazio o pomoc i kiedy tylko otrzymał numer, zadzwonił.

– Słucham – odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry, mówi komisarz Montalbano, chciałbym rozmawiać z panem Sciortino.

– Jestem jego żoną, zaraz mu przekażę słuchawkę.

– Dzień dobry, komisarzu, o co chodzi?

– Przepraszam, że pana niepokoję, ale muszę się czegoś dowiedzieć.

– Słucham pana.

– Powiedział pan swoim przyjaciołom z Vigaty, że wyjeżdża na trzy dni do swojego domu nad morzem?

– Dlaczego zadaje mi pan takie pytanie?

– Nie mogę panu odpowiedzieć, proszę mi uwierzyć.

– Ja mam do moich przyjaciół pełne zaufanie.

– I bardzo dobrze.

– Zresztą wydaje mi się, że dzisiaj w nocy nic się nie wydarzyło.

– Absolutnie nic, ale nadal czekam na pańską odpowiedź.

– Myślę, że nikomu o tym nie powiedziałem.

– Proszę dobrze się zastanowić.

– Jestem tego pewien, nikomu.

– A żona?

– Chwileczkę.

Wrócił w ekspresowym tempie.

– Antonietta mówi, że ona też nie.

– Bardzo panu dziękuję, do widzenia.

Kiedy tylko odłożył słuchawkę, Fazio powiedział:

– Ta droga donikąd nas nie doprowadzi, komisarzu.

– Co masz na myśli?

– Zrozumiałem, dokąd pan zmierza. Może złodzieje nie pojawią się w ciągu najbliższych dwóch nocy, ale przecież to nie znaczy, że pan Zet jest jednym z osiemnastu przyjaciół małżeństwa Peritore. Być może pan Zet nie należy do tej grupy, albo i należy, ale nie ma żadnego powodu, aby okraść Sciortinów.

– To rozumowanie trzyma się kupy – przyznał Montalbano.

Gdyby był w normalnym stanie, nigdy by nie wpadł na podobną głupotę.

Ale czy naprawdę można było uważać za normalny stan tego prawie już sześćdziesięciolatka, zakochanego po uszy w dziewczynie niespełna trzydziestoletniej?

Bardziej po to, żeby popisać się przed Faziem, niż z prawdziwej potrzeby zadzwonił do „Retelibery”:

– Jest Zito? Tu Montalbano.

– Chwileczkę.

W słuchawce rozległy się dźwięki *Pierścienia Nibelungów*, który raczej nie nadawał się do umilania oczekiwania na połączenie.

– Cześć, Salvo.

– Cześć. Czy ktoś zareagował na informację o kradzieży?

– Nie, w przeciwnym razie zadzwoniłbym do ciebie.

– Do widzenia.

Kolejny klops, żeby posłużyć się tym wyświechtanym zwrotem.

Popatrzyli na siebie zawiedzeni.

– Idę do siebie – powiedział Fazio, po czym wstał i wyszedł z pokoju.

Zaraz potem zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, na telefonie siedzi mi pani Cosulicchio.

– Tu w komisariacie?

– Nie, na linii.

– Połącz mnie z nią.

Fantastyczna koordynacja czasowa.

– Cześć.

– Cześć.

– Dobrze spałeś? – zapytała.

– Nie poszedłem spać.

– Jakież komplikacje?

– Nie, ale ponieważ byłem pewien, że nie uda mi się zasnąć, doczekałem do świtu.

– A ja z kolei zasnęłam jak kamień. Dzwonię z biura, nie mam dużo czasu. Nie mogę zjeść z tobą obiadu.

Serce spadło mu na podłogę, z pewnością doznając jakichś obrażeń.

– Dlaczego?

– Muszę zostać w banku jakieś pół godziny po zamknięciu, mielibyśmy zbyt mało czasu.

– Lepiej trochę niż nic.

– Ja uważam inaczej. Dzisiaj kończę o osiemnastej, pojedę do domu, przebiorę się i potem przyjadę do ciebie, jeśli chcesz i masz czas. Zjemy razem kolację zamiast obiadu.

– Zgoda.

– Wy tłumacz mi, jak do ciebie dojechać.

Obrażenia po niedawnym upadku serca zagoiły się w okamgnieniu.

Pojechał zjeść u Enza.

– A gdzie ta wczorajsza ślicznotka?

Enzo wydawał się rozczarowany.

– To tylko moja znajoma, Enzo.

– Chciałbym mieć takie znajome.

– Co mi dasz dobrego? – zapytał Montalbano.

– Wszystko, co chcesz.

Nieodzowna przystawka, risotto z różnymi rybami, dwie olbrzymie sole, które nie mieściły się na talerzu.

Wstawał już od stolika, kiedy podszedł do niego Enzo.

– Telefon do pana, komisarzu.

Kto ośmielał się zawracać mu głowę nawet tutaj?

– Dopraszam się zrozumienia i o przebaczenie proszę. Ale właśnie dzwonił pan kwestor, zagniewany taki, jak jakiś jaguar w lesie tropikalnym! Matko Boska, jaki zły, aż mi włosy na rękach się podniosły!

– Czego chciał?

– Nie powiedział mi. Ale za pół godziny zadzwoni ponownie i chce zastać pana w biurze. Tak powiedział, że cokolwiek by się działo, pan tu musi być.

– Już jadę.

I żegnaj spacerku do mola. Jak on teraz to wszystko strawi?

Lepiej załatwić to w inny sposób.

– Podaj mi likier na trawienie.

– Mam limoncello, żona robiła, to o wiele lepsze od tych gorzkich
świństw.

I rzeczywiście trunek zrobił swoje.

Siedział przy biurku już dobre dziesięć minut, kiedy zadzwonił telefon.

– Toć on to właśnie dzwoni, i to w osobie własnej! – wykrzyknął
zdenerwowany Catarella.

– Połącz mnie.

– Montalbano!

– Przy telefonie, panie kwestorze.

– Montalbano!

– Cały czas tu jestem.

– To jest właśnie moje nieszczęście! Że pan zawsze jest, zamiast pójść
sobie w diabły! Zniknąć! Ale tym razem, knę się na Boga, zapłaci mi pan
za wszystko!

– Nie rozumiem.

– Zrozumie pan. Oczekuję pana o osiemnastej.

Cholera jasna! Ani o osiemnastej, ani po, niech się dzieje wola boska.
Musiał wymyślić jakieś usprawiedliwienie.

– Powiedział pan: o osiemnastej?

– Tak, ogłuchł pan?

– Ale o osiemnastej przyplęwa Pinkerton!

– Co to jest?

– Statek, panie kwestorze.

9

– Statek? A co pan ma z tym wspólnego?

– Zawiadomił mnie kapitanat portu, podejrzewają, że na pokładzie jest jakiś przemyt.

– Ale czy to nie leży w gestii policji podatkowej?

– Ma pan rację. Ale wszyscy się pochorowali, wybuchła jakaś epidemia, wszyscy skarżą się na bóle brzucha. To podobno przez zanieczyszczone rury z wodą pitną.

Co tu jeszcze mógł więcej wymyślić?

– Niech pan wyśle swojego zastępcę!

– Został zwolniony, panie kwestorze.

– Co pan opowiada, zwolniony?

– Przepraszam, pomyliłem się, chciałem powiedzieć, że przebywa na zwolnieniu.

Niech diabli wezmą tego Catarellę!

– W takim razie czekam na pana o siedemnastej.

Co takiego mogło się wydarzyć?

Zadzwoił telefon. To był Zito.

– Widziałeś Ragonese'go w wiadomościach o trzynastej?

– Nie, a co powiedział?

– Lepiej przyjedź, to pokażę ci nagranie.

Dwadzieścia minut później Montalbano wbiegał do siedziby „Retelibery”.

– Chodźmy do salki, wszystko gotowe – powiedział Zito.

W sali nie było nikogo.

Zito włączył magnetowid.

Dziennikarz o nazwisku Ragonese i twarzy przypominającej kurzy kuper zaczął mówić.

„Dowiedzieliśmy się o zdarzeniu wielkiej wagi. Oczywiście prześlemy kwestorowi Bonetti-Alderighiemu list, dzięki któremu poznaliśmy całą sprawę. Jak już informowaliśmy naszych słuchaczy, nasze miasto zaląła fala włamań, których nie jest w stanie opanować

odpowiedzialny za dochodzenie komisarz Salvo Montalbano. Złodzieje postępują zawsze w identyczny sposób.

Wchodzą do letniego domu, w którym śpią właściciele, kradną klucze do mieszkania w mieście i jadą ogołocić je bez żadnych problemów. Taki scenariusz miało też włamanie, którego ofiarą padła pani Angelica Cosulich, ale w swoim raporcie komisarz Montalbano zniekształcił fakty, pisząc, że kradzież miała miejsce wyłącznie w miejskim apartamencie pani Cosulich. Tymczasem także i w tym przypadku postąpiono jak w poprzednich: złodzieje najpierw weszli do willi należącej do kuzyna pani Cosulich, która tam właśnie przebywała, i ukradli klucze do jej apartamentu w mieście. Musimy odpowiedzieć sobie na dwa pytania. Czy to pani Cosulich zataiła przed komisarzem Montalbano, co tak naprawdę się wydarzyło? A jeśli tak, to w jakim celu? A może to komisarz Montalbano celowo napisał w swoim raporcie tylko częściową prawdę? A jeśli tak, to dlaczego? Będziemy sukcesywnie informować naszych widzów o dalszym rozwoju tej sprawy, którą uważamy za niezwykle poważną”.

– Chciałeś, żeby ktoś zareagował? No to zareagował! – powiedział Zito. Teraz komisarz zrozumiał, co tak wkurzyło kwestora.

Było już wpół do piątej, wolnym krokiem poszedł w stronę kwestury.

Woźny wprowadził go do gabinetu Bonetti-Alderighiego dwadzieścia po piątej.

Montalbano był spokojny, zdążył już przygotować sobie dramatyczną mowę obronną godną najlepszych tradycji włoskiego teatru, w stylu Gustava Salviniego lub Ernesta Zaccanego.

Kwestor nie podniósł wzroku znad kartki, którą czytał, nie przywitał się, ani nawet nie poprosił komisarza o zajęcie miejsca.

Ostrzeżenie dla marynarzy: nadchodzi potężna wichura.

Następnie, cały czas w milczeniu, kwestor wyciągnął rękę i podał Montalbanowi kartkę, którą właśnie przeczytał.

Był to napisany drukowanymi literami anonim.

TO NIEPRAWDA, ŻE ZŁODZIEJE WESZLI TYLKO DO
MIESZKANIA PANI ANGELIKI COSULICH. ZABRALI

KLUCZE Z WILLI JEJ KUZYNA, GDZIE SPĘDZAŁA DZIEŃ
WAKACJI. DLACZEGO KOMISARZ MONTALBANO
POMINAŁ TEN FAKT W SWOIM RAPORCIE?

Montalbano z obrzydzeniem rzucił kartkę na biurko kwestora.

– Żądam wyjaśnień! – odezwał się Bonetti-Alderighi.

Montalbano podniósł rękę do czoła, jak gdyby zaczęła go boleć głowa.

Następnie przemówił modulowanym głosem:

– Jakże mię rani to podłe pomówienie!

– Co też pan, Montalbano, nikt pana nie pomawia! – odpowiedział lekko zmieszany kwestor.

– Dał pan wiarę podłemu anonimowi! Pan, właśnie pan, który powinien ochraniać wiernych panu ludzi, pan porzuca ich i wydaje na pastwę bzdurnych oszczerstw!

– Dlaczego pan tak mówi? Proszę się natychmiast uspokoić!

Montalbano w odpowiedzi osunął się na krzesło.

– Mój raport jest uczciwy i prawdziwy! Nie ma co do tego wątpliwości!

– Skąd ten ton? Dlaczego pan tak mówi? – powtórzył kwestor, ewidentnie pod wrażeniem zachowania komisarza.

– Mogę prosić o wodę?

– Niech pan sobie sam naleje.

Montalbano wstał i, chwiejąc się jak pijak, podszedł do lodówki, otworzył ją i nalał szklanekę wody, po czym wrócił na miejsce.

– Teraz czuję się już lepiej. Proszę mi wybaczyć moje zachowanie, panie kwestorze, ale kiedy zostaję niesłusznie oskarżony, tracę na jakiś czas kontrolę nad moim językiem. To syndrom Scotta Turowa, wie pan, o co chodzi?

– Średnio – odpowiedział kwestor, który nie chciał wyjść na kompletnego ignoranta. – Proszę opowiedzieć, co się naprawdę stało.

– Panie kwestorze, ten list zawiera wyłącznie nieprawdę. Faktem jest, że pani Cosulich spała w willi swojego kuzyna...

– W takim razie...

– Proszę dać mi skończyć. Jednak złodzieje wcale nie okradli willi kuzyna.

To była najprawdziwsza prawda.

– Ale w jaki sposób weszli w posiadanie kluczy? Dlaczego pan w swoim raporcie pisze, że drzwi mieszkania nie zostały wyważone?

– Proszę pozwolić mi wytłumaczyć. Pani Cosulich nierozważnie zostawiła klucze do swojego mieszkania w Vigacie na desce rozdzielczej własnego auta, które zaparkowała przed willą kuzyna. Złodzieje, najwyraźniej przyjezdni, włamali się do samochodu, zabrali klucze i spisali adres z dokumentów, korzystając z nadarzającej się okazji. Z technicznego punktu widzenia nie mogłem napisać w raporcie o włamaniu do willi, które w istocie nie miało miejsca. Napisałem tylko, że pani Cosulich skradziono auto. Jak pan widzi, niczego nie zataiłem.

Spojrzał na zegarek. Jezu Chryste, brakowało trzech minut do szóstej!

– Proszę mi wybaczyć, panie kwestorze, ale właśnie nadpływa Butterfly i powinienem...

– Chwileczkę, czy wcześniej nie mówił pan, że statek nazywa się Pinkerton?

– Oczywiście, ma pan rację, Pinkerton, ale to niesłuszne oskarżenie całkowicie...

– Dobrze, dobrze, proszę już iść.

Pędził do Marinelli na złamanie karku, co w jego przypadku oznaczało osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Kiedy przejeżdżał przez miasteczko Villaseta, wyskoczył mu nagle przed maskę karabinier z lizakiem, który najwidoczniej ukrywał się w krzakach na poboczu.

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny!

– Ale dlaczego?

– Limit prędkości na terenie zabudowanym to pięćdziesiąt kilometrów. Wszyscy to wiedzą, nawet koty.

Wściekłość z powodu kolejnej straty czasu sprawiła, że komisarz nie mógł powstrzymać się przed złośliwą ripostą.

– A psy też to wiedzą?

Karabinier spojrzał na niego spod oka.

– Żartów nam się zachciewa?

Nie mógł brnąć dalej, jeszcze by go wysłał prosto do aresztu – i żegnaj, Angelico.

– Przepraszam.

Co za upokorzenie! Jaki wstyd! Komisarz policji zmuszony do przeproszenia zwykłego karabiniera!

Przeglądając dokumenty, karabinier zrobił dziwną minę.

– Komisarz Montalbano? To pan?

– Tak – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

– Jest pan na służbie?

Oczywiście, że jest na służbie, on zawsze jest na służbie.

– Tak.

– W takim razie proszę jechać – opowiedział karabinier, zwracając mu dokumenty i salutując.

Odjechał z prędkością, która pozwoliłaby mu zająć ostatnie miejsce w wyścigu żółwi, ale za najbliższym zakrętem przyspieszył do osiemdziesięciu.

Dojechał do Marinelli o szóstej czterdzieści.

Skąd miał wiedzieć, czy Angelica do niego dzwoniła?

Odłożył słuchawkę, żeby linia wyglądała na zajęta, i wziął szybki prysznic, ponieważ lał się z niego pot. Wyszedł z łazienki i odłożył słuchawkę na miejsce.

Dramatyczna rozmowa z kwestorem nie należała do najprzyjemniejszych...

O wpół do ósmej, kiedy wypalił już całą paczkę papierosów, telefon łaskawie zadzwonił.

Angelica.

– Mam problem.

A to co, przykrości też na koniec dnia?

– Co się dzieje?

– Jestem w willi mojego kuzyna. Przyjechałam posprzątać mój pokój, nie byłam w nim od czasu włamania. Nagle wysiadł prąd, pewnie spalił się jakiś bezpiecznik. Mam tu wszystko, co potrzeba do naprawy, ale sama nie dam rady.

– Ale zaraz, po co ci tam teraz prąd? Zamknij mieszkanie, przyjedź do mnie, a jutro najwyżej zadzwonisz po elektryka.

– Ale dzisiaj w nocy będzie woda.

– Nie rozumiem.

– Tutaj woda jest raz w tygodniu, jeśli nie ma prądu, to cysterna się nie napełni. Rozumiesz? Mogę przez tydzień nie mieć wody.

Montalbanowi przysłała do głowy niemiła myśl: może dziewczyna potrzebowała pokoju w najbliższych dniach?

Jak gdyby czytając w jego myślach, Angelica powiedziała:

– Nie mogę umyć podłogi, a jest brudna.

– Może spróbuję to naprawić.

– Nie śmiałam cię o to prosić. Zaraz ci wytłumaczę, jak tu dojechać.

*

Nieźle miejsce sobie wybrała!

Żeby dojechać na tę wieś, komisarz poświęcił czterdzieści pięć minut.

Od głównej drogi odchodziła długa aleja zakończona żelazną bramą, niezamykaną chyba od lat. Aleja prowadziła do wielkiej, osiemnastowiecznej willi, nadal w dobrym stanie, położonej w odludnym miejscu.

Zaparkował samochód na tyłach willi.

Angelica czekała na niego u szczytu schodów, którymi wchodziło się do jej pokoju.

– Tu jestem!

I uśmiechnęła się do niego. Zupełnie jakby słońce, które miało już zachodzić, rozmyśliło się i ponownie wróciło na niebo.

Montalbano zaczął się wspinać, ona zeszła mu naprzeciw. Uściskali się i wycalowali pośrodku schodów. Potem komisarz powiedział:

– Wykorzystajmy to, że jest jeszcze trochę światła.

Odwróciła się do niego plecami i zaczęła wchodzić.

Weszła do swojego pokoju. Montalbano potknął się na stopniu.

Upadł, czując ból w lewej kostce, i zdusił w sobie przekleństwo.

Angelica zbiegła, żeby mu pomóc.

– Coś sobie zrobiłeś?

– Boli mnie gira. Jak to się mówi po włosku? Aha! Uderzyłem się w kostkę.

– Możesz chodzić?

– Tak, nie traćmy czasu, zaraz się ściemni.

Szybko znalazł skrzynkę z bezpiecznikami. Wziął krzesło, stanął na nim i otworzył skrzynkę.

Krótkie spięcie.

– Idź do willi i wyłącz światło.

Angelica otworzyła drzwi i zniknęła.

Montalbano wykorzystał jej nieobecność, żeby obejrzeć pokój. Był urządzony spartańsko i najwyraźniej służył jednemu celowi. Taki wniosek popsuł mu humor.

Wróciła Angelica.

– Zrobione.

– Daj mi taśmę izolacyjną.

W dwie minuty wszystko naprawił.

– Włącz światło.

Siedział wyprostowany na krześle, czekając na rezultat swojej pracy.

Nagle zapaliła się lampa na środku pokoju.

– Świetnie! – powiedziała Angelica po powrocie.

Dodając:

– Dlaczego nie zejdziesz?

– Musisz mi pomóc.

Podeszła do Montalbana, który zszedł ostrożnie, opierając dłoń na jej ramieniu.

Bolało go jak diabli.

– Wyciągnij się na łóżku – powiedziała Angelica. – Zobaczę, co się stało.

Posłuchał jej. Podwinęła lewą nogawkę spodni komisarza.

– Boże, jakie to spuchnięte!

Z trudem zdjęła mu but i skarpetkę.

– Skręciłeś nogę!

Poszła do łazienki i wróciła z jakąś tubką.

– To przynajmniej trochę zmniejszy ból.

Wmasowała maść w okolicach kostki.

– Za dziesięć minut założę ci skarpetkę.

Położyła się obok niego.

Przytuliła go, kładąc jego głowę na piersiach.

Wtedy, nagle, komisarz pomyślał:

*Kiedy tak cierpiał one tęsknicę i cknienia,
Przyszło mu jakoś na myśl, że okrom wątpienia
Na tem łóżku, na którym leżał, z swem sypiała
Gamratem...*

Tyle że tu nie chodziło o jednego kochasia, ale kto wie o ilu!

Ciała na sprzedaż. Mężczyźni biorący zapłatę za to, żeby ją zaspokajać.

Ile to już męskich oczu wpatrywało się w jej nagie ciało?

Ileż to rąk pieściło ją na tym łóżku?

Ileż to razy ten pokój, wyglądający jak cela, słyszał powtarzane przez nią słowa: jeszcze... jeszcze...

Owładnęła nim straszna zazdrość.

Ale nie mógł nic zrobić, zaczął trząść się z wściekłości.

*Tak mu zarazem brzydkie i zmierzłe zostaje
I tak się z niego prędko porywa i wstaje...*

– Jadę! – powiedział, wstając z łóżka.

Zdumiona Angelica podniosła głowę.

– Co ci jest?

– Wracam do domu! – powiedział, zakładając skarpetkę i wsuwając but.

Angelica chyba wyczuła, jakie myśli płaczą mu się po głowie, ponieważ patrzyła na niego bez słowa.

Montalbano zszedł po schodach, zaciskając zęby z bólu, wszedł do auta i odjechał.

Był wściekły.

Kiedy tylko dojechał do Marinelli, wyłączył telefon i poszedł do łóżka.

Cztery whisky później, wierząc się na łóżku z butelką w zasięgu ręki, poczuł, że wściekłość zaczyna go już opuszczać.

Znowu był w stanie myśleć.

Przede wszystkim należało zająć się nogą, bo jutro nie będzie mógł pojechać do biura.

Spojrzał na zegarek, była dziewiąta trzydzieści.

Zadzwoił z komórki do Fazio i powiedział, co się stało. Dodał, że skręcił nogę, wchodząc na werandę z plaży u siebie w domu.

– Za pół godziny przyjadę z Licalzim.

– Kto to?

– Masażysta z miejscowej drużyny.

Nawet nie wiedział, że Vigàta ma swoją drużynę piłkarską.

Mimo bólu i niezadowolenia z nieudanego spotkania z Angelicą zachciało mu się jeść.

Wstał i poszedł do kuchni, opierając się na mijanych po drodze meblach.

W lodówce czekał na niego wielki talerz sałatki z owoców morza.

Zjadł wszystko, siedząc przy kuchennym stole, którego nawet nie nakrył.

Właśnie kończył, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Poszedł otworzyć.

– Przedstawiam panu pana Licalziego – powiedział Fazio.

Masażysta miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wielkie, przerażające dłonie. Miał ze sobą czarną walizkę, podobną do tych, które noszą lekarze.

Montalbano położył się na łóżku, a masażysta zajął się jego nogą.

– To nic poważnego – powiedział Licalzi.

A kiedyż to w życiu przydarzyło mi się coś poważnego, pomyślał rozżalony.

A jeśli nawet, to wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin kompletnie zatarły pamięć o tym.

Licalzi skończył bandażować mu nogę.

– Lepiej, jeśli jutro nie będzie pan wychodził z domu i trochę odpocznie.

Spędzenie dnia wyłącznie w towarzystwie własnych myśli nie było najlepszym pomysłem.

– Nie mogę! Muszę pojechać do biura!

Fazio spojrział na niego i nic nie powiedział.

– Ale nie może pan prowadzić.

– Przyjadę po niego o dziewiątej – zaproponował Fazio.

– Przydałaby się laska.

– Coś przywiozę – ponownie odezwał się Fazio.

– Tylko proszę pamiętać: z łóżka wstajemy tylko wtedy, kiedy to konieczne – dodał Licalzi.

Montalbano poszukał wzrokiem Fazia. Ten pokręcił przecząco głową. Masażystie nie trzeba było płacić.

– Bardzo panu dziękuję – powiedział Montalbano, podając rękę Licalziem.

Chciał wstać, żeby odprowadzić gości do drzwi.

– Proszę leżeć, znamy drogę – rozkazał masażysta.

– Dobranoc, komisarzu.

– Dziękuję, Fazio.

– Nie ma za co!

Teraz nadszedł najtrudniejszy moment.

Mimo wysłuchanych przed chwilą napomnień Licalziego, Montalbano wstał, chwycił butelkę, szklanę, papierosy i poszedł na werandę.

Pierwsze podstawowe przemyślenia w nowej sytuacji:

Ty, drogi Salvo, jesteś megakretynem, podczas gdy Angelica Cosulich jest szczerą i lojalną.

Czy kiedykolwiek okłamała go w sprawie tego pokoju w willi?

Albo ukryła jego przeznaczenie?

Czyż nie o tym właśnie powiedziała na samym początku, i to całkowicie szczerze?

A czego on się spodziewał?

Że ta dziewczyna – jak by napisał cytowany już Ariosto – będzie dziewczyną niczym róża?

I że to on właśnie, jako pierwszy, zerwie tę różę, „przez nikogo jeszcze nie dotkniętą”?

10

Czy on już całkiem oszalał?

A może to już był jeden z pierwszych sygnałów zbliżającej się starości?

Nie, tam, w jej pokoju, wcale nie ogarnęła go złość albo zazdrość, jak początkowo myślał. Po prostu, po raz pierwszy w życiu, dopadło go starcze otępienie.

A Angelica z pewnością poczuła się głęboko urażona i rozczarowana jego zachowaniem.

Zawsze grała z nim w otwarte karty, a on w taki sposób jej się za to odpłacił?

Podczas spędzonej razem w samochodzie nocy, kiedy całowali się, obściskiwali, pieścili, ani razu nie powiedziała, że go kocha, czy że choćby lubi.

Była uczciwa nawet w takiej chwili.

A on zachował się jak cham!

Nawet pan Zet, pisząc anonim do Ragoneseego...

Chwila moment!

Zatrzymaj się, Montalbano!

Kiedy Bonetti-Alderighi przeczytał mu list, komisarz zauważył coś dziwnego, ale przemknęło mu to tylko przez głowę. Był zbyt pochłonięty odgrywaną właśnie rolą, aby choćby spróbować zrozumieć, co to było.

Co tam było napisane?

Nagle wszystko sobie przypomniał.

Pan Zet, oskarżający go o pominięcia, sam też coś zataił.

Po pierwsze, pisząc wyłącznie o willi kuzyna Angeliki, nawet nie wspominał o wynajmowanym przez nią tam pokoju.

Po drugie, nie napisał, po co ten pokój był potrzebny Angelice.

A nawet stwierdził, że Angelica pojechała tam spędzić wolny dzień. Albo coś w tym stylu.

Przecież złodzieje od razu się zorientowali, że spała tam z jakimś facetem!

Dlaczego więc pominął te dwa istotne szczegóły?

Chciał zaszkodzić wyłącznie komisarzowi, chroniąc niepokalany honor Angeliki?

Ale dlaczego?

Co mogło łączyć pana Zet z tą dziewczyną?

To mogła wyjaśnić tylko Angelica.

A to oznaczało, że musi się z nią ponownie spotkać.

Nie miał jednak ku temu najmniejszej ochoty.

Ta żałosna scena w jej pokoju w willi miała przynajmniej jeden pozytywny aspekt.

Dzięki niej zrozumiał: historii z Angelicą nie można dalej ciągnąć.

W żadnym wypadku.

To już nie zauroczenie. To zwykłe szaleństwo.

Poczuł, że coś ściska go w gardle.

Pozbył się ucisku dziesiątą szklaneczką whisky.

Potem opuścił ręce na stolik, położył na nich głowę i prawie natychmiast zasnął, kompletnie zamroczony przez alkohol i samego siebie.

Koło piątej rano dowlókł się do łóżka.

– Napije się pan kawy, komisarzu?

– Tak, Adelino.

Otworzył oko, po pięciu minutach udało mu się otworzyć drugie. Bardzo bolała go głowa.

Pierwsza filiżanka kawy orzeźwiła go.

– Przynieś mi jeszcze jedną.

Po drugiej filiżance rozjaśniło mu się w głowie.

Zadzwoił telefon.

Myślał, że nadal jest wyłączony, ale może to Adelina wsadziła wtyczkę.

– Ty odbierz, powiedz, że nie mogę wstać z łóżka.

Słyszał, że z kimś rozmawia, ale nie zrozumiał z kim. Po chwili Adelina weszła do pokoju.

– To pańska narzeczona. Zadzwoi na komórkę.

Która właśnie zaczęła wydawać z siebie dźwięki.

– Gdzie ty byłeś wczorajszej nocy? Czy ty wiesz, ile razy do ciebie dzwoniłam?!

– Byłem na akcji.

– Mogłeś mnie uprzedzić!

– Przepraszam, ale pojechałem tam bezpośrednio z pracy. Nie zajrzałem do Marinelli.

– Ale dlaczego nie możesz wstać?

– Skręciłem nogę. W nocy, po ciemku, sama rozumiesz...

Gratulacje, Montalbano! Niestrudzony poszukiwacz prawdy, w życiu prywatnym zatwardziały kłamca.

Fazio przyjechał o dziewiątej.

– W willi Sciortinów całkowity spokój.

– Zobaczymy, co się wydarzy dzisiejszej nocy.

Kiedy zaczął zakładać buty, zorientował się, że lewy na pewno nie wejdzie.

– Niech pan założy jeden but i jeden kapeć – odpowiedział Fazio, który bezskutecznie usiłował pomóc komisarzowi.

Montalbano poddał się.

– Głupio mi pojawić się w biurze w kapciach.

– No to niech pan tu lepiej zostanie, i tak nie ma nic do roboty. Ja przyjadę z Licalzim po obiedzie.

– Zaczekaj, siadaj. Coś ci muszę powiedzieć. Wczoraj, kiedy zadzwonił do mnie kwestor...

Opowiedział mu, co zawierał anonim.

– Nie uważasz, że to dziwne?

– No jasne.

– Nie sądzisz, że trzeba w tym celu przesłuchać panią Cosulich?

– Tylko ona mogłaby jakoś to nam wytłumaczyć – powiedział Fazio.

– To zadzwoń do niej i przesłuchaj.

Fazio spojrział na niego zakłopotany.

– To trochę niedelikatne. Dlaczego pan jej jutro nie przesłucha, jesteście chyba w lepszej komitywie?

– Przede wszystkim dlatego, że stracimy zbyt dużo czasu. A zresztą kto ci powiedział, że jesteśmy w lepszej komitywie?

Fazio nie ośmielił się otworzyć ust.

– Zadzwonisz do niej jeszcze dzisiaj rano – ciągnął komisarz. – Wezwiesz na komisariat po jej wyjściu z pracy, czyli koło szóstej. I potem wszystko mi opowiesz.

Przeleżał cały ranek w łóżku, czytając powieść.

Czuł się jak rekonwalescent, ale nie z powodu nogi, tylko serca.

O pierwszej Adelina przyniosła mu obiad do łóżka.

Zapiekaną makaronową z bakłażanami (coś tak pysznego, że mogło nakłonić do zmiany zdania nawet samobójcę).

Pokrojone w krążki mątwy usmażone na chrupko.

Owoce.

Po wyjściu Adeliny, która zostawiła mu jedzenie także na wieczór, komisarz zdał sobie sprawę, że nigdy nie uda mu się strawić wszystkiego na leżąco.

Ubrał się, założył but i kapeć; i tak na plaży nie było nikogo. Wziął przyniesiony przez Fazio kij i poszedł na długi spacer brzegiem morza.

Fazio pojawił się o wpół do ósmej.

– Licalzi zaraz przyjedzie.

W tym momencie Licalzi w ogóle nie obchodził Montalbana, interesowało go coś zupełnie innego.

– Rozmawiałeś z Cosulich?

– Tak, bardzo się o pana martwi.

Czy się mylił, czy na wargach Fazio zagościł ledwo dostrzegalny uśmiezek?

A może po prostu miał nieczyste sumienie i wszystko wydawało mu się wymierzone przeciwko niemu?

– Dlaczego się martwi?

– Bo wezwał ją dyrektor oddziału i opowiedział wszystko, co pokazał w telewizji Ragonese. Zażądał wyjaśnień. Ona, aż do wtedy, o niczym nie

wiedziała. Udała głupią i potwierdziła, że kradzież miała miejsce w jej mieszkaniu w Vigacie. Martwi się jednak o konsekwencje, które mogłoby to mieć dla pana.

Montalbano wolał nie rozwodzić się dłużej nad tą dość niebezpieczną kwestią.

– Powiedziałaś jej, co nam nie pasowało w tym anonimie?

– Tak jest.

– I co ona na to?

– Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, powiedziała tylko, że także złodzieje widzieli ją w towarzystwie tego mężczyzny...

To też nie był przyjemny temat.

– I jakie wnioski?

– Że Angelica też nie wie, o co tu chodzi.

Cały czas kręcili się w kółko.

Ktoś zadzwonił do drzwi. To był Licalzi.

– Leżał pan dzisiaj cały dzień?

– Oczywiście!

– No i rzeczywiście jest pan już prawie zdrowy.

Najwidoczniej długi spacer dobrze mu zrobił.

– Teraz zrobię panu masaż, nasmaruję kremem, ponownie obandażuję i zobaczy pan, że jutro będzie już mógł spokojnie pójść do pracy.

Powiedział to tak radosnym tonem, jak gdyby pójście do pracy było równie przyjemne jak wieczorek taneczny.

Masujący mu nogę Licalzi przywołał komisarzowi na myśl Angelicę, która robiła to samo, siedząc na łóżku.

I właśnie wtedy mózg rozjaśnił mu błysk podobny do blasku fleszy aparatów fotograficznych.

Kiedy Licalzi skończył masaż, Montalbano ponownie mu podziękował i zatrzymał zbierającego się do wyjścia Fazia.

– Zostań, proszę, ze mną jeszcze pięć minut.

Fazio odprowadził Licalziego do drzwi i wrócił do pokoju.

– W czym mogę pomóc?

– Musisz natychmiast jeszcze raz porozmawiać z Cosulich.

Fazio skrzywił się.

– Ale po co?

– Pokaż jej listę Peritorów i zapytaj, czy któryś z tych mężczyzn zalecał się do niej, a ona dała mu kosza.

Fazio nie wydawał się całkiem przekonany.

– To tylko hipoteza, właśnie przyszła mi do głowy. Załóżmy, że któryś z tej listy został odrzucony przez Cosulich, a teraz trzyma ją w garści i może szantażować: jeśli nie pójdziesz ze mną do łóżka, opowiem wszystkim, co tak naprawdę robisz w willi swojego kuzyna.

– Proszę mi wybaczyć, komisarzu, ale tak byłoby tylko w przypadku, gdyby pan Zet był na tej liście.

– A dlaczego chcesz go od razu wykluczyć? Spróbujmy się dowiedzieć! Nie mamy nic do stracenia!

– No dobrze, ale dlaczego to pan nie spróbuje się tego dowiedzieć? Umie pan sobie radzić z kobietami, a ja...

Montalbano wolał zakończyć sprawę.

– Nie, ty ją zapytasz. Dzięki za wszystko i śpij dobrze. Jeśli będziesz miał jakieś informacje o Sciortinach, to daj mi znać.

Zdażył tylko nakryć stół na werandzie, żeby zjeść sałatkę z ryżem przygotowaną przez Adelinę, w ilości za dużej nawet dla trzech osób, kiedy zadzwonił telefon.

Nie chciało mu się z nikim rozmawiać, ale zastanowił się i pomyślał, że to może być Livia, która dzwoni spytać, co z jego nogą. Dlatego poszedł odebrać.

Kiedy wyciągnął rękę, żeby podnieść słuchawkę, telefon przestał dzwonić.

Jeśli to Livia, zadzwoni jeszcze raz, przecież wie, że siedzi unieruchomiony w domu.

Wrócił na werandę, usiadł, i kiedy podnosił do ust pierwszą łyżkę sałatki, telefon zadzwonił ponownie.

Podniósł się, przeklinając.

– Słucham!

– Nie rozłączaj się, proszę!

To była Angelica.

Serce zaczęło mu szybciej bić, to jasne, ale nie tak szybko, jak mógł to sobie wcześniej wyobrazić.

Dobra oznaka wyzdrowienia.

– Nie rozłączam się, słucham.

– Trzy rzeczy, ale tak na szybko. Pierwsza, to chciałam się dowiedzieć, jak tam twoja noga?

– O wiele lepiej, dziękuję. Jutro będę mógł wrócić do biura.

– Miałeś duże nieprzyjemności z powodu tej... przysługi, którą mi wyświadczyłeś?

– Zadzwoił do mnie kwestor, któremu Ragonese przesłał anonim. Udało mi się go przekonać, że w raporcie wcale nie kłamałem. Nie sądzę, żeby wyciągnęli wobec mnie jakieś konsekwencje z tego powodu...

– U mnie poszło gorzej.

– To znaczy?

– To znaczy, że dyrektor już uznał za stosowne napisać do dyrekcji generalnej.

– Ale dlaczego?

– Bo twierdzi, że bardzo poruszyła go hipoteza dziennikarza telewizyjnego, który suponuje, że mogłam skłamać. Mówi, że to nie jest dobra reklama dla banku i jakkolwiek by się potem sprawy potoczyły, moja wiarygodność jako pracownika dozna uszczerbku.

Jaki miała piękny głos... Śpiewała niczym syrena kołysząca do snu.

Udało mu się wyrwać z sieci jej czarów.

– Jednym słowem co to oznacza?

– Że może mnie przeniosą.

– Przykro mi.

Był szczery.

– Mnie też. Jeszcze jedno i już zostawiam cię w spokoju. Fazio zapytał, czy któryś z mężczyzn z listy zalecał się do mnie i dostał kosza. Tak, oczywiście. Wielu z tej listy próbowało nawet bardzo bezczelnie, ale nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z nich był zdolny do szantażu.

– To była tylko hipoteza.

– A ja mam inną.

– To znaczy?

– Bez wątpienia autor anonimu zna moje, powiedzmy... moje przyzwyczajenia. Ale nie ujawnił ich, co by mnie zrujnowało. Załóżmy, że chodzi o osobę, którą znam, bo ja wiem kogo, jakiegoś klienta z banku, który chce pozyskać moje względy...

– Nie rozumiem. Żeby dostać kredyt?

Angelica zaczęła się śmiać.

Boże, jak ona wspaniale się śmiała!

Serce Montalbana, które do tej pory zachowywało się jak parowóz, z miejsca przekształciło się w elektrowóz dużej prędkości.

– Żeby dostać mnie – wyjaśniła Angelica, kiedy już przestała się śmiać.

To wcale nie było takie głupie.

Chociaż Angelica musiałaby powiedzieć coś więcej, może nawet ujawniając nazwiska osób, które próbowały się do niej zbliżyć.

– Co porabiasz? – zapytała.

– Jem kolację.

– A ja nie.

Dla podtrzymania rozmowy zapytał:

– Gdzie jesteś?

– Tutaj.

– Czyli gdzie?

– W Marinelli.

Zdziwił się, co ona robiła w Marinelli?

– A co tu robisz?

– Czekam, aż mi otworzysz.

Wydawało mu się, że źle zrozumiał.

Zachwiał się, przytrzymał krzesła, jak gdyby ktoś uderzył go mocno w głowę.

Odłożył słuchawkę na stolik, podszedł do drzwi i wyrztał przez wizjer.

Angelica stała tam z komórką przy uchu.

Montalbano wolno otworzył drzwi.

Wiedział, robiąc to, że otwiera nie tylko drzwi domu, ale także swojego własnego potępienia, prywatnego piekła.

– Chcesz zjeść ze mną kolację?

– Tak, wreszcie mi się uda.

Posadził ją koło siebie, aby miała widok na morze.

– Jak tu pięknie!

Podzielił na pół sałatkę.

Nie odezwali się, dopóki nie skończyli wszystkiego.

Montalbano musiał zaspokoić swoją ciekawość.

– Wybacz, ale... dlaczego nie pomyślałaś, że może nie mógłbym...

– Otworzyć mi drzwi?

– No właśnie.

– Bo w domu byłby z tobą ktoś jeszcze?

– Tak.

– Ale przecież twoja narzeczona wyjechała przedwczoraj.

Montalbano mechanicznie otworzył usta.

Potem je zamknął i przemówił, ale zdał sobie sprawę, że nagle zaczął się jąkać.

– Ale skąd... wiesz o mojej, no tej mojej...

– Wiem o tobie wszystko. Ile masz lat, jakie masz przyzwyczajenia, co myślisz o pewnych sprawach... Kiedy tylko wyszedłeś ode mnie, zaczęłam dzwonić i wszystkiego się dowiedziałam.

– Czyli kiedy zaprosiłem cię do Enza, wiedziałaś, że zawsze tam jadamy?

– Oczywiście. I wiedziałam, że nie lubisz rozmawiać podczas jedzenia.

– Udawałaś...

– Tak, udawałam.

– Ale dlaczego?

– Bo od razu mi się spodobałeś – powiedziała Angelica.

Lepiej zmienić temat.

– Chciałbym skorzystać z okazji i...

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie, w twoim łóżku nie.
 - Możesz przez chwilę być poważna?
 - Trudno mi, bo jestem szczęśliwa. Ale spróbuję.
 - Powiedziałaś mi przed chwilą, że ten anonim mógł być czymś w rodzaju *captatio benevolentiae*, czyli próbą pozyskania twoich względów...
 - A tak się nie mówi?
 - Mówi. Ja też o tym pomyślałam. A mogłabyś podać mi parę nazwisk?
 - Czyich?
 - Kogoś spoza grona znajomych Peritorów, kto próbował...
Wzruszyła ramionami.
 - Tylu ich znam.
 - Proszę cię tylko, żebyś się dobrze zastanowiła i kogoś wymieniła.
 - To duża odpowiedzialność.
 - Jaka znowu odpowiedzialność?
 - Otóż to! Ja powiem ci bez zastanowienia czyjeś nazwisko, a ten biedak zostanie wmieszany w...
 - Nie proszę, żebyś mówiła bez zastanowienia.
- Zaczęła wpatrywać się w morze, nie mówiąc ani słowa.

11

– Masz może trochę whisky? – zapytała nagle.

– Oczywiście.

Montalbano wstał, poszedł po butelkę i dwie szklaneczki, wrócił na werandę, nalał jej na dwa palce, a sobie na cztery.

– *Par condicio* – zaprotestowała Angelica.

Montalbano dolał jej whisky na kolejne dwa palce.

– Chcesz lodu?

– Wolę bez niczego, tak jak ty.

Wypili pierwszy łyk.

– To niełatwe. Muszę to dokładnie przemyśleć.

– Zgoda.

– Zróbmy tak. Jutro wieczorem przyjedziesz do mnie na kolację i podam ci nazwiska.

– Dobrze.

Wypiła whisky i wstała.

– To ja lecę. Dziękuję. Za wszystko.

Komisarz odprowadził ją do drzwi.

Tuż przed wyjściem Angelica złączyła na chwilę swoje usta z ustami komisarza.

Siedząc na werandzie, Montalbano nie wiedział, czy ten wieczór przyniósł mu rozczarowanie, czy zadowolenie.

Od chwili kiedy otworzył jej drzwi, cały czas miał nadzieję, a jednocześnie odczuwał strach.

Dlatego, pomyślał sobie, lepiej pójść nie mogło.

*

O wpół do czwartej rano wydawało mu się, że dzwoni telefon.

Poderwał się nieprzytomny, wpadł na krzesło i w końcu, nie zapalając światła, podniósł słuchawkę.

– Słucham?

– Ta ja, Fazio.

– Co się dzieje?

– Była wymiana ognia ze złodziejami, którzy chcieli wejść do Sciortinów. I tak muszę przejechać koło pana domu.

– No dobra.

Po dziesięciu minutach był już gotowy. Założył but bez żadnych problemów. Nawet nie kulał.

Fazio przyjechał pięć minut później. Pojechali razem w stronę Punta Bianca.

– Ranni?

– Był tam agent Loschiavo, strzelali do niego, ale nie trafili. Nic więcej nie wiem.

Willa Sciortinów była rzęsiście oświetlona. Pani Sciortino częstowała wszystkich kawą.

Państwo De Rossi, małżeństwo z Rzymu, byli zdenerwowani. Pani Sciortino zaparzyła im rumianek zamiast kawy.

Montalbano i Fazio wzięli na stronę Loschiava i poszli pogadać nad morze.

– Opowiedz, jak to się stało.

– Siedziałem w aucie na szczycie tego wzgórza. Nagle zobaczyłem, że od strony plaży zbliża się jakiś samochód ze zgaszonymi światłami. Spojrzałem na zegarek, było za pięć trzecia. Wsiadłem z auta i zacząłem schodzić w kierunku domu tak, żeby mnie nie widzieli. Mało było widać i dwa razy upadłem. Potem schowałem się za tym wielkim kamieniem.

– Ilu ich było?

– Trzech, chyba byli w czapkach, ale mało widziałem w tych ciemnościach. Potem nagle straciłem ich z oczu, całą trójkę zasłonił dom i nie dojrzałem, co tam robią. Ruszyłem za nimi i poszedłem za willę. Skręciłem za róg i wyjrzałem. Coś tam gmerali przy drzwiach wejściowych. Wtedy wyciągnąłem pistolet i wyskoczyłem, krzycząc: „Stać, policja!”. Zobaczyłem jakiś błysk i poczułem uderzenie. Strzeliłem trzy razy i schowałem się, oni strzelali bez przerwy, więc nie mogłem wyjrzeć. Potem usłyszałem, jak ich samochód odjeżdża na pełnym gazie.

– Dziękuję, bardzo dokładnie to opisałeś.

A potem powiedział do Fazio:

– A dokąd poszli Sciortinowie i ci inni?

– Pójdę zobaczyć – powiedział Fazio. – Chce ich pan przesłuchać?

– Nie, ale nie rozumiem, dlaczego nagle i w tym samym czasie wszyscy wrócili do willi.

– Byłeś bardzo dzielny – powiedział Montalbano do Loschiava, gdy Fazio wyszedł. – Myślisz, że strzelając do tej bandy, kogoś trafiłeś?

– Poszedłem tam zaraz i wszystko obejrzałem, na ziemi nie było śladów krwi.

Wrócił Fazio.

– Postanowili wracać do Vigaty, mówią, że nie mają tu po co siedzieć.

– Złodzieje i tak tu nie wrócą – powiedział komisarz. – Wiesz, co ci powiem? Jedźmy się przespać. Ty też możesz już iść, Loschiavo.

– Panie komisarzu, afera! Wszystko wiem! Bardzo pana boli noga? Już zawsze będzie pan chodził z laską? – zapytał zaniepokojony Catarella.

– Ależ skąd! Świetnie się czuję! Wziąłem laskę, żeby ją oddać Faziowi.

– Boże, jaki jestem szczęśliwy!

– Jest Fazio?

– Dzwonił, że spóźni się jakieś dziesięć minut.

Komisarz wszedł do swojego gabinetu.

Nie było go tam zaledwie od przedwczoraj, a jednak miał wrażenie, że wraca po miesiącu.

Na biurku, oprócz pięćdziesięciu dokumentów czekających na jego podpis, leżało sześć listów prywatnych.

Sięgnął po pierwszy z nich.

Ta sama koperta, co poprzednim razem, ten sam charakter pisma, tyle że list nie został wysłany, ale dostarczony na komisariat.

Podniósł słuchawkę.

– Catarella, przyjdź do mnie.

– Już się robi, komisarzu.

– Kto przyniósł ten list?

– Jakiś chłopaczyna. Pięć minut przed pana przyjazdem.

Klasyka.

– Co powiedział?

– Powiedział, że to od kogoś, kogo pan zna.

No tak, doskonale wiedział, kto mu go wysłał. Pan Zet.

– Dziękuję, możesz odejść.

Energicznie otworzył kopertę.

Drogi Montalbano,

Okazał się pan, zgodnie z moimi oczekiwaniami, niezwykle inteligentny.

Sprzyjało jednak panu także szczęście lub jakiś inny czynnik, którego jeszcze nie udało mi się określić.

W każdym razie niniejszym pana informuję, że będzie mieć miejsce czwarta i ostatnia kradzież. Do końca tego tygodnia.

I wszystko przebiegnie perfekcyjnie.

Jeśli sam pan na to nie wpadł, informuję, że próba włamania dokonana dzisiejszej nocy miała jeden cel.

Żeby upewnić się, czy na pewno pan zrozumiał.

A skoro przygotował pan odpowiednią obronę, będę zmuszony zmienić taktykę.

W każdym razie punkt dla pana.

Z serdecznymi pozdrowieniami.

– Co o tym myślisz?

Fazio położył anonim na biurku. Wyglądał na cokolwiek zniesmaczonego.

– Myślę, że pan Zet chce nam wmówić, że zorganizował to włamanie tylko po to, aby odkrył pan jego zamierzenia. Straszny z niego zarozumialec, miał pan rację.

– Nie rozumiem jednak drugiego zdania – powiedział Montalbano. – Co to znaczy, że, według niego, pomógł nam czynnik, którego nie był w stanie określić?

– Nie wiem.

- Jeszcze coś mi tu nie leży.
- W tym liście?
- Nie, w zachowaniu pana Zet.
- To znaczy co?
- Nie wydaje mi się to jasne, może zrozumieć, kiedy razem to omówimy.
- Ale o co chodzi?
- Chodzi o próbę włamania do Sciortinów ostatniej nocy. Lojacono, Peritore, Cosulich i Sciortino przyjaźnią się, należą do tego samego towarzystwa, wszyscy znajdują się na tej słynnej liście. Nie możesz zaprzeczyć.
- Wcale nie zaprzeczam. Chcę tylko przypomnieć, że Sciortinowie nie uprzedzili przyjaciół o wyjeździe do Punta Bianca.
- Ano właśnie! A jeśli Sciortino albo jego żona mówili znajomym o moim telefonie? Kiedy zapytałem ich, czy powiedzieli wszystkim o wyjeździe do Punta Bianca?
- Nie łapię, dlaczego...
- Daj mi skończyć! Kiedy tylko pan Zet dowiedział się o naszej rozmowie, zorganizował włamanie!
- Ale po co? Zgłupiał? Właśnie dzięki tej rozmowie powinien był zrozumieć, że willa jest obserwowana!
- No właśnie!
- Ja naprawdę pana nie rozumiem, komisarzu...
- To dla niego wspaniała okazja! W ten sposób pokazuje, że nie należy do grupy przyjaciół Peritorów. Udaje, że nie wie, że willa jest obserwowana! Chodzi o kolejne zmylenie tropów, rozumiesz wreszcie? No bo jeśli dam się na to nabrać, to siłą rzeczy muszę szukać mózgu całej bandy poza tą przeklętą listą!
- Kiedy pan wbije sobie coś do głowy... Zaraz mi pan będzie wmawiał, że Zet jest jednym z tej listy! Wie pan, co zrobię? Zadzwoń do Sciortina i zapytam, czy któremuś z przyjaciół wspomniał o naszej rozmowie.
- I zrobisz błąd! Powinniśmy udawać, że nas jednak oszukał!
- Jak pan chce.

Potem Fazio powiedział:

– Pomyślałem o czymś.

– No to mów.

– Mam teraz siedmiu mężczyzn i dwa samochody do dyspozycji. Patrząc na listę, pozostaje czternaście mieszkań do okradzenia, ale są wszystkie w miarę blisko siebie. Może uda mi się je obserwować aż do sobotniej nocy.

– Mając tylko dwa auta?

– Dwa auta i pięć rowerów, wyposażenie mamy jak nocna straż.

– No dobra, to spróbuj.

Montalbano przerwał nagle. Teraz musiał poruszyć niezręczny temat.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Słucham.

– Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie Cosulich.

Nie chciał zamydlać oczu Faziowi, ale nie czuł się na siłach, żeby powiedzieć mu całą prawdę.

– Czego chciała?

– Powiedziała, że przemyślała to, co ci powiedziała. I wysnuła jeden wniosek. Pan Zet nie ujawnił, że willa kuzyna służyła jej jako miejsce schadzek, ponieważ chce ją w przyszłości tym szantażować.

Fazio pomyślał chwilę.

– Nie można odrzucić tej hipotezy. Ale, przyjmując ją, popada pan w sprzeczność.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Ponieważ Cosulich odrzuciła nazwiska mężczyzn z listy, siłą rzeczy pan Zet nie należy do przyjaciół Peritorów. Ale na obecnym etapie nie mogę niczego pominąć.

– Co do tego zgadzam się z panem. Cosulich kogoś podejrzewa?

– Powiedziała, że wieczorem poda mi parę nazwisk. Zaprosiła mnie na kolację do siebie do domu.

Faziowi rozjaśniła się twarz, jak gdyby ktoś podświetlił ją nagle żarówką.

– O co chodzi?

– To nierozsądne, panie komisarzu. Przepraszam, że to mówię.

– Niby dlaczego?

– No bo najpierw ten dziennikarzyna z telewizji dał do zrozumienia, że być może chroni pan tę małą. A teraz niech pan sobie wyobrazi, co się stanie, jeśli ktoś zobaczy pana wchodzącego do domu Cosulich!

– Masz rację, nie pomyślałem o tym.

– Nawet nie może jej pan ponownie zaprosić do restauracji.

– Czyli co?

– Niech pan ją zaprosi tutaj, do komisariatu.

– A jeśli nie zechce?

– To już lepiej, żeby przyjechała do pana do Marinelli, późno wieczorem, wtedy raczej trudno ją będzie zobaczyć.

Czyżby Faziowi śmiały się oczy?

Czy ten dupek nabijał się z niego?

– Zaproszę ją tutaj – powiedział Montalbano.

– To i lepiej – podsumował Fazio, wstając z krzesła.

Położył już rękę na telefonie z bezpośrednim wyjściem na miasto, żeby zadzwonić do Angeliki, kiedy zatrzymał się chwilę.

Odezwie się najpierw centrala. A on musi powiedzieć, że nazywa się Montalbano i jest komisarzem.

Czy taki telefon z policji nie skompromituje Angeliki w banku, gdzie i tak ma już kłopoty?

To jak zatem ma się z nią skontaktować?

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Zadzwonił do Catarelli.

– Tak jest, panie komisarzu!

– Catarella, nie wiesz, czy ktoś tu jest klientem Banku Sycylijsko-Amerykańskiego?

– Tak, panie komisarzu. Agent Ronsisvalle Arturo. Kiedyś z nim tam poszedłem, chodziło o czek...

– Powiedz mu, żeby tu przyszedł.

Czekając na policjanta, Montalbano wziął kartkę i napisał:

*Proszę zadzwonić do mnie do biura, kiedy tylko będzie Pani mogła.
Dziękuję. Montalbano.*

Dzięki temu, jeśli przypadkiem przeczytają to koledzy Angeliki, nie będą mogli się do niczego przyczepić. Włożył kartkę do koperty bez nadruku.

- Słucham, panie komisarzu?
- Znasz panią Cosulich?
- Oczywiście, jestem klientem...
- Wiem. Musisz pójść do banku i dać jej ten list tak, żeby nikt nie widział.
- Poproszę o wyciąg z konta, to będzie dobry pretekst.
- Dziękuję.

*

Pół godziny później zadzwoniła Angelica.

- Co się stało?
- Możesz rozmawiać?
- Tak.
- Pomyślałem, że wizyta u ciebie byłaby nieostrożnością, ktoś mógłby mnie zobaczyć.
- Miej to w nosie.
- Zastanów się, co mówisz. W dodatku Peritore mieszkają na tej samej ulicy. Jeśli ktoś się dowie, to pogłoski o tym, że zawarliśmy umowę, nabiorą wiarygodności i trudno będzie je podważyć.

Westchnęła. Po jakimś czasie powiedziała:

- Może masz rację. No to co robimy?
 - Możesz przyjechać tu, na komisariat.
 - Nie.
- Natychmiastowa i stanowcza odpowiedź.
- Dlaczego?
 - Z tego samego powodu, dla którego ty nie chcesz przyjechać do mnie.
 - Co to ma wspólnego? Mogę cię wezwać, żeby wyjaśnić jakieś sprawy związane z włamaniem.

- Nie, czuję podskórnie, że to byłby błąd.
- Mogłabyś przyjechać do Marinelli.
- Przyjmuję z radością to zaproszenie. Ale chwila, przecież tam też ktoś mnie może zobaczyć?
- Przede wszystkim mój dom stoi na uboczu i nie mam żadnych sąsiadów. A jeśli przyjedziesz koło dziesiątej wieczorem, albo nawet później, to zapewniam, że nikogo tam nie spotkasz.
- To ja mam dla ciebie alternatywną propozycję – stwierdziła Angelica.
- Jaką?
- Powiedziała mu.
- Ale o tej propozycji nie można było rozmawiać z Faziem.

*

Wziął listę i po raz kolejny zaczął czytać nazwiska.
R.M.U. Camera Leone z żoną.
Co oznaczał ten skrót R.M.U.? Może „rzeczoznawca maszyn i urządzeń”?

Mgr Sciortino Giovanni z żoną.
To ci od nieudanej kradzieży.
Mgr Filippone Gerlando z żoną.
Dowiedzieć się więcej.
Mecenas Lojacono Emilio z żoną.
To ten, którego okradli na samym początku, kiedy zabawiał się z kochanką Ersilią Vaccaro.

Inż. De Martino Giancarlo.
To ten oskarżony o wspieranie działalności przestępczej.
Księgowy Schirò Matteo.
Stary kawaler? Dowiedzieć się więcej.
Księgowy Schiavo Mariano z żoną.
Dowiedzieć się więcej.
Księgowy Tavella Mario z żoną.
To ten oskarżony o długi karciane.
Mgr Pirrera Antonio z żoną.

Dowiedzieć się więcej.

Mecenas Pintacuda Stefano z żoną.

Ma letni dom. Dowiedzieć się więcej.

Mgr Schisa Ettore.

Stary kawaler? Dowiedzieć się więcej.

Geodeta Martorana Antonio z żoną.

Żona geodety jest ponoć kochanką inżyniera De Martino. Dowiedzieć się więcej.

Geodeta Maniace Giorgio.

Fazio powiedział mu, że Maniace jest wdowcem. To jedyna zasługa? A co ten Maniace robi w życiu? Ma dom letniskowy. I co jeszcze? Dowiedzieć się więcej.

Mgr Cosulich Angelica.

No, tę to znał całkiem dobrze.

Costa Francesco.

Pewnie najgłupszy z całej paczki, skoro nie ma studiów. Dowiedzieć się więcej.

Cannavò Agata.

Wdowa. Plotkara. Ta, która uważa, że wie wszystko o wszystkich.

Mgr Vaccaro Ersilia (z małżonkiem).

Ona jest kochanką mecenasa Lojacono. No i OK. Tylko dlaczego wzmianka o mężu jest w nawiasie?

Mecenas Di Mare Gaspare z żoną.

Dowiedzieć się więcej.

Reasumując, cokolwiek o tym myślał Fazio, tę listę zrobiono zbyt pośpiesznie. Znajdowały się na niej nazwiska osób, o których nic nie było wiadomo.

Na pewno Angelica coś mu o nich powie.

Złożył listę i wsadził ją do kieszeni.

12

Nadszedł czas, żeby coś zjeść.

Gdy wychodził z biura, Catarella w ogóle go nie zauważył, pochłonięty komputerem.

– Co robisz?

Catarella o mało nie spadł z krzesła. Podskoczył, czerwony na twarzy jak pomidor.

– Ponieważ nie ma dużo telefonicznych rozmów, to spędzałem czas na grze.

– Z komputerem?

– Tak, panie komisarzu.

– A co to za gra?

– To taka gra, że aby w nią grać, to trzeba być z kimś w parze.

– Ale ty nie jesteś z nikim w parze.

– No tak, ale komputer nie rozumie, że jestem sam.

Może to i była prawda.

– Wy tłumacz, na czym to polega.

– To zupełnie, ale to zupełnie inna gra niż ta, która nazywa się Oszukajkumpla.

– Możesz mi to jakoś lepiej wytłumaczyć?

– Komisarzu, ta gra polega na tym, żeby wyrządzić jak najwięcej zła parze przeciwników, czyli nieprzyjaciół, starając się, aby nasz partner nie wpadł w poważne niebezpieczeństwo.

– I jak sobie z tym radzisz?

– W tej danej chwili ja sam przebywam w wielkim niebezpieczeństwie, ale mój towarzysz, czyli to ja sam też, zaraz mi pomoże.

– Powodzenia.

– Dziękuję, panie komisarzu.

– Mam prośbę, Enzo.

– Słucham pana komisarza!

– Dzisiaj koło siódmej ta dziewczyna, która tu kiedyś ze mną była...

Pamiętasz ją?

– Jak mógłbym ją zapomnieć?

– ...przywiezie dla mnie przesyłkę. Podjadę odebrać ją koło ósmej.

– Dobrze. Co dzisiaj jemy?

– Wszystko.

Nie chciał się sam przed sobą do tego przyznać, ale był zadowolony.

Później, kiedy siedział na płaskiej skale, humor już mu się pogorszył.

Czuł się jak krokodyl płaczący po swojej ofierze.

Z goryczą uświadomił sobie, że prowadzone przez niego śledztwo wcale się nie posuwa.

Działał zawsze według logiki.

Brakowało mu jednak nagłego olśnienia, intuicji przesywającej mózg jak błyskawica, wynoszącej go poza logikę, która, w innych przypadkach, jak po sznurku doprowadzała go do rozwiązania.

Czy to już oznaki starości?

Wydawało mu się, że jego mózg jest już zardzewiały, jak od dawna nieużywane urządzenie.

A może przez to ciągłe myślenie o Angelice nie mógł ruszyć do przodu?

Czuł się rozdarty.

Jedna połowa Montalbana podpowiadała, żeby w ogóle się z nią już więcej nie widywać.

A druga myślała tylko o tej chwili, kiedy znowu będzie z Angelicą.

– Co ja mam zrobić? – zapytał kraba, który trudził się bardziej niż komisarz, wdrapując na skałę.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

– Zadzwoił pan do pani Cosulich? – zapytał Fazio, wchodząc do komisariatu.

– Tak, nie chce tu przyjechać.

– No to co robimy?

– Ma przyjechać do mnie wieczorem, do Marinelli.

Chryste Panie, w jakim skomplikowanym labiryncie kłamstw musiał się zapuścić!

– Coś mi przyszło do głowy, komisarzu.

– Mów!

– Skoro będzie pan dzisiaj rozmawiał z Cosulich, dlaczego nie wyciągnie pan z niej paru informacji, takich plotek bardziej, newsów, jak to teraz mówią, na temat jej przyjaciół?

– Tych z listy Peritorów?

– No tak.

– Zaczynasz uważać, że mam rację?

– Po prostu podążam tokiem pańskiego rozumowania i niczego nie odrzucam.

– No to gadaj!

Wyciągnął z kieszeni listę i pokazał Faziowi.

– Już o tym myślałem, cztery nazwiska z tej listy szczególnie mnie interesują.

– Które?

– Schirò, Schisa, Maniace i Costa.

– Dlaczego oni?

– Bo są wdowcami lub kawalerami.

Fazio zrobił zdziwioną minę.

– Żona – wytłumaczył mu komisarz – dla kogoś, kto kieruje szajką, stanowi poważny problem.

– Ale mogłaby być jego współpracowniczką.

– Jasne, ale jeśli w międzyczasie dowiemy się czegośkolwiek więcej o tej czwórce, to już zrobimy krok do przodu.

– Jeśli pan chce, mogę się tym zająć.

– Jasne, że chcę!

Koło ósmej pojechał do Enza i zabrał przesyłkę.

Potem wrócił do Marinelli, położył ją na stole i otworzył lodówkę, żeby sprawdzić, co mu przygotowała Adelina.

Babka ryżowa, smażone młode rybki i krewetki, doprawione oliwą, solą i cytryną.

Nakrył stół na werandzie i zaczął powoli jeść, przy każdym łyku delektując się morskim powietrzem.

Zrobiło się wpół do jedenastej.

Posprzątał i zadzwonił do Livii.

– Dzwonię teraz, bo wychodzę i wrócę późno.

– Jak zwykle będziesz się na kogoś zaczajał?

Nie spodobał mu się ton, jakim Livia zadała mu to pytanie.

– Będę na nogach całą noc, a ty się nabijasz.

– Przepraszam, nie nabijam się, wcale nie miałam takiego zamiaru.

Może to on, mając nieczyste sumienie, doszukiwał się dwuznaczności w każdym zdaniu?

Poczuł się jak szmata. Nie tylko opowiadał Livii brednie, ale w dodatku przypisywał jej intencje, których nigdy nie miała.

Komisarz Montalbano bardzo się sobie nie podobał.

Kiedy skończył rozmowę, otworzył przesyłkę.

W środku był kluczyk i klucz.

Włożył je do kieszeni, narzucił kurtkę i wyszedł z domu.

Dojechawszy do dzielnicy willowej, która w świetle księżyca wyglądała bardziej na koszmar po obżarstwie niż fragment miasta, wjechał w ulicę Constantina Nigry, biegnącą równoległe za domami przy ulicy Cavour.

Kiedy tylko dojechał do domu w kształcie rożka z lodami, zatrzymał się i zaparkował.

Przed wyjściem z auta czekał jeszcze pięć minut.

Następnie, ponieważ na ulicy nie było żywego ducha, a w żadnym oknie nie paliło się światło, szybko wysiadł z samochodu, przeszedł przez ulicę i stanął przed wejściem służbowym.

Otworzył je, przekręcając trzy razy kluczyk, wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Znalazł się w czymś w rodzaju wielkiego pomieszczenia oświetlonego jarzeniówkami, pełnego rowerów i motorów.

Z lewej strony zobaczył schody prowadzące na wyższe piętra, a naprzeciwko windę. Otworzył ją, wszedł i nacisnął guzik z symbolem ostatniego piętra. Winda była powolna, poruszała się z szybkością podnośnika.

Kiedy przybliżał się do swojego rajy na ziemi, ten sam wąż co zwykle, buszujący zawsze gdzieś w pobliżu, syknął mu do ucha:

Na pewno nie tylko ty znasz to sekretne wejście, ciekawe, ilu już z niego korzystało!

Ale wężowi nie udało się sprowokować komisarza. Mówił mu wyłącznie o sprawach, których, znając zwyczaje Angeliki, sam mógł się domyślić.

Winda stanęła. Był na miejscu. Otworzył drzwi i wyszedł.

Oddychał ciężko, jak gdyby wszedł pieszo na szóste piętro.

Zanim zadzwonił do drzwi, postanowił chwilę się uspokoić.

Kiedy odzyskał już normalny oddech, wyciągnął palec, żeby dotknąć dzwonnka.

Dokładnie w tym momencie druga połówka Montalbana powiedziała:

Robisz totalne głupstwo!

Sam nie wiedząc w jaki sposób, ale znalazł się ponownie w windzie, gotów zrezygnować z rajy.

Wtedy właśnie usłyszał głos Angeliki:

– Po co siedzisz w tej windzie?

Otworzył drzwi, jego los został już przesądzony.

– Upadła mi zapalniczka.

Uśmiechnęła się do niego. A on, kompletnie otumaniony przez ten uśmiech, pozwolił wziąć się za rękę i zaprowadzić do mieszkania.

Apartament przypominający statek kosmiczny został już gruntownie wysprzątanym, mogło się wydawać, że nigdy nie było tu żadnych złodziei.

– Co ci ukradli? – zapytał nieopatrznie.

– Nie widziałaś listy?

– Nie.

– Sporo kasy w biżuterii i futrach.

– Gdzie to wszystko trzymałaś?

– Biżuterię? W gabinecie, w małym sejfie ukrytym za obrazem. Dużą jej część odziedziczyłam po mamie, to ona zaraziła mnie miłością do klejnotów. Futra wisiały w szafie.

– Nie mogłaś trzymać wszystkiego w banku?

– Mogłabym, ale nie wypadało, to tylko wzmogłoby plotki na mój temat. Przyszedłeś mnie przesłuchać?

– Chodź, wyjdziemy na taras.

– A jeśli nas zobaczą?

– Nikt nas nie zobaczy, zaufaj mi.

Poszedł za nią.

Taras był ogromny, zgodnie z jego przewidywaniami. Ale tym, co najbardziej go uderzyło, była ogromna liczba roślin, kwiatów, w tym róż.

*Niedaleko ujrzała murawę zieloną,
Cierniem i różą polną wkoło otoczoną...*

Boże! Znowu ten Ariosto!

Nic na to nie mógł poradzić, Angelica stojąca u jego boku zbyt mu przypominała tamtą, z czasów kiedy był jeszcze młody.

Wydawało mu się, że trafił do rajskiego ogrodu. Oszałamiał go zapach jaśminu.

Angelica zapaliła tylko jedną lampkę dającą słabe światło.

– Gdzie usiądziemy?

Były dwie możliwości.

Albo na czymś w rodzaju łóżka plażowego, niskiego, ale wystarczająco szerokiego, aby pomieścić dwie osoby, albo na huśtawce z trzema miejscami.

Zarówno obok huśtawki, jak i łóżka stały stoliki. Na każdym z nich butelki whisky, szklanki i popielniczki.

– Usiądźmy na huśtawce – powiedział ostrożnie Montalbano.

Była wygodna, pełna poduszek. Blisko balustrady, ale nie można jej było zobaczyć z sąsiednich domów.

– Whisky?

– Tak.

Angelica nalała mu pół szklanki i podała. Taką samą porcję przygotowała dla siebie. Potem poszła zgasić lampę.

– Przyciąga komary.

Usiadła obok Montalbana.

– Sama zajmujesz się tymi roślinami?

– Nawet gdybym chciała, to nie mam czasu. Dwa razy w tygodniu, o szóstej rano, przychodzi ogrodnik. Trochę to kosztuje, ale bardzo kocham te moje kwiaty, zwłaszcza róże.

Zapadła cisza.

Powoli wzrok Montalbana przyzwyczaił się do ciemności.

Widział profil Angeliki, który zdawał się być dziełem jakiegoś wielkiego malarza, a jej długie włosy co jakiś czas delikatnie poruszał wiaterek, lekki jak pieszczota.

Jakaż ona była piękna!

Pragnął jej całym ciałem, ale część mózgu nadal stawiała opór.

Z powodu huśtania oba ciała zbliżyły się do siebie.

Ale żadne z nich nie chciało się odsunąć.

W sumie to nawet były coraz bliżej siebie.

Montalbano wygrzewał się w ciepłe jej ciała.

Potem Angelica odwróciła się do niego i poczuł lekki dotyk kształtnej piersi opartej na jego ramieniu.

Chciałby tak siedzieć całą noc.

Jakież to niebo było piękne!

Gwiazdy zdawały się do nich zbliżać, a jeden świetlisty punkcik, może balon meteorologiczny, płynął powoli w kierunku wschodu.

Matko Boska, i jeszcze ten zapach jaśminu!

To dlatego kręciło mu się w głowie!

I ten jednostajny ruch huśtawki, która kołysała go, odprężając całe ciało, nerwy i mięśnie...

Jakby jeszcze tego było mało, Angelica zaczęła śpiewać półgłosem coś, co przypominało kołysankę...

Zamknął oczy.

Nagle poczuł, jak usta Angeliki z siłą i pasją przylegają do jego ust.
Nie miał siły zareagować.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do piątej. Wstał z łóżka.

– Już idziesz?

– Zaraz zacznie świtać.

Poszedł do łazienki, żeby się ubrać, nie chciał, żeby go widziała podczas tej czynności.

Kiedy był gotowy, Angelica, w szlafroku, objęła go i pocałowała.

– Zobaczymy się jutro?

– Zdzwonimy się.

Odprowadziła go do windy i ponownie wycalowała.

Przyjechał do Marinelli koło piątej. Usiadł na werandzie.

Pojechał do Angeliki, żeby poznać nazwiska tych, którzy ją podrywali najbardziej natarczywie, ale niczego się nie dowiedział.

O nie, musisz być bardziej uczciwy w stosunku do siebie.

Przed wszystkim pojechał tam, licząc w skrytości ducha, że stanie się to, co się stało.

Ale w sumie dowiedział się czegoś „ważnego”.

Dowiedział się, że Angelica, która kochała się z nim, była kobietą jak wszystkie inne, być może tylko trochę od innych piękniejszą.

A czego on się spodziewał?

Czegoś w rodzaju rycerskiego poematu?

Spektaklu typu światło i dźwięk?

Muzyki w tle, jak kiedyś w kinach?

A tymczasem wszystko okazało się w sumie dość banalne, nic szczególnego, trochę rozczarowujące.

Po prostu handel wymienny.

Ona pragnęła jego ciała, a on – jej.

Rozwiązali problem i po wszystkim.

Rozstali się w przyjaźni.

*Tak wnet Orland do pierwszej wrócił się mądrości
I nadto zapomina bezecnej miłości;
dziewkę, w której rozkosze utopił kochania,
Lekce waży, już nie chce o nią mieć starania.
A co przedtem nad insze piękniejsza się zdała...*

Rozbierając się przed pójściem spać, zorientował się, że nie oddał Angelice kluczy.

Położył je na stole.

Ale wiedział, że nigdy więcej ich nie użyje.

Chciał przespać się ze trzy godziny, ale nie mógł zasnąć.

Kiedy tylko zamykał oczy, opadało go pewnego rodzaju zmieszanie, związane z tym, co wydarzyło się tego wieczoru.

Chciał powtarzać, że teraz ta kobieta już ostatecznie opuściła jego serce, ale nie mógł zaprzeczyć, że w tym sercu jednak była!

Fakty pozostają, nie dają się łatwo zniszczyć, to nie słowa unoszone przez wiatr...

Jak to się mogło stać? Nie mógł nawet wykorzystywać jako alibi odległości dzielącej go od Livii. Do niedawna przecież tu była, ale kiedy tylko wyjechała, on nie tracił czasu, żeby stracić głowę dla innej kobiety.

Przez całe lata w jego życiu była tylko Livia. Potem, gdy osiągnął pewien wiek, nie umiał już dłużej zachowywać obojętności, kiedy trafiały się jakieś okazje. Chęć powrotu do młodości? Lęk przed starością? Wszystko to już przerabiał, nie miało sensu recytowanie po raz któryś tej litanii, czuł jednak, że to nie był wystarczający powód.

Może gdyby mógł z kimś porozmawiać? Ale z kim?

Jeszcze w oparach drzemki, w którą zapadł koło wpół do ósmej, usłyszał dzwonek telefonu.

Wstał, z zamkniętymi oczami podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

– Słucham? – powiedział grobowym głosem.

– To ja, Angelica, obudziłam cię?

Nie poczuł żadnej emocji, słysząc jej głos.

– Nie.

– Przecież słyszę, jak chrypisz...

– Płukałem gardło.

– Czy przez przypadek mówiłeś Faziowi, że mamy się widzieć?

– Nie, powiedziałem, że zadzwonisz do mnie.

– Mam gest, oszczędzę ci wstydu. Masz coś do pisania pod ręką?

– Tak.

– No to pisz. Michele Pennino, ulica De Gasperi 38, czterdzieści lat, kawaler. To jeden z klientów banku, bardzo bogaty, nie wiem, czym się zajmuje. Stracił dla mnie głowę, i to na poważnie. Kiedy zrozumiał, że moja odmowa jest definitywna, wycofał się z banku i wyjaśnił dyrektorowi, że zrobił tak, bo byłem dla niego zawsze niemila. Zapisaleś?

– Tak, mów dalej.

– Drugi nazywa się Eugenio Parisi, ulica del Gambero 21, żonaty, dwoje dzieci, pod pięćdziesiątkę. Poznałam go na jakimś przyjęciu. Nawet nie masz pojęcia, jak zaczął obsypywać mnie różami, słodyczami, kiedyś wysłał nawet naszyjnik, ale mu go zwróciłam. Zemścił się, wysyłając anonim do mojego narzeczonego, nie wiem, w jaki sposób znalazł jego adres. W liście poinformował go, że w sumie to jestem dziwką.

– Ale skąd wiesz, że to na pewno on...

– Po kilku szczegółach, nie warto o tym mówić.

Pewna myśl przeleciała przez głowę komisarza.

– Masz jeszcze ten list?

– No coś ty. I to wszystko. Może wieczorem przyjedziesz...

Montalbano zamknął oczy i skoczył na główkę.

– Aha, chciałem ci powiedzieć, że po południu możesz przyjechać po te klucze.

Skończył mówić i natychmiast pożałował.

Zbyt późno ugryzł się w język.

Angelica chwilę milczała, po czym powiedziała:

– Rozumiem, do widzenia.

– Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i zawył dokładnie tak, jak Tarzan w dżungli.
Udało mu się wyzwolić.

13

Nie zdążył jeszcze wejść do sypialni, kiedy telefon znowu zadzwonił.

– Słucham?

– Dzień dobry.

Dzwoniła Livia.

– Próbowałam wcześniej, ale było zajęte. Z kim rozmawiałeś?

Przez głowę przemknęła mu odważna myśl.

A dlaczego by nie opowiedzieć jej wszystkiego?

Oczywiście Livii na początku zrobi się przykro, ale potem, kiedy minie jej złość, może będzie mogła mu pomóc...

Była jedyną osobą na świecie, która rozumiała go lepiej od niego samego.

Czuł, że oblewa się potem.

– Co ci jest? Z kim rozmawiałeś?

Wziął głęboki oddech.

– Z pewną kobietą.

No i udało się.

– Czego chciała?

– Możesz chwilę poczekać?

– Oczywiście.

Pobiegł do kuchni, wypił szklankę wody, wpadł do łazienki, umył twarz i wrócił do telefonu.

– Czego chciała ta kobieta?

No dalej, Montalbano, strzelaj!

– No bo spędziliśmy razem noc...

– W jakim sensie?

– No jak to w jakim? Spaliśmy ze sobą!

Zapadła cisza.

– Czyli kiedy powiedziałeś mi, że jedziesz na obserwację, to było kłamstwo?

– Tak.

Kolejna minuta strasznej ciszy.

Stojąc przy telefonie, Montalbano czekał na początek potopu.

Ale zamiast tego usłyszał jej śmiech. Tak nią wstrząsnęło to, co powiedział, że straciła rozum?

– Livio, proszę cię, nie śmiej się!

– O nie, mój drogi, nie dam się nabrać!

Oszupiał. Nie wierzył własnym uszom!

– Nie wiem, dlaczego chcesz wywołać u mnie zazdrość, ale nie dam się nabrać. Też coś, wmawiasz mi, że byłeś z jakąś kobietą! Dałbyś się prędzej obedrzeć ze skóry niż się do tego przyznać! Chciałeś ze mnie zażartować? Nie udało ci się.

– Livio, posłuchaj, ja...

– Wiesz co, mam tego dość!

I odłożyła słuchawkę.

Montalbano stał oszupiały ze słuchawką w ręku.

Ponownie poszedł się położyć, pozbawiony wszelkiej energii. Leżał z zamkniętymi oczami, o niczym nie myśląc.

Po jakiejś półgodzinie usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe.

– To ty, Adelino?

– Tak, panie komisarzu.

– Zrób mi morze mocnej kawy.

W biurze pojawił się po dziesiątej.

– Zawołaj Fazio – powiedział do Catarelli.

– Już się robi, migusiem, panie komisarzu.

Fazio pojawił się ze stertą papierów, które położył na biurku.

– To wszystko do podpisu. Żadnego włamania tej nocy.

– No i dobrze.

Fazio usiadł.

– Kazał mi pan wczoraj sprawdzić cztery osoby z tej listy.

– I co?

– Miałem mało czasu, więc rozpytałem w mieście tylko o Maniace.

Innymi zajmę się dzisiaj.

– I co wiesz o tym Maniace?

– Mogę wyjąć kartkę z kieszeni?

Fazio cierpiął na chorobę nazywaną przez Montalbana zespołem danych osobowych. Szukając informacji na czyjś temat, spisywał wszystkie możliwe i niepotrzebne szczegóły, jak imiona i nazwiska rodziców, miejsce i godzina urodzenia, poprzednie miejsca zamieszkania, imiona i wiek ewentualnych dzieci, bliska i dalsza rodzina... To była prawdziwa obsesja.

Fazio zerknął na kartkę, a potem włożył ją z powrotem do kieszeni.

– Geodeta Giorgio Maniace ma czterdzieści pięć lat i jest, jak mi się wydaje, co zresztą mówiłem panu kiedyś, wdowcem. Przewodniczy miejscowemu klubowi katolickiemu.

– To nic nie znaczy. Z wyjątkiem ludzi spoza Unii sto procent krajowych przestępców, których posyłamy do więzienia, to kochający papieża katolicy.

– Zgoda, ale ten wydaje mi się szczególnym przypadkiem. Maniace pochodzi z bogatej rodziny. Do trzydziestego piątego roku życia świetnie mu się układało z żoną, podobno bardzo piękną. Potem zdarzył się wypadek.

– Jaki wypadek?

– Miał szybki, sportowy samochód, jechał nim z żoną do Palermo. Koło Misilmeri pięcioletnia dziewczynka przebiegła mu przed maską, zabił ją na miejscu. Był w szoku, kompletnie nie rozumiał, co się właściwie stało. Samochód jechał dalej, wypadł z drogi i zleciał do wąwozu. Maniace złamał sobie trzy żebra i lewą rękę, ale żona zmarła cztery dni później w szpitalu. Od tej pory jego życie zmieniło się.

– Został skazany?

– Tak, ale to był niski wyrok. Świadkowie zeznali, że gdyby nawet jechał dwadzieścia na godzinę, to dziewczynka i tak wpadłaby mu pod koła.

– To w jakim sensie jego życie się zmieniło?

– Sprzedał prawie wszystko, co miał, i zaczął zajmować się działalnością charytatywną. Ma tylko dom w mieście i drugi na wsi. Jest bardzo wierzący.

– Czyli w sumie straciłeś tylko czas.

– Nie, komisarzu, to nie strata czasu, skoro możemy już wykreślić jedno z czterech nazwisk.

Spojrzał na czubki swoich butów i powiedział:

– Zadzwoił pan wczoraj wieczorem do Cosulich?

– Tak, podała mi dwa nazwiska.

Teraz on wyciągnął kartkę z kieszeni i podał Faziowi.

– Pennino zemścił się na Cosulich, zamykając konto w banku, i oskarżył ją przed dyrektorem, że była wobec niego niegrzeczna.

– Ja znam tego Pennina – powiedział Fazio.

– Jak to?

– Myślę, że jest zdolny do wszystkiego.

– A ten Parisi z kolei wysyła anonimy.

Fazio nadstawił uszu.

– Jeśli ta Cosulich mogłaby nam...

– Chcesz porównać listy z tymi, które przesłał mi pan Zet?

– Tak.

– Muszę cię rozczarować. Cosulich dostała jeden, ale go wyrzuciła. Nie chcę obarczać cię zbyt dużą ilością roboty. Sam zajmę się Penninem i Parisim.

Zapisał na kawałku papieru ich adresy i poprosił Catarellę.

– Wyślij faks do kwestury, do biura spraw wewnętrznych. Chcę wiedzieć, czy prowadzili jakieś śledztwo, czy coś wiedzą więcej o tych dwóch.

– Już się robi, komisarzu.

Przez godzinę podpisywał papiery, potem wymasował sobie rękę i pojechał na obiad.

– Enzo, oddaj kopertę tej pani, przyjedzie po nią wieczorem.

Enzo powstrzymał się od komentarza.

Równoległe z tym ostatecznym gestem Montalbanem zawładnął wprost wilczy głód.

Nawet Enzo był trochę zdziwiony.

– Na zdrowie, panie komisarzu.

Tym razem spacer do mola odbył zwawym krokiem, prawie biegnąc, a nie wlokąc się jak zwykle. Dotarłszy do latarni uznał, że tyle na dzisiaj nie wystarczy.

Dlatego zrobił w tył zwrot i jeszcze raz pokonał całą trasę.

Wreszcie, zasapany, usiadł na swojej skale i zapalił papierosa.

– Udało mi się – powiadomił kraba, który tkwił nieruchomo wśród wodorostów, wpatrując się w niego pytająco.

– Komisarzu, panie komisarzu! Dzwonił teraz taki komisarz jak pan, ino z kwestury w Montelusie!

– A jak się nazywa?

– Chwila, zapisałem to sobie na karteczce.

Wziął kartkę i przeczytał:

– Nazywa się Pisquanelli.

– Pasquarelli!

Czyli szef sekcji narkotykowej.

– A co niby powiedziałem?

Lepiej dać spokój.

– Czego chciał?

– Żeby pan do niego przyjechał w wiadomej sprawie, i to jak najszybciej możliwe to będzie, bo to dla niego byłoby najlepiej.

– Dla Pasquarellego?

– Nie, dla pana.

Nie miał nic pilnego do roboty. Lepiej zabić czas i przejechać się do Montelusy, niż podpisywać dokumenty.

– Już jadę.

Wsiadł w auto i ruszył.

Pasquarelli był jednym z tych, którzy dobrze wykonują swój zawód, dlatego cieszył się sympatią Montalbana.

– Dlaczego interesujesz się Michele Penninem? – zapytał komisarza, kiedy tylko go zobaczył.

– A ciebie dlaczego interesuje, że ja interesuję się Penninem?

Pasquarelli zaczął się śmiać.

– No dobrze, Salvo. To zacznę pierwszy. Od razu ostrzegam cię, że rozmawiałem o tym z kwestorem, który uznał moje pierwszeństwo.

– Jakie znowu pierwszeństwo?

– Do Pennina.

– To nie ma sensu, żebym tu tracił czas.

– Daj spokój, Salvo, obydwaj mamy do siebie szacunek i nie ma o co wojować. Dlaczego się nim interesujesz?

– Nie wykluczam, że jest szefem złodziejskiej szajki, która w Vigacie...

– Słyszałem o tym. To na pewno nie on.

– Skąd ta pewność?

– Bo od półtora miesiąca trzymamy go pod ścisłą obserwacją.

– Narkotyki?

– Jesteśmy prawie pewni, że po śmierci Savina Imperatorego, największego importera z całej prowincji, to właśnie on zajął jego miejsce. Mogę cię zapewnić, Salvo, słowo honoru. Pennino nie jest tą osobą, której szukasz.

– Dziękuję – powiedział komisarz.

I wyszedł.

– Komisarzu, panie komisarzu!

Catarella uderzył w typowy dla siebie lament, jak zawsze, kiedy chodziło o telefon od kwestora.

– Czego chciał?

– On, czyli ten pan kwestor, powiedział, że życzy sobie natychmiast się z panem widzieć jak najszybciej i że nie może pan tracić nawet minuty!

A przecież dopiero wrócił do Montelusy!

Mieląc przekleństwa, Montalbano ponownie wszedł do auta.

Musiał poczekać trzy kwadransy przed gabinetem kwestora, zanim został przyjęty.

– Proszę siadać.

Montalbano zdziwił się.

Kazał mu siadać? Co się stało? Koniec świata?

Potem usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

– Wejść – powiedział kwestor.

W drzwiach pojawił się wicekwestor Ermanno Macannuco.

Wysoki, prawie dwumetrowego wzrostu, wyniosły i oschły, trzymał głowę tak, jak księża niosący Sakrament podczas procesji.

Pracował w monteluziańskiej kwesturze dopiero od czterech miesięcy, ale już ten krótki okres wystarczył, aby Montalbano zrozumiał, że ma do czynienia z niewyobrażalnym kretynem.

Kwestor poprosił komisarza, żeby usiadł.

Macannuco nie przywitał się z Montalbano, który udał, że go nie widzi.

– Niech pan zacznie – powiedział Bonetti-Alderighi.

Macannuco zaczął mówić, patrząc wyłącznie na kwestora, nigdy w stronę Montalbano.

– Zgłosiłem uwagę, że ewentualne śledztwo komisariatu w Vigacie powinno być wstrzymane, ponieważ ingeruje.

– W co? – zapytał kwestora Montalbano.

– W poprzednie dochodzenie.

Wtedy właśnie Montalbano postanowił trochę się pobawić. Przybrał niezwykle zmieszany wyraz twarzy.

– Co oznacza przednie dochodzenie?

– Nie powiedziałem przednie, tylko poprzednie – wyjaśnił kwestor.

– Proszę mi wybaczyć, ale według Rigatiniego Fanfaniego, a także według Devota Olego, poprzednie to coś, co już się wydarzyło. Jako że śledztwo w sprawie Parisiego prowadził kiedyś pan kwestor Macannuco, nie rozumiem, dlaczego prowadzone przeze mnie nowe śledztwo miałyby...

– Proszę nie zapuszczać się na obszary filologiczne, Montalbano! – upomniął go kwestor.

– Użyłem słowa poprzednie w znaczeniu: wcześniejsze – doprecyzował oburzony Macannuco.

– Ale ja wcześniej nie prowadziłem żadnego śledztwa w sprawie Parisiego! – zaprotestował komisarz.

– Ale my je prowadzimy! – krzyknął Macannuco.

Po czym włożył rękę do kieszeni, wyciągnął kartkę, rozłożył ją i przeczytał. Zbladł i ukłonił się kwestorowi.

– Przepraszam, pomyliłem się.

I wyszedł dostojnym krokiem.

– Stracił pan przez nas czas – przeprosił kwestor.

– Ależ nie ma o czym mówić! – odrzekł wielkodusznie Montalbano. – Widzieć pana to zawsze wielka przyjemność!

Kiedy wracał do Vigaty, postanowił natychmiast porozmawiać z Parisim.

Wynalazł pretekst. Powie mu, że został oskarżony przez Cosulich, że zbadano anonim i że charakter pisma nie pozostawia żadnych złudzeń.

Czyli ostrzelałby go ślepakami, mając nadzieję, że coś się wydarzy.

Pamiętał, że ulica del Gambero jest gdzieś w pobliżu portu. Nie mylił się.

Dom pod numerem dwudziestym pierwszym był olbrzymi i strzeżony przez portiera.

– Eugenio Parisi?

– Nie ma.

– Co to znaczy nie ma?

– Znaczą dokładnie to, co powiedziałem.

Co się dzieje z tymi portierami w Vigacie?

– Ale mieszka tutaj?

– Co do mieszkania, to mieszka.

– Jestem komisarz Montalbano.

– A ja portier Sciabica.

– Proszę mi powiedzieć, na którym piętrze mieszka?

– Na ostatnim, ósmym.

Montalbano ruszył w głąb kamienicy.

– Winda jest zepsuta – krzyknął portier.

Montalbano zrobił w tył zwrot.

- Dlaczego powiedział mi pan, że go nie ma?
- Bo jest w Palermo, w szpitalu. Żona też tam pojechała.
- Od kiedy?
- Od dwóch miesięcy.
- Dziękuję.
- Proszę.

I znowu chybiony strzał.

Właśnie parkował samochód pod komisariatem, kiedy zobaczył pędzącego w jego stronę Catarellę.

Trzymał ręce w górze i machał nimi, niezwykle czymś poruszony.

– Komisarzu, panie komisarzu!

To oznaczało coś o wiele poważniejszego niż telefon od kwestora.

– Co się stało?

– Kradzież!

– Tylko jedna?

– Na ulicy Mazziniego, pod czterdziestym pierwszym.

Ta sama dzielnica, w której mieszkali Peritore i Cosulich!

– Kto dzwonił?

– Ktoś, kto przedstawił się jako Pirretta.

Pirrerera Antonio! Numer dziewięć na liście!

– Kiedy dzwonił?

– Koło wpół do szóstej.

– Fazio nie ma?

– Już tam pojechał.

Fazio czekał przed bramą domu pod numerem czterdzieści jeden na ulicy Mazziniego i z kimś rozmawiał. Był tam już nawet samochód ekipy technicznej.

W tym przypadku architekt zaprojektował dom dwurodzinny w stylu alpejskich szałasów.

Spadzisty dach uniemożliwiający gromadzenie się śniegu, który nigdy, odkąd Montalbano sięgał pamięcią, nie padał w Vigacie.

– Jak to zrobili? – zapytał Fazio.

– Pan jest portierem w sąsiednim budynku.

Portier uściskał mu rękę.

– Ugo Foscolo – przedstawił się.

– Czy pan przypadkiem nie urodził się na wyspie Zakintos^[4]? – zapytał komisarz.

– Proszę opowiedzieć komisarzowi, co się wydarzyło.

14

– Dzisiaj koło szesnastej zatrzymała się tu furgonetka. Kierowca zawołał mnie i powiedział, że muszą poprawić antenę satelitarną telewizora państwa Pirrera, zainstalowaną na dachu domu pod numerem czterdzieści jeden.

– Proszę mi dokładnie powiedzieć, czego od pana chcieli.

– Ponieważ wiedzieli, że mam klucze od tamtego domu...

– A ma je pan?

– To jednopiętrowy dom, sam pan widzi. Na parterze mieszkają państwo Tallarita, mąż i żona. Wychodzą o siódmej rano i wracają wpół do szóstej po południu. Państwo Pirrera, którzy mieszkają na piętrze, wychodzą o ósmej i wracają, żeby zjeść, potem wychodzą i żona wraca koło wpół do szóstej, a mąż po ósmej wieczorem. Dlatego zostawiają u mnie klucze w razie potrzeby.

– Czego chciał ten kierowca?

– Żebym mu otworzył bramę i drzwi na schody prowadzące na dach.

– I zrobił pan to?

– Tak.

– Zaczekał pan, aż skończą pracę?

– Nie, wróciłem do stróżówki.

– A potem?

– Po jakichś trzech kwadransach pojawili się znowu, mówiąc, że już skończyli. No to poszedłem zamknąć.

– To ilu ich było?

– Trzech.

– Widział pan ich twarze?

– Dwóch tak, jednego nie.

– Dlaczego?

– Miał czapkę i szalik pod sam nos. Był zaziębiony, ciągle kasłał.

– Dziękuję, może pan odejść.

– Według ciebie jak to się odbyło? – zapytał Fazia Montalbano.

– Tych trzech weszło na dach, rozbili okno, spuścili się do mieszkania Pirrerów i od razu pomaszerowali prosto do sejfu. Otworzyli i do widzenia. Dlatego wezwałem techników.

– I dobrze zrobiłeś. Co robi pan Pirrera?

– Jest jubilerem, żona zajmuje się sklepem. Strasznie rozpaczają.

– Nic nie ukradli z mieszkania?

– Podobno nie.

– Przyjechał może Arquà ze swoimi ludźmi?

– Tak.

Arquà był szefem techników i komisarz nie znosił go. Z wzajemnością.

– To ja jadę do Marinelli, zadzwoń potem i opowiedz, co się działo.

– Jasne.

– Aha, chciałem ci powiedzieć, że wiem wszystko o Penninie i Parisim. Pennino jest pod nadzorem brygady antynarkotykowej, a Parisi od dwóch miesięcy leży w szpitalu w Palermo.

– Czyli Cosulich pomyliła się?

– Raczej tak. Aha, odwołaj obserwację domów w nocy. Już tę partię przegraliśmy.

Odwrócił się, zrobił trzy kroki i cofnął się.

– Jutro rano wezwij portiera na komisariat, widział twarze dwóch z nich. Pokaż mu kartotekę. Nie sądzę, żeby kogoś tam rozpoznał, ale i tak trzeba to zrobić.

*

W Marinelli rozebrał się i wszedł pod prysznic, żeby trochę się uspokoić. Jeżdżenie w tę i nazad między Vigatą a Montelusą, włamanie i przegrana partia kompletnie go rozwalily.

Pan Zet wygrał!

Całkowicie zmienił system i to był strzał w dziesiątkę.

Dochował danego słowa, to trzeba mu przyznać.

I zrobił z niego, Montalbana, kompletnego durnia.

Nie chciało mu się nawet sprawdzić, co Adelina przygotowała na dzisiejszą kolację.

Siedział wściekły na werandzie, towarzyszyła mu jedynie bezradność. W ogóle nie wiedział, co ma zrobić.

Wszystko jasne. Trzeba spojrzeć prawdzie prosto w twarz. Czas na emeryturę.

Fazio zadzwonił jakieś pół godziny później.

– Panie komisarzu, pan Pirrera jedzie na komisariat złożyć zeznanie. Chciałem też panu powiedzieć, że ci z techniki odkryli coś, co może jest ważne.

– To znaczy?

– Znaleźli na dachu jakiś kluczyk od samochodu. Według nich zgubił go jeden ze złodziei, na pewno wcześniej tam nie leżał.

– Odciski palców?

– Nie, na sejfie też nie. I chciałem jeszcze przekazać, co się mówi.

– Czyli co?

– Tak naprawdę słyszałem to nie od jednej osoby, wielu uważa tak samo. Pirrera jest lichwiarzem.

– Dobrze wiedzieć. Kto ma ten kluczyk?

– Ja.

– Już jadę.

– A po co?

– Potem ci powiem.

Ten kluczyk był jego kołem ratunkowym.

*

– Pan Pirrera już poszedł?

– Dopiero co.

– Szybko się uwinęliście.

– Miał ze sobą listę, jubiler wie, co trzyma w sejfie.

– Dobra, masz numery telefonów tych wszystkich z listy znajomych?

– Tak jest.

– Ilu masz teraz agentów w komisariacie?

– Pięciu.

– Zatrzymaj ich. A teraz zadzwoń do wszystkich, niech Catarella ci pomoże albo ktoś inny.

– Co im mam powiedzieć?

– Że za godzinę mają się tu u mnie stawić, niech każdy przyjedzie swoim samochodem.

– Ale za godzinę to już będzie jedenasta wieczorem!

– I co z tego?

– Może któryś z nich już poszedł spać...

– Jeśli się położyli, to będą musieli wstać.

– A jeśli któryś z nich odmówi?

– To mu powiesz, że masz polecenie doprowadzenia go na komisariat choćby w kajdankach.

– Ja to bym uważał na to, co robię.

– Bo?

– To zamożni ludzie, mają swoje znajomości, mogą złożyć skargę u kogoś wyżej, wyrzucić krzywdę...

– Mam to centralnie w dupie.

Nagle stał się tym Montalbanem sprzed lat.

– Ma być tak, jak mówię. Kiedy będą przyjeżdżać, niech zostawiają na parkingu samochody z kluczykami w stacyjce, a sami niech wejdą do poczekalni. Niech nie widzą tego, co będziemy robili na parkingu. Jasne?

– Jasne!

– Dobra, do roboty, nie traćmy czasu.

*

Stał z godzinę przy oknie, paląc jednego papierosa za drugim.

Potem pojawił się Fazio.

– Są już wszyscy, z wyjątkiem pana Camery, którego w żaden sposób nie mogliśmy znaleźć. Wie pan, że mamy szczęście?

– To znaczy?

– Dziesięciu z nich było razem na brydżu. Wszyscy wściekli, żądają wyjaśnień.

– Dostaną je. Masz ten kluczyk znaleziony przez technikę?

- W kieszeni.
- Ile jest samochodów?
- Dwadzieścia cztery, niektórzy mają więcej niż jeden.
- Zaczynamy kontrolę.

Po wypaleniu szesnastego papierosa miał spalone gardło i piekł go język.

Nagle pojawił się Fazio z triumfującą miną.

– To kluczyki do auta księgowego Tavelli, nie ma najmniejszej wątpliwości!

– Dałbym sobie za to jaja odciąć – powiedział Montalbano.

Fazio spojrział na niego zdumiony.

– Podejrzewał go pan wcześniej?

– Tak, ale nie w takim sensie, jak myślisz.

– To co teraz?

– Odeślij wszystkich do domu z przeprosinami. Z wyjątkiem Cosulich, Tavelli i Maniacego.

– A dlaczego nie tylko Tavelli?

– Warto im trochę zamydlić oczy. Kiedy wyjdą, przyjdź tu do mnie z Cosulich. Uważaj tylko, niech ktoś pilnuje poczekalni. Ani Tavella, ani Maniace nie mogą wyjść, pod żadnym pretekstem.

Po pięciu minutach Angelica pojawiła się u niego w gabinecie w towarzystwie Fazia.

– Proszę siadać.

Oboje usiedli na krzesłach przy biurku.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył Montalbano, było to, że cudowne oczy Angeliki wyglądały, jakby straciły kolor.

– Przepraszam, że prosiłem, aby pani została. Chciałem tylko powiedzieć, że zbadaliśmy dokładnie te dwa nazwiska, które była pani łaskawa nam podać. Żaden z tych mężczyzn nie może być autorem anonimu.

Angelica wzruszyła obojętnie ramionami.

– To było tylko moje przypuszczenie.

Montalbano wstał, ona także. Komisarz podał jej rękę.

Dłoń Angeliki była zimna.

– Zatem do widzenia. Fazio, odprowadź panią, a potem wezwij do mnie pana Maniace.

– Do widzenia – powiedziała Angelica, nie patrząc na niego.

W przypadku Maniacego musiał coś wymyślić.

– Dobry wieczór – powiedział, wchodząc, Maniace.

– Dobry wieczór – odpowiedział Montalbano, wstając i podając mu rękę. – Proszę siadać, to potrwa chwilę.

– Do usług.

– Niejaki Davide Marcantonio twierdzi, że dziesięć lat temu był pańskim wspólnikiem w firmie pogrzebowej. Jako że Marcantonio jest oskarżony o...

– Chwileczkę – przerwał mu Maniace. – Nie znam żadnego Marcantonio i nigdy nie miałem firmy pogrzebowej.

– Naprawdę? Pan urodził się w Pietraperzia?

– Nie, w Vigacie.

– A zatem to zbieżność nazwisk. Przepraszam pana. Do widzenia. Fazio, odprowadź pana.

Fazio wrócił biegiem.

– Idę po Tavellę?

– Nie, niech się jeszcze trochę podenerwuje. Zobaczył, że z Cosulich i Maniacem uwinęliśmy się szybko, teraz będzie się zastanawiał, dlaczego go nie wzywamy. Im bardziej się zdenerwuje, tym lepiej.

– Powie mi pan, dlaczego pomyślał właśnie o nim?

– Powiedziałeś, że Tavella, z powodu zamiłowania do hazardu, tonie w długach. Ty także powiedziałeś, że Pirrera jest lichwiarzem. Co jest w solniczce?

– Sól – odpowiedział Fazio.

– To właśnie chcą nam wmówić. Ale w tej konkretnej solniczce nie ma soli, tylko coś innego.

Fazio podskoczył na krześle.

– Czyli uważa pan, że...

– ...że Tavella jest idealnym kozłem ofiarnym. Ale mogę się mylić. Są tu jakieś bary czynne o tej godzinie?

– Blisko nas to nie. Ale jeśli chce się pan napić kawy, to Catarella ma maszynkę. Robi dobrą kawę.

Po kawie Montalbano poprosił Fazio, żeby poszedł po Tavelłę.

Mężczyzna był szczupłym, dobrze ubranym czterdziestolatkiem z kręconymi włosami, w okularach i z paroma lekkimi tikami.

– Proszę siadać, panie Tavella. Przepraszam, że kazaliśmy panu czekać, ale musieliśmy przedtem coś posprawdzać.

Tavella usiadł, poprawiając spodnie, potem dotknął dwa razy lewego ucha.

– Nie rozumiem, dlaczego...

– Zrozumie pan. Uprzejmie proszę o powstrzymanie się od komentarzy i odpowiadanie jedynie na moje pytania. Dzięki temu szybciej skończymy. Gdzie ma pan kluczyki od auta?

– Ten pan powiedział, że mamy je...

– Ano tak, idź po nie, Fazio.

Przed wyjściem Fazio spojrział na Montalbana, ten odwzajemnił spojrzenie. Zrozumieli się w lot.

– Gdzie pan pracuje, panie Tavella?

– W urzędzie miasta, w dziale majątkowym. Jestem księgowym.

– Dzisiaj po południu był pan w pracy?

– Nie.

– A dlaczego?

– Poprosiłem o wolne, żeby pomóc żonie. Wieczorem mieli przyjść do nas przyjaciele na brydża.

– Rozumiem.

Wrócił Fazio z dwoma kluczykami na metalowym kółku.

Położył je na biurku.

– Proszę się dokładnie przyjrzeć, czy to kluczyki do pańskiego auta?

– Tak.

– Jest pan pewien?

Tavella uniósł się na krześle, żeby przyjrzeć się im z bliska.

Dwa razy dotknął lewego ucha.

– Tak, to moje.

– Jeden do stacyjki, a drugi do bagażnika, tak?

– Tak.

– Proszę mi zatem wytłumaczyć, dlaczego na tym do stacyjki nie ma pańskich odcisków palców?

Tavella osłupiał. Otworzył usta, po czym je zamknął. Poczł silną potrzebę poprawienia kantu spodni i po raz czwarty dotknął lewego ucha.

– To niemożliwe! Jak niby tu przyjechałem bez użycia kluczyka?

– Bo to nie ten, którego pan użył. Fazio, połóż je na biurku.

Fazio założył rękawiczki, wyciągnął plastikową torebkę, a z niej klucze, które położył na biurku obok pierwszego kompletu.

– Te pierwsze zostały zamienione przez Fazia, zanim tu wrócił.

– Nic z tego już nie rozumiem – powiedział Tavella, dotykając osiem razy lewego ucha. – A skąd macie ten drugi kluczyk?

– Został znaleziony na dachu mieszkania pana Pirrery, gdzie dzisiaj miało miejsce włamanie. Z pewnością wie pan o tym.

Tavella nagle zrobił się blady jak płótno. Potem podskoczył, cały się trząsł.

– To nie ja! Przysięgam! Zapasowe kluczyki są u mnie w domu!

– Proszę usiąść. I niech się pan uspokoi. Gdzie je pan trzyma?

– Wiszą obok drzwi wejściowych.

Montalbano podsunął mu telefon.

– Pańska żona prowadzi?

– Nie.

– Proszę do niej zadzwonić i zapytać, czy zapasowe kluczyki nadal tam wiszą.

Tavelli tak trzęsły się ręce, że dwa razy pomylił numer. Kiedy ucho księgowego zostało już całkowicie zmasakrowane, Fazio zaoferował pomoc.

– Proszę mi podyktować numer.

Tavella podyktował, Fazio wybrał numer i oddał mu słuchawkę.

– Halo, Ernestina? Nie, nic mi nie jest, jeszcze siedzę na komisariacie. To nic ważnego, nie denerwuj się. Mam prośbę, zobacz, czy zapasowe kluczyki wiszą tam, gdzie zawsze.

Czoło Tavelli spływało potem, a lewe ucho było już czerwone jak pomidor.

– Nie ma ich tam? Dokładnie sprawdziłaś? To na razie, do zobaczenia. Odłożył słuchawkę, rozkładając bezradnie ręce.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Czyli nie wie pan, kiedy zniknęły?

– W ogóle się nie zorientowałem, że ich tam nie ma, zawsze wisiały razem z tymi od piwnicy, strychu...

– Proszę mi szczerze odpowiedzieć.

– Przecież cały czas mówię szczerze.

– Jest pan winny pieniądze Pirrerze?

Tavella nie zawahał się ani przez chwilę.

– Tak, to żaden sekret, wszyscy o tym wiedzą.

– Pańscy przyjaciele też?

– Oczywiście!

– Ile jest pan mu winien?

– Początkowo sto tysięcy euro, teraz już pięćset tysięcy.

– Pirrera jest lichwiarzem?

– Niech pan sam osądzi. Od trzydziestu lat nie robi nic innego, jak wysysa krew z połowy tego miasteczka!

Olbrzymie, niewytłumaczalne, a może zbyt łatwo wytłumaczalne zmęczenie opadło nagle komisarza.

– Panie Tavella, niestety muszę pana tu zatrzymać.

Biedak ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

– Proszę mi wierzyć, nie mam innego wyjścia. Pan nie ma alibi, kluczyki od auta zostały znalezione na miejscu przestępstwa, ma pan powody, żeby nienawidzić Pirrery...

Wściekłość wywołana faktem, że musi podporządkować się abstrakcyjnym zasadom, i żal w stosunku do tego biedaka sprawiały, że źle

się czuł.

– Może pan teraz zawiadomić żonę. A jutro rano zadzwonić także do swojego adwokata. Fazio, zajmij się wszystkim.

Wybiegł z gabinetu, jak gdyby dalsze przebywanie tam pozbawiało go powietrza.

Przechodząc koło Catarelli, zobaczył, że ten znowu siedzi przed komputerem.

– Ta sama gra?

– Tak, panie komisarzu.

– Jak ci idzie?

– Źle. Ale mój kolega, czyli ja, właśnie nadchodzi.

Coś w nim samym, w środku, zbuntowało się.

Dlaczego niby miał wykonywać co do joty polecenia z podręcznika komisarza doskonałego?

Niby kiedy był takim służbistą?

Wrócił biegiem do gabinetu.

Fazio trzymał rękę na słuchawce, żeby zadzwonić do żony księgowego.

Tavella nadal płakał.

– Fazio, pozwól na chwilę.

Fazio wyszedł za nim na korytarz.

– Ja go puszczę do domu...

– No dobra, ale...

– Napisz w raporcie, że nasza cela jest nieczynna z powodu uprzedniego zalania.

– Przecież nie pada już od miesiąca!

– Dlatego napisz, że zalanie było uprzednie.

Potem wszedł do gabinetu.

– Panie Tavella, jest pan wolny, proszę wracać do domu, do żony. Ale jutro rano o dziewiątej ma pan się tu stawić ze swoim adwokatem.

I zanim oszołomiony Tavella zaczął mu dziękować, wyszedł z pokoju.

15

Kompletnie odechciało mu się jeść.

Usiadł, jak zwykle, na werandzie.

Teraz było już zupełnie oczywiste, że panem Zet był ktoś z listy.

O każdym okradzionym wiedział wszystko, nie tylko poznał ich całe życie, wszystkie ważne i mniej ważne tajemnice, ale także przyzwyczajenia i codzienne czynności.

Kto wie, od kiedy pan Zet miał kluczyki Tavelli, które przywłaszczył sobie podczas jednego z brydżowych wieczorów organizowanych w jego domu!

Ale dlaczego pan Zet, który, jeśli to prawda, był jednym z listy, miał nieposzlakowaną reputację i dużo pieniędzy, stanął na czele złodziejskiej szajki?

W anonimowym liście napisał, że sam nie tknie nic z całego łupu, pozostawiając wszystko współnikom.

W takim razie po co to robił? Dla rozrywki? Też coś!

Z pewnością szukał czegoś niezwykle dla siebie ważnego.

Pan Zet nie szukał czegokolwiek, ale czegoś konkretnego.

A zatem wiedział być może, gdzie to się znajduje.

Jedyna kradzież, która interesowała pana Zet, to ta ostatnia, w domu Pirrerów.

Tym bardziej że zostawił poszlakę wskazującą na Tavelę.

Czyli coś w rodzaju kurtyny opadającej po dziesiątym przedstawieniu.

Wszystkie poprzednie włamania miały na celu opłacenie szajki. Mogły też mieć na celu zmylenie tropów.

A może pan Zet, tak jak Tavela, był winien pieniądze Pirrerze?

A może Pirrera trzymał w sejfie coś, co interesowało pana Zet?

Pozostając przy osobie pana Zet, należało jeszcze wziąć pod uwagę inne rzeczy.

Wszystkie osoby z listy znały się od lat i przyjaźniły.

Dlaczego dopiero w pewnym momencie pan Zet postanowił okradać mieszkania swoich przyjaciół?

Co było tego bezpośrednim powodem?

Cóż takiego mogło się wydarzyć, że pan Zet został nagle przestępcą?

I jeszcze coś: w jaki sposób skontaktował się z tymi złodziejami? Przecież nie oferują swoich usług publicznie, nie można pójść do pośredniaka i powiedzieć:

– Przepraszam, potrzebuję trzech doświadczonych złodziei.

W każdym razie Montalbano obiecał sobie, że następnego dnia wezwie Pirrerę i wszystko z niego wycisnie.

Dopiero co się położył, kiedy przypomniała mu się Angelica.

Uderzyło go coś w jej zachowaniu, kiedy poinformował ją, że ani Pennino, ani Parisi nie mieli nic wspólnego z anonimem.

Zero reakcji.

A on z kolei spodziewał się, że zareaguje inaczej.

Angelica wydawała się przerażona, zgaszona.

Tak, jak gdyby ta cała sprawa już jej nie dotyczyła.

Może generalna dyrekcja banku już postanowiła ją przenieść?

Wreszcie zasnął.

Obudził się nagle po niespełna półgodzinie snu.

Przyszła mu do głowy okrutna, niedająca spokoju myśl, przez którą nie mógł ponownie zasnąć.

Nie, to nie była myśl, tylko obraz.

Jaki?

Zaczął wysilać mózg, żeby sobie przypomnieć.

Wreszcie mu się udało.

Catarella grający z komputerem w swoim pokoiku.

Co to miało wspólnego z włamaniami?

Potem przypomniał sobie dokładnie jego tłumaczenie:

Ta gra polega na tym, że wyrządza się możliwie jak najwięcej szkód parze przeciwników, czyli nieprzyjaciół, starając się, aby nasz partner nie znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

Co to miało znaczyć?

Podskórnice czuł, że te słowa były bardzo ważne.
Ale czego dotyczyły?
Głowił się nad tym do świtu.
Potem, o świcie, także i jego umysł nawiedziła wiązka światła.
A on, nagle, zamknął oczy, jak gdyby chroniąc się przed tym światłem.
Światło, które niczym ostrze noża, zadało mu bolesny cios w serce.
Nie, to niemożliwe!
A jednak...
Nie, to absurd nawet o tym pomyśleć!
A jednak...
Wstał, nie mógł już dłużej leżeć.
Omójbożemójbożemójbożemójboże...
Modlił się?
Włożył kąpielówki.
Otworzył okno balkonowe na werandę.
Omójbożemójbożemójbożemójboże...
Poranny rybak jeszcze się nie pojawił.
Powietrze było rześkie, sprawiało, że włosy podnosiły się na skórze.
Poszedł na plażę i wskoczył do wody.
Jeśli dopadnie go skurcz i utonie, to tym lepiej.
Omójbożemójbożemójbożemójboże...

*

Cały mokry poszedł do kuchni, zrobił sobie porządną porcję kawy i wszystko wypił.

Dzwonek telefonu przeciął ciszę, jak seria z karabinu maszynowego.
Spojrzał na zegarek. Było dopiero wpół do siódmej.

- Panie komisarzu, to ja, Fazio.
- Co się dzieje?
- Znaleziono trupa.
- Gdzie?
- Przy polnej drodze, w osadzie Bellagamba.
- Gdzie to jest?

- Jeśli pan chce, to przyjadę po pana samochodem.
- Dobrze.

Postanowił nie dzielić się z Faziem nieznośną myślą, która dopadła go w nocy. Najpierw musiał zdobyć twarde podstawy.

- Kto zadzwonił?
- Jakiś chłop, przedstawił się, ale Catarella nie zrozumiał.
- Podał jakieś szczegóły?
- Nie. Powiedział tylko, że ciało leży w rowie, tuż obok wielkiego kamienia, na którym jest czarny krzyż.
- Catarella kazał mu tam czekać?
- Tak.

Z łatwością znaleźli wielki kamień z czarnym krzyżem.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, rozciągała się beznadziejna pustka, o jakimkolwiek domu można było tylko pomarzyć. Wszędzie tylko pola sorgo, królestwo chwastów i parę chorowitych drzewek. Jedynymi żyjącymi istotami były tu chyba tylko koniki polne wielkości palca i muchy latające tak tłumnie, że niebo wyglądało jak pokryte czarnymi chmurami. Nie słychać było nawet psów.

A przede wszystkim nie było mężczyzny, który znalazł trupa.

Fazio zatrzymał samochód i wysiedli.

– Pewnie sobie poszedł. Spełnił swój obowiązek, ale chciał uniknąć kłopotów – powiedział Fazio.

Trup leżał na dnie rowu biegnącego równoległe do drogi.

Leżał na plecach z szeroko otwartymi oczami i ustami wykrzywionymi w grymasie.

Był bez koszuli, w spodniach i butach, z bujnym owłosieniem na torsie i ramionach. Nie było widać żadnego tatuażu.

Montalbano i Fazio pochylili się, żeby mu się przyjrzeć.

Miał około czterdziestu lat i kilkudniowy zarost.

A także dwie widoczne rany, nad którymi krążyły miliony much.

Lewe ramię wydawało się sinawe i spuchnięte.

Fazio założył rękawiczki, położył się na ziemi i lekko unióś ciało.

– Kula musi nadal tkwić w ramieniu, ale wdało się zakażenie – powiedział.

Druga kula zmasakrowała szyję.

– A tędy z kolei wyleciała – powiedział komisarz. – Musieli strzelić mu w kark.

Fazio powtórzył operację.

– To prawda.

Następnie przesunął rękę pod miednicę nieboszczyka.

– W tylnej kieszeni nie ma portfela. Może go trzymał w marynarce. Według mnie nie żyje już od kilku dni.

– Też tak sędzę.

Montalbano westchnął. Teraz się zacznie cały korowód z prokuratorem, technikami, lekarzem sądowym... Chciał zniknąć jak najszybciej z tego przygnębiającego miejsca.

– Zadzwoń po dochodzeniówkę. Dotrzymam ci towarzystwa do ich przyjazdu, potem jadę. Dzisiaj rano przychodzi Tavella.

– Ano tak. Może pojawi się też ten portier, Ugo Foscolo, żeby przejrzeć i rozpoznać...

Montalbanowi nagle rozjaśniło się w głowie.

– Masz numer telefonu?

– Czyj?

– Tego Foscola.

– Tak.

– Zadzwoń do niego natychmiast, niech tu przyjedzie i zobaczy trupa.

Fazio spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Ale jak pan może uważać, że...

– Nie wiem, tak mi coś wpadło do głowy, ale nic nie stracimy, jeśli spróbujemy.

Fazio zadzwonił do Foscola.

Minęła godzina, zanim pojawił się doktor Pasquano, lekarz sądowy. Rozejrzał się dookoła.

– Sympatyczne to miejsce, aż żyć się chce. Że też nigdy nie podrzuca nam trupa na przykład do jakiegoś nocnego klubu, na karuzelę... Najwidoczniej jestem pierwszy.

– Niestety tak – odpowiedział Montalbano.

– Cholera jasna, całą noc spędziłem w klubie i spać mi się chce jak diabli – wykrzyknął zirytowany Pasquano.

– Przegrał pan?

– Nie pański zasrany interes – odparował, jak zwykle uprzejmie i z klasą, Pasquano.

Czyli przegrał. I to pewnie sporo.

– A kiedy pan Tommaseo się do nas pofatyguje?

– Zadzwoń do niego w pierwszej kolejności – powiedział Fazio. – Powiedział, że najpóźniej za godzinę tu będzie.

– Jeśli nie nadzieje się przedtem na jakiś słup – mruknął coraz bardziej wkurzony Pasquano.

Było powszechnie wiadomo, że prokurator Tommaseo prowadził auto, jak gdyby był pod wpływem środków odurzających.

– Może tymczasem zerknie pan na zwłoki – zasugerował Montalbano.

– Niech pan to lepiej zrobi, a ja prześpię się parę godzin – odpowiedział lekarz.

I położył się w karawanie, uprzednio wyrzucając z niego noszowych.

– Niech pan weźmie moje auto – powiedział Fazio. – Ja wrócę z którymś z nich.

– To na razie.

– O, pan komisarz! Muszę pana zawiadomić, że w poczekalni czeka osobiście na pana ktoś we własnej osobie.

– Tavella.

– Nie, Trivella.

– No dobrze, przyprowadź go do mnie.

Tavella był nieco mniej nerwowy niż poprzedniego dnia i nawet tylko raz dotknął swego ucha. Przełknął już jakoś potworny cios nagłego i fałszywego oskarżenia.

– Chciałem panu przede wszystkim podziękować za wyrozumiałość...

Montalbano popatrzył na niego.

– Dzwonił pan do adwokata? Rozmawiał pan z nim?

– Tak, ale może przyjść dopiero za jakieś pół godziny.

– To proszę wrócić do poczekalni i dać mi znać, kiedy się pojawi.

Z bezpośredniej linii zadzwonił do prokuratora Catanzaro, który zajmował się kradzieżami i napadami.

– Tu Montalbano. Wytrzymasz piętnastominutową rozmowę przez telefon?

– Dziesięć minut i zgoda.

Opowiedział mu o wszystkich kradzieżach i o Tavelli.

– Spisz mi to wszystko w raporcie i przyslij do mnie Tavelłę z jego adwokatem – powiedział na koniec Catanzaro.

Z wielką cierpliwością zabrał się do pisania raportu, potem przepisze go na czysto Catarella.

Po półgodzinie Catarella zawiadomił go, że przyjechał adwokat.

– Niech przyjdą do mnie.

Uporał się ze wszystkim w pięć minut i odesłał ich do Catanzara.

Kolejne pół godziny poświęcił na dokończenie raportu, który następnie dał do przepisania Catarelli.

Potem zadzwonił do Fazia.

– Na jakim etapie jesteście?

– Prokurator Tommaseo zderzył się z krową.

To dopiero była nowina. Tommaseo zderzał się już ze wszystkimi drzewami, pojemnikami, słupkami, ale z krową nigdy.

– Foscolo się pojawił?

– Tak, ale nie rozpoznał zwłok.

Trudno, najwidoczniej komisarza zawiodła intuicja.

– Czyli masz pełno roboty przez całe przedpołudnie?

– Na to wygląda.

– A co robi Pasquano?

– Na szczęście śpi.

Koło pierwszej, kiedy wstawał, żeby pojechać na obiad, zadzwonił Tavella.

– Prokurator Catanzaro zgodził się na areszt domowy. Ale przysięgam, panie komisarzu, że...

– Nie musi mi pan przysięgać, ja panu wierzę. Na pewno wszystko zakończy się pomyślnie.

Po wyjściu z biura pojechał do Enza, ale nie zjadł dużo.

Wrócił do komisariatu zaraz po zwyczajowym spacerze.

Fazio już na niego czekał.

– Co powiedział Pasquano?

– Nie można było się do niego zbliżyć, a co dopiero zapytać o cokolwiek. Był tak wkurzony, że aż strach.

– Zadzwoń do niego w najbliższych dniach, ale i tak wiem, co mi powie.

– To znaczy?

– Że pierwsza rana, czyli ten postrzał w ramię, jest mniej więcej o dobę wcześniejszy od tego w kark, który go zabił.

– A kto do niego strzelał?

– Za pierwszym razem? Nie zgadniesz!

– Nie.

– Nasz Loschiavo.

– O cholera!

– Spokojnie, on go tylko zranił, działał zresztą w obronie własnej. Piszę właśnie raport do kwestora.

– Jak to się wszystko według pana stało?

– Podczas strzelaniny przed willą Sciortinów Loschiavo rani kogoś w ramię, ale współnicy nie wiedzą, jak mu pomóc, a przecież nie mogą go odwieźć do szpitala. Następnie w ranę wdaje się zakażenie i jego towarzysze postanawiają go wykończyć, żeby uniknąć komplikacji. Kiedy Pasquano wyjmie kulę, dowiemy się, czy mam rację, czy nie.

– Może i tak było – powiedział Fazio.

– Czyli ten mężczyzna zmarł jeszcze przed włamaniem do mieszkania Pirrerów – ciągnął komisarz.

– To jasne.

– Ale złodziei było nadal trzech. Tak nam powiedział Foscolo.

– Fakt.

– A to może oznaczać tylko jedno. Że pan Zet osobiście wziął udział we włamaniu, zastępując nieboszczyka. To pewnie ten w czapce i szaliku, udający zaziębionego.

– Możliwe. Ale pewne jest, że w ten sposób narażał się na olbrzymie ryzyko.

– Warto było.

– W jakim sensie?

– Doszedłem do wniosku, że pana Zet interesowała tylko ta ostatnia kradzież. Poprzednie miały na celu opłacenie bandy i zmylenie tropów. W sejfie Pirrery, oprócz biżuterii, było z pewnością coś jeszcze. Teraz to coś jest w posiadaniu pana Zet, a my nigdy już nie usłyszymy o tej szajce. Jestem jednak przekonany, że niedługo coś się w następstwie tego wszystkiego wydarzy. Najwyraźniej nami pogrywają.

– Poważnie? A my zostaliśmy z niczym.

– Może da się jeszcze coś zrobić.

– To znaczy?

– Kiedy szukałem informacji o tych nazwiskach z listy, powiedziałem ci, że powinieneś wrócić, pod jakimkolwiek pretekstem, do wdowy Cannavò, tej plotkary.

– A co pan chce wiedzieć?

– Chodzi mi po głowie jakieś przecucie, bardzo niejasne, ale nie możemy go zlekceważyć. Musisz się dowiedzieć, czy mniej więcej trzy miesiące temu coś się wydarzyło w kręgu znajomych Peritorów.

– To znaczy co?

– Nie umiem ci powiedzieć. Ale wyciągnij z niej wszystko, nalegaj.

– Zaraz tam pojedę.

Po jakichś dwudziestu minutach Fazio zadzwonił do niego.

– Wdowa pojechała odwiedzić syna w Palermo.

- Nie wiesz, kiedy wróci?
- Portier powiedział, że jutro przed południem.

Tuż przed ósmą Montalbano podniósł słuchawkę i zadzwonił do doktora Pasquano.

- I co mi pan opowie ciekawego, doktorze?
- A co by pan wolał? Czerwony Kapturek? Bajka o podmienionym dziecku? Jakiś kawał? Zna pan ten o lekarzu i pielęgniarce?
- Błagam, jest późno, padam ze zmęczenia.
- A ja niby nie?
- Doktorze, chciałem wiedzieć...
- Wiem, co pan chciał wiedzieć! I nie powiem, jasne? Proszę czekać na wynik sekcji.
- Dlaczego jest pan taki obcesowy?
- Bo mam już dość.
- Mogę zadać jedno pytanie?
- Ale tylko jedno.
- Jedno. Słowo honoru.
- No niech mnie pan nie rozśmiesza! Słowo honoru to dają mężczyźni. A pan nie jest żadnym mężczyzną, tylko jakimś wrakiem! Dlaczego nie poda się pan do dymisji? Nie rozumie pan, że już po panu?
- Wyładował się pan?
- Tak. To teraz zadaj mi pan to główniane pytanie i pomykaj do domu starców.
- Pomijając, że jest pan starszy ode mnie i nie może nawet pójść do przytułku, bo nie ma pan z czego zapłacić, skoro wszystko przegrał, to pytanie jest następujące: wyjął pan kulę z ramienia, tak?
- Tu cię mam! Masz nieczyste sumienie?
- Dlaczego?
- Bo wy z policji strzelacie do ludzi i nawet sobie z tego sprawy nie zdajecie!

Tego właśnie chciał się dowiedzieć Montalbano.

– Jest pan niezwykle uprzejmy, doktorze. Życzę dużo szczęścia następnym razem w klubie.

– Spadaj pan, i to już!

16

Nie chciało mu się wracać do Marinelli.

Tam musiałby siedzieć sam.

A takie samotne siedzenie oznaczałoby, że znowu zaczęłby analizować pomysł, który dopadł go w nocy i który strasznie go dręczył.

Czyli co, drogi Montalbano, jesteś tchórzem? Nie masz odwagi stawić czoła sytuacji?

Nigdy nie mówiłeś, że jesteś bohaterem, odpowiedział sobie.

A zresztą nikt nie lubi popełniać harakiri.

Postanowił zjeść coś u Enza.

– A to co, Adelina zastrajkowała?

– Nie, zapomniałem, że włączyłem piecyk, i wszystko mi się spaliło.

Jak zwykle opowiada brednie, przy każdej nadarzającej się okazji. Mówi brednie, i brednie dostaje w zamian.

– Aha, panie komisarzu, ta pani nie zgłosiła się po tę przesyłkę.

Ciekawe dlaczego. Może zapomniała albo miała jakieś ważniejsze sprawy do przemyślenia?

– Daj mi ją.

– Zaraz przyniosę.

Sam nie wiedział, skąd wzięła mu się ta prośba, z pewnością nie z głowy.

Enzo przyniósł kopertę, komisarz wsadził ją do kieszeni.

I teraz co z tym zrobi? Pojęcia nie miał.

– Co zamawiamy? – zapytał Enzo.

Zjadł dużo i powoli, żeby jakoś zabić czas.

Potem pojechał do kina.

– Ale ostatni seans zaczął się dziesięć minut temu.

– Nieważne.

Być może jednak te stracone dziesięć minut na początku było niezwykle ważne, ponieważ z całego filmu, opowiadającego historię szpiegowską, nie zrozumiał absolutnie nic.

Wyszedł z kina koło wpół do pierwszej.

Wsiadł do samochodu i spoczywająca na kierownicy ręka poprowadziła go na ulicę Constantina Nigry.

Zatrzymał się, jak poprzednio, przed drzwiami dla służby domu w formie różka z lodem.

Co on tam robił?

Nie wiedział, podążał tylko za instynktem, rozum nie miał z tym nic a nic wspólnego.

Na ulicy nie było żywego ducha. Wsiadł, przeszedł przez ulicę, otworzył bramę i zamknął za sobą.

W środku wszystko było tak jak wtedy, kiedy pojawił się tu ostatnim razem. Wszedł do windy, nacisnął przycisk przedostatniego piętra.

Wszedł po schodach, starając się nie robić hałasu.

Przycisnął ucho do drzwi.

Najpierw nie słyszał nic oprócz bijącego mocno własnego serca.

Potem, z daleka, dobiegł go głos mówiącej głośno Angeliki.

Po chwili zorientował się, że nikogo tam nie ma, a kobieta rozmawia tylko przez telefon.

A ponieważ głos Angeliki raz przybliżał się, a raz oddalał, komisarz zrozumiał, że kobieta chodzi z komórką po mieszkaniu.

Potem usłyszał ją z bardzo bliska.

Angelica była wzburzona, na granicy hysterii.

– Nie! Nie! Zawsze ci wszystko mówiłam! Nigdy niczego przed tobą nie ukryłam! Jaki miałabym interes, żeby zataić coś tak bardzo ważnego! Wierzysz mi czy nie? W takim razie wiesz, co zrobię? Rozłączę się! Dobranoc!

Chyba rzeczywiście tak zrobiła, ponieważ Montalbano usłyszał, że wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

Przez chwilę kusilo go, żeby otworzyć drzwi i pocieszyć ją.

Ale znalazł w sobie wystarczająco dużo siły, aby odwrócić się i pójść w stronę schodów.

Do Marinelli przyjechał już po pierwszej.

Rozebrał się, włożył kąpielówki, wyszedł na plażę i zaczął biec wzdłuż brzegu.

Półtorej godziny później upadł jak długi na piasek i tak pozostał.

Potem jednak wykrzesał z siebie energię, żeby wrócić do domu, biegnąc jak poprzednio.

Położył się wykończony koło czwartej rano.

Umierał ze zmęczenia i nie był zdolny do myślenia.

Osiągnął swój cel.

– Napije się pan kawy?

– Która godzina?

– Prawie dziewięta.

– Podaj mi ją natychmiast.

Nie! Nie! Zawsze ci wszystko mówiłam! Nigdy niczego przed tobą nie ukryłam! Jaki miałabym interes, żeby zataić coś tak bardzo ważnego!

Mogło to znaczyć wszystko i nic.

Wypił kawę i poszedł pod prysznic.

Zza drzwi usłyszał głos Adeliny.

– Telefon do pana.

– Kto dzwoni?

– Catarella.

– Powiedz, że oddzwonię za pięć minut.

Szybko się umył, myśląc, że zabicie złodzieja być może coś zmieniło w tej całej sprawie i że może coś się jeszcze wydarzy, chociaż sam nie wiedział co.

– To ja, Montalbano.

– Ach, panie komisarzu, pan Pirrera się zabił!

– Kto dzwonił?

– Jego żona.

– Fazio już wie?

– Tak, już tam jest, to znaczy w sklepie na ulicy De Carlis, gdzie ten pan się zabił.

Chodziło na pewno o ulicę De Carolis.

– Już tam jadę.

Fazio czekał na niego przed opuszczoną do połowy żaluzją.

Czterech ciekawskich szeptało coś do siebie w bliskiej odległości.

Wiadomość o samobójstwie jeszcze się nie rozeszła, dziennikarze ani reporterzy lokalnych stacji o niczym nie wiedzieli.

– Zastrzelił się?

Jubilerzy zazwyczaj mają broń pod ręką.

I zazwyczaj pakują się w kłopoty, strzelając do rabusiów.

– Nie, powiesił się na zapleczu.

– Kto go znalazł?

– Żona, biedactwo. Miała jeszcze siłę powiedzieć mi, że dzisiaj rano Pirrera przyjechał tu dwie godziny wcześniej. Powiedział jej, że chce uporządkować rejestry. Ona, jak zwykle, pojawiła się kwadrans po dziewiątej i dokonała tego odkrycia.

– Jest w środku?

– Żona? Nie, była w złym stanie, kazałem odwieźć ją karetką do szpitala w Montelusie.

– Zostawił jakąś wiadomość?

– Tak, tylko jedno zdanie: „płacę za to, co zrobiłem”, i podpis. Chce pan zobaczyć?

– Nie. Zawiadomiłeś dochodzeniówkę?

– Tak, komisarzu.

Po co miał tu zostawać?

– Jadę do biura.

W sumie to mógł nawet odczuwać satysfakcję, mimo że jego przypuszczenia sprawdziły się dopiero po tym samobójstwie.

Pan Zet z pewnością znalazł w sejfie Pirrery to, czego szukał.

Czyli dowody na to, co zrobił Pirrera.

Ale co on takiego zrobił?

Inne pytanie: dlaczego pan Zet chciał to znaleźć?

Gdyby to wiedział, byłoby już po sprawie.

– To na pewno samobójstwo? – zapytał komisarz Fazia, kiedy ten wrócił na komisariat.

– Na sto procent. W każdym razie technicy zabrali tę kartkę do analizy grafologicznej. Muszę panu coś powiedzieć. Pamięta pan, że agent Caruana miał śledzić inżyniera De Martino?

– Tak.

– Już go z tego zwolniłem. Chyba teraz dobrze wiemy, że inżynier nie ma z tym nic wspólnego.

– Jasne, zgadzam się. A na jakim etapie jesteś z innymi nazwiskami?

– Którymi?

– Costa Francesco.

– Prostack, bez wykształcenia.

– Dlaczego?

– To prawie karzeł, zatem...

– A co to ma do rzeczy? Karły nie mogłyby...

– Niech mi pan da skończyć. Ugo Foscolo dokładnie opisał mi trzech złodziei i żaden z nich nie był taki niski.

– Masz rację.

– I nie może to być nawet pan Zet, ponieważ jasno udowodnił, że brał udział w ostatniej kradzieży.

– Racja, czyli pozostają nam dwa nazwiska. Schirò i Schisa. Bierz się do roboty.

*

Napisanie raportu na temat wymiany ognia przed willą Sciortinów zajęło mu prawie godzinę. Starał się tak to ująć, żeby jak najlepiej opisać nienaganne zachowanie Loschiava.

Kiedy skończył, zaniósł raport do Catarelli.

Potem wrócił do gabinetu i nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, tu taki pan jest liniowo połączony, co chce z panem komisarzem rozmawiać.

– A dlaczego mnie nie połączysz?

– No bo jedyne słowo, które zrozumiałem, to było nazwisko pana, to znaczy nie tamtego pana, tylko pana komisarza, co z nim obecnie rozmawiam.

– Nie powiedział, jak się nazywa?

– Nie.

Niby był zarobiony, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

– No dobrze.

W słuchawce rozległ się dziwny, przytłumiony głos.

– Słucham, z kim rozmawiam?

Usłyszał, że mężczyzna nabiera powietrza, zanim powiedział:

– Posłuchaj mnie uważnie: Cosulich możesz już uważać za martwą.

– Halo, z kim...

Przerwano połączenie.

Montalbano zdrętwiał.

Następnie uczucie zimna zmieniło się w gorąco, które sprawiło, że oblał się potem.

Rozmówca celowo zmienił głos.

Jednak przekazana przez niego wiadomość nie pozostawiała niestety wątpliwości.

Ale dlaczego chcieli ją zabić?

Nie! Nie! Zawsze ci wszystko mówiłam! Nigdy niczego przed tobą nie ukryłam! Jaki miałabym interes, żeby zataić coś tak bardzo ważnego!

No nie, tak się nie rozmawia z zazdrosnym kochankiem.

Ale jaki sens miałyby uprzedzenie o tym morderczym zamiarze właśnie jego, komisarza policji?

Nie wiedzieli, że mógłby natychmiast zapewnić Angelice skuteczną ochronę?

Że zrobiliby wszystko, co możliwe i niemożliwe, żeby uniknąć tej zapowiedzianej zbrodni?

Hipoteza, która początkowo wydała się komisarzowi beznadziejna, teraz zaczęła torować sobie drogę w jego głowie.

A jeśli ten, który dzwonił, chciał uzyskać dokładnie przeciwny efekt?

Założmy, że Angelice grożą z powodu czegoś, co zrobiła.

Albo czego nie zrobiła.

Ona, jeśli powód groźby nie może zostać ujawniony, z pewnością nie może pojawić się na komisariacie i złożyć zeznania.

A zatem w jej imieniu interweniował przyjaciel, który właśnie przed chwilą zadzwonił.

Czyli teraz policja musi siłą rzeczy bronić Angeliki.

Jeśli sprawy miały się tak, jak to sobie właśnie wyobrażał, trzeba było zrobić tylko jedno.

– Catarella, połącz mnie z Faziem!

Dopiero po pięciu minutach usłyszał jego głos w słuchawce.

– Jest coś nowego, możesz zaraz tu przyjść?

– Mógłbym, ale mówią mi tu ważne rzeczy.

– Kiedy skończysz?

– Za godzinę.

– Zaczekam. Catarella!

– Tak jest!

– Zadzwoń do Banku Sycylijsko-Amerykańskiego i poproś o rozmowę z panią Cosulich. Ale nie mów, że dzwonis z policji.

Catarella zamilkł.

Najwidoczniej prośba komisarza wprawiła go w zakłopotanie.

– No to jak mam się przedstawić?

– Jako sekretarz biskupa Montelusy. Kiedy się odezwie, powiedz, że łączysz z jego ekscelencją, i połączysz ją ze mną.

– Boże, jakie to piękne!

– Co takiego?

– No to!

– Ale co?

– Od kiedy pan komisarz został mianowany ekscelencją?

– Catarella, to biskup jest ekscelencją, nie ja!

– Ach... – mruknął rozczarowany Catarella.

Nie zdążył jeszcze powtórzyć mnożenia przez sześć, kiedy telefon zadzwonił.

– Słucham? – powiedziała Angelica.

A Montalbano odłożył słuchawkę.

To chciał wiedzieć. Dopóki dziewczyna była w banku, jej bezpieczeństwu nic nie groziło.

– Catarella!

– Jestem!

– Zadzwoń do szpitala w Montelusie i zapytaj, czy można już odwiedzać panią Pirrerę.

– Mam rozmawiać jako sekretarz biskupa?

– Nie, musisz wyraźnie powiedzieć, że dzwonisz z komisariatu w Vigacie.

Kiedy wchodził jako zdrowy do szpitala, zawsze czuł się niezręcznie.

– Kogo pan szuka? – zapytała jakaś surowa kobieta z recepcji.

– Pani Pirrery.

Kobieta sprawdziła coś w stojącym przed nią komputerze.

– Nie może jej pan odwiedzić bez zgody lekarza.

– Proszę mnie połączyć z lekarzem.

– Pan jest krewnym?

– Jestem jej bratem.

– Chwileczkę.

Harpia uczepiła się telefonu.

– Zaraz tu przyjdzie.

Po dziesięciu minutach pojawił się czterdziestolatek w okularach i lekarskim fartuchu.

– Jestem doktor Zirretta, a pan?

– A pan jest komisarzem Montalbano, jestem tego absolutnie pewien.

Lekarz spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Muszę pilnie porozmawiać z panią Pirrerą.

– Jest pod wpływem środków uspokajających – odpowiedział lekarz.

– Ale przytomna?

– Tak, ale daję panu tylko pięć minut. Proszę do niej pójść. Drugie piętro, pokój dwadzieścia.

Kto wie, dlaczego ciągle gubił się w szpitalach. I tym razem było tak samo.

W końcu, kiedy dziesięć minut później udało mu się dotrzeć na miejsce, przed drzwiami spotkał doktora Zirrettę.

– Pięć minut liczy się dopiero od teraz – powiedział komisarz.

Pani Pirrera leżała w pokoju dwuosobowym, ale jedno łóżko było wolne.

Bładziutka, koło pięćdziesiątki, była otyła i dość brzydka.

Miała zamknięte oczy, może spała. Montalbano usiadł na krześle koło łóżka.

– Pani Pirrera!

Kobieta otworzyła wolno oczy, jak gdyby jedna powieka ważyła całe tony.

– Jestem komisarz Montalbano. Czy może odpowiedzieć mi pani na dwa lub trzy pytania?

– Tak.

– Domyśla się pani, dlaczego pani mąż...

Kobieta rozłożyła ręce.

– Nie jestem w stanie...

– Czy mąż zdenerwował się włamaniem?

– I to bardzo.

– Czy w sejfie było dużo kosztowności?

– Może i było.

– Proszę mi wybaczyć, ale pani nie znała zawartości sejfu?

– Nigdy tego nie chciał.

– Ostatnie pytanie i dam pani odpoczywać. Po włamaniu pani mąż otrzymał jakiś list, ktoś do niego zadzwonił...

– Tego samego wieczoru. Długo rozmawiał przez telefon.

– Usłyszała pani, o co chodziło?

– Nie, wysłał mnie do kuchni. Ale potem...

– Był przerażony, zmartwiony, wstrząśnięty?

– Przestraszony.

– Dziękuję pani.

No i wszystko się zgadzało.

Pan Zet posłużył się tym, co znalazł w sejfie, żeby zaszantażować Pirrerę.

Albo żeby nakłonić go do samobójstwa.

W komisariacie czekał już Fazio.

– Przepraszam, ale kiedy pan do mnie zadzwonił, właśnie rozmawiałem z wdową Cannavò.

– I co ci powiedziała?

– Tym razem gadała o chorobach przyjaciół. Ten miał zapalenie płuc, a tamta ma reumatyzm... Nabija mi głowę zupełnie niepotrzebnymi informacjami. Ale wygadała się też, że Schisa miewa ataki depresji i manii i według niej przez rok trzymali go w szpitalu dla psychicznie chorych.

– I to niby takie ważne?

– W sumie to zachowanie pana Zet do najnormalniejszych nie należy.

– Masz rację... a jakieś ciekawsze wiadomości?

– Nic, przysięgała, że w ich towarzystwie nie wydarzyło się nic nowego, niczego nie zauważyła.

Kolejne fiasko.

– Co mi pan chciał powiedzieć? – zapytał Fazio.

– Coś dziwnego. Zadzwonił do mnie jakiś gość i powiedział, że Cosulich można już uznać za nieżywą.

Ciałem Fazio wstrząsnął dreszcz.

– Oszalał?

– No raczej.

Fazio stał przez chwilę bez słowa, pogrążony w myślach.

Co jakiś czas potrzasał przecząco głową. W końcu przemówił.

– Wydaje mi się dziwne, że ktoś, kto chce zabić, zgłasza to wcześniej policji.

– Brawo! Też tak myślę.

– Udało się panu przynajmniej dowiedzieć, co chciał przez to uzyskać?

– Coś dokładnie przeciwnego do tego, co mówił.

17

- To znaczy? – zapytał zmieszany Fazio.
- Chciał ochrony dla tej dziewczyny.
- Ale kto może grozić jej śmiercią?
- A skąd mam wiedzieć... Trzeba z nią porozmawiać. Zadzwoń do niej i zaproś tu po południu, kiedy już wyjdzie z banku.
- Ja mam porozmawiać, czy pan?
- Obydwaj. Mam pomysł.
- To znaczy?
- Znając twoje upodobanie do danych osobowych, na pewno masz całą dokumentację na temat tych ludzi z listy. Nazwiska rodziców, panieńskie, miejsca urodzenia, powiązania rodzinne...
- Fazio zaczerwienił się.
- Ano mam.
- Tu w pracy?
- Tak.
- Fazio wrócił po pięciu minutach z dwiema kartkami w ręku.
- Dzwoniłem do niej, przyjedzie o siódmej. A tu ma pan te dane.
- Potem je przeczytam, teraz jadę coś zjeść.

Po obiedzie, kiedy siedział z papierosem na skale, powrócił myślami do Angeliki.

Przypomniała mu się ta gorzka konkluzja, do której dotarł tamtej strasznej nocy, kiedy rozmyślał nad grą Catarelli z komputerem.

Konkluzja, którą odrzucił ze wszystkich sił, ale obecnie nie mógł dłużej trzymać z dala od siebie.

Nadeszła chwila prawdy. Nie można już jej odwlekać.

Zobaczył na molo jakiegoś mężczyznę, który szedł w jego stronę.

Może chciał naprawić latarnię.

Potem, od strony portu, dobiegł go hałas dieslowskiego silnika.

Odwrócił się, żeby popatrzeć.

Jakiś kuter rybacki wracał do portu o tej dziwnej porze. Musiał chyba mieć problem z silnikiem, który nie pracował regularnie.

Nie leciała nad nim żadna mewa.

Kiedyś towarzyszyłoby mu przynajmniej z dziesięć.

Teraz jednak mewy nie latały nad morzem, krążyły nad miastem, nad dachami domów, zmuszone do poszukiwania pożywienia w pojemnikach na śmieci, razem ze szczurami.

Często słyszał w nocy ich nerwowy, zdesperowany lament.

– Panie komisarzu...

Odwrócił się nagle.

To był Fazio.

Jego właśnie zobaczył z daleka. I nie poznał.

Zerwał się na równe nogi.

Wbił wzrok w oczy Fazia.

W mózgu świdrował mu jakiś hałas jak duża fala.

Nagle zrozumiał, dlaczego Fazio przyjechał tu do niego. Błady na twarzy pomimo słońca i właśnie pokonanej odległości.

– Nie żyje?

– Żyje, ale stan jest ciężki.

Montalbano runął na skałę zamiast usiąść.

Fazio przysiadł obok i objął go ramieniem.

Montalbano słyszał w głowie jakby porywisty wiatr, który uniemożliwiał sformułowanie myśli, skoncentrowanie się. Wiatr rozrzucał opadłe liście na wszystkie strony. Liście, przemyślenia, a może nawet nie przemyślenia, ale ich fragmenty, obrazy, które trwały chwilę i potem znikwały unoszone przez podmuchy.

Złapał się za głowę, jak gdyby w ten sposób usiłując powstrzymać ten chaotyczny i niemożliwy do powstrzymania chaos w głowie.

Omójbożemójbożemójboże...

Mógł powiedzieć tylko to, jak jakiś refren, który nie był modlitwą, ale rodzajem zaklęcia, bez dźwięku jednak, bez poruszania ustami.

Czuł się jak zranione zwierzę złapane zniecka w pułapkę, chciałby zamienić się w kraba i poszukać schronienia w wodzie, w skalnej jamie.

Potem, stopniowo, ta burza zaczęła uspokajać się tak, jak się zaczęła.

Wdychał morskie powietrze szeroko rozwartymi nozdrzami.

Przerażony Fazio nie spuszczał z niego oczu.

Po jakimś czasie mózg komisarza zaczął ponownie pracować, w przeciwieństwie do reszty ciała.

Serce wysyłało mu nadal niepokojące sygnały, rozumiał, że jeśli spróbuje się podnieść, to nogi nie utrzymają jego ciała.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dał rady, miał suche, jakby spalone gardło...

Uwolnił się od obejmującego go Fazia, pochylił na bok, ryzykując upadek do morza, zanurzył rękę w wodzie, zwilżył wargi i oblizał je.

Teraz mógł już mówić.

– Kiedy to się stało?

– Po wpół do drugiej, kiedy wyszli z banku na obiad. Restauracja jest blisko, więc zawsze chodzą tam pieszo.

– Widziałeś ją?

– Tak, kiedy tylko zadzwonili na komisariat i zrozumiałem, co się stało, natychmiast tam pojechałem.

– I... widziałeś ją?

– Tak.

– W jakim była stanie?

– Komisarzu, ona dostała prosto w klatkę piersiową. Na szczęście znalazł się lekarz, który od razu opatrzył ranę.

Z trudem zadał po raz drugi to samo pytanie.

– Ale jak się czuje? Cierpiała? Płakała?

– Nie, straciła przytomność.

Odetchnął z ulgą. Tak lepiej. Teraz czuł, że jest w stanie działać dalej.

– Jacyś świadkowie?

– Tak.

– Są w komisariacie?

– Tak jest. Ale wezwałem tylko jednego, tego, który wydaje się najbardziej konkretny.

– Dlaczego od razu mnie nie zawiadomiłeś, jeszcze zanim pojechałeś na miejsce wypadku? Mogłeś mnie poszukać albo zadzwonić do Enza.

– I po co pan tam miałby jechać? Zresztą...

– Zresztą co?

– Nie uznałem tego za właściwe. Najpierw chciałem się przekonać, czy pani Cosulich żyje.

Teraz był już pewien, że Fazio wiedział o jego przygodzie z Angelicą.

I natychmiast otrzymał potwierdzenie.

Fazio odchrząknął.

– Jeśli chce pan, żebym zadzwonił do Augella...

– Ale po co?

– Żeby wrócił do pracy.

– Ale dlaczego?

– Gdyby nie czuł się pan na siłach prowadzić dalej śledztwa...

Najwyraźniej Fazio był zakłopotany.

– Czuję się na siłach, spokojna głowa. Muszę trzymać formę. To przecież z mojej winy ją...

– Nikt nie mógł przypuszczać, że...

– Ale ja powinienem był, Fazio! Powinienem wziąć to pod uwagę i ani przez chwilę nie spuszczać z niej oka.

Fazio milczał.

Potem powiedział:

– Mam pana zawieźć do szpitala w Montelusie?

– Nie.

Nie mógłby jej oglądać, kiedy leżała nieprzytomna na szpitalnym łóżku. Ale może odmówił zbyt kategorycznie, bo Fazio przyglądał mu się lekko zdziwiony.

– Lepiej dowiedz się, w jakim jest stanie i czy już ją operowali.

Fazio wstał i odszedł na bok.

Przez chwilę, która komisarzowi wydawała się wiecznością, rozmawiał przez komórkę, po czym wrócił.

– Operacja się udała. Jest na sali pooperacyjnej. W każdym razie dopiero po dwudziestu czterech godzinach będą mogli powiedzieć, czy

niebezpieczeństwo już minęło.

Teraz już na pewno utrzyma się na nogach.

– Wracajmy do biura – powiedział.

Ale idąc, komisarz musiał jeszcze się wesprzeć na ramieniu Fazio.

– Chcę porozmawiać ze świadkiem.

– To księgowy, kolega Cosulich, nazywa się Gianni Falletta, zaraz go tu wezwę.

Falletta okazał się eleganckim, trzydziestoletnim blondynem o inteligentnym wyglądzie.

Montalbano poprosił go, żeby usiadł. Fazio, protokołujący spotkanie, zapytał o dane. Potem głos zabrał komisarz.

– Proszę nam opowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

– Wyszliśmy całą grupą z banku, żeby pójść do restauracji. Jest blisko, więc chodzimy tam pieszo. Angelica szła sama, trochę przed nami.

– Zawsze tak chodziła? Nie dołączała do was?

– Tylko dzisiaj, ktoś do niej zadzwonił i automatycznie przyspieszyła kroku.

– Proszę mówić dalej.

– Skręciliśmy z głównej ulicy w stronę restauracji. Nagle, za naszymi plecami, usłyszeliśmy huk motoru z silnikiem o dużej pojemności. Odsunęliśmy się wszyscy w prawo i zobaczyłem, że Angelica zrobiła tak samo.

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że obserwował pan dość dokładnie panią Cosulich.

Falletta poczerwieniał.

– Nieszczególnie... ale wie pan, jak to jest... Angelica jest tak piękną kobietą...

I komu to mówił!

– Proszę mówić dalej.

– Motor nie jechał szybko, raczej wolno... przejechał koło naszej grupy i kiedy znalazł się na wysokości Angeliki, człowiek siedzący z tyłu...

– Jechały nim dwie osoby?

– Tak. No i właśnie wtedy ten z tyłu odwrócił się i strzelił.

– Padł jeden strzał?

– Dwa.

Montalbano spojrzał pytająco na Fazia, który przytaknął głową.

– Zaraz potem motor przyspieszył i zniknął – dodał księgowy.

– Udało się panu zobaczyć twarz tego, który strzelał?

– Ależ skąd! Obydwaj mieli pełne kaski. Ale Angelica w pewnym sensie miała szczęście.

– Jak mam to rozumieć?

– Zobaczyłem, że w chwili strzału motor podskoczył gwałtownie, może była jakaś dziura w jezdni. Pierwszy strzał chybił celu, ale już drugi trafił ją prosto w pierś. Jestem pewien, że celował w serce.

– Udało się panu zobaczyć numery?

– Nie.

– A komuś z waszej grupy?

– Nie, przecież nie mogliśmy wiedzieć... zresztą po strzałach, to może pan sobie wyobrazić, co się działo... wszyscy rzucili się do ucieczki... Ja zresztą nawet nie pomyślałem o tablicy rejestracyjnej.

– Dlaczego?

– Moja pierwsza myśl dotyczyła... No, zacząłem biec do Angeliki, która leżała na środku ulicy.

– Udało się jej coś powiedzieć?

– Nie. Pochyliłem się, była strasznie blada, miała zamknięte oczy, wydawało mi się, że z trudem oddycha... i ta potworna czerwona plama rozlewająca się na bluzce... Chciałem ją podnieść, ale jakiś mężczyzna z balkonu powiedział, żeby tego nie robić, że już schodzi. To był lekarz, ma tam gabinet. Kiedy zszedł, nie tylko wezwał ambulans, ale zaczął od razu tamować krwotok.

– Dziękuję, panie Falletta.

– Mogę coś powiedzieć?

– Oczywiście.

– W ciągu ostatnich dni Angelica nie była taka, jak by to powiedzieć, taka jak zawsze.

– Jak się zachowywała?

– Sam nie wiem... była bardzo zdenerwowana... czasami nawet nieuprzejma... jak gdyby cały czas myślała o czymś... o czymś nieprzyjemnym. Wie pan, panie komisarzu, od sześciu miesięcy, czyli od kiedy Cosulich pojawiła się u nas, atmosfera w banku stała się bardziej radosna... przyjemniejsza... Angelica uśmiecha się w taki sposób, że...

Przestał mówić. Do tej pory udawało mu się zapanować nad sobą, ale teraz, nagle, zaczęły drżeć mu usta na samo wspomnienie uśmiechu Angeliki.

A Montalbano zrozumiał, że także księgowy Falletta był po uszy w niej zakochany.

Było mu go żal.

Kiedy Fazio wrócił, odprowadziwszy Fallettę, komisarz zapytał go o komórkę.

– Angeliki? Karetka najechała na nią i zmiażdżyła. W dodatku to, co z niej zostało, wpadło do studzienki kanalizacyjnej.

– Dlaczego od razu jej nie zabezpieczyłeś?

– Bo o tym, że rozmawiała przez komórkę, powiedzieli mi już po przyjeździe karetki. Za późno, co się miało stać, to już się stało.

Montalbano podniósł słuchawkę.

– Catarella, zadzwoń do dyrektora Banku Sycylijsko-Amerykańskiego i połącz mnie z nim.

– Nazywa się Filippone – poinformował Fazio. – Dość niesympatyczny gość. Ktoś z urzędników polecił go zawiadomić i zaraz przybiegł. Wtedy...

– Nie chodzi na obiad razem ze wszystkimi?

– Nie, je tylko trochę owoców w biurze. No więc pojawił się tam potem i cały czas powtarzał, kiedy czekali na karetkę, że bank na tym wszystkim ucierpi.

Zadzwoił telefon. Montalbano włączył tryb głośnomówiący.

– Pan Filippone? Tu komisarz Montalbano.

– Dzień dobry, słucham pana.

- Potrzebuję paru informacji.
 - Bankowych?
 - Przepraszam, ale skoro dzwonię do banku, to o jakie informacje mam prosić? O epidemii grypy w Malezji?
 - Tylko że my jesteśmy związani tajemnicą bankową. Działamy w taki właśnie sposób, a z drugiej strony cechuje nas jak najwyższa przejrzystość, w pełnym poszanowaniu prerogatyw, które...
 - Chcę natychmiast listę pańskich klientów. To nie żadna tajemnica.
 - A po co to panu? – zapytał Filippone.
 - A po to. Nas z kolei obowiązuje tajemnica śledztwa.
 - Śledztwa? – krzyknął śmiertelnie przerażony Filippone. – Panie komisarzu, chyba rozmowa na te tematy przez telefon...
 - To proszę tu przyjść. Natychmiast.
- Fazio uśmiechnął się.
- Teraz się pan na nim odgrywa?

Filippone pojawił się spocony i zadyszany.

Był tęgawym pięćdziesięcioletkiem, różowym, pozbawionym zarostu, chyba dość daleko skoligaconym z jedną z ras świń.

– Proszę nie sądzić, że w jakikolwiek sposób chciałem utrudnić... – powiedział, sadowiąc się z godnością.

– Nie sądzę – powiedział Montalbano. – Fazio, uważasz, że ja mogę sądzić?

– Sądzę, że nie – odpowiedział Fazio.

– Widzi pan? Tylko parę pytań związanych ze śledztwem. Czy wśród pańskich klientów jest ktoś z rodziny Cuffaro?

– Nie rozumiem, w jakim znaczeniu używa pan słowa rodzina?

– Od kiedy kieruje pan filią tego banku?

– Od dwóch lat.

– Jest pan Sycylijczykiem?

– Tak.

– A zatem proszę mi nie mówić, że nie wie pan, jakie tu u nas ma znaczenie słowo rodzina.

– Hm... cóż, no w każdym razie żaden Cuffaro nie jest moim klientem.
Inną rodziną mafijną z Vigaty byli Sinagrowie.

– A ktoś od Sinagrów?

Filippone otarł sobie pot z czoła.

– Ernesto Ficarra, czyli siostrzeniec...

– Wiem, kim jest.

Montalbano udał, że coś sobie zapisuje.

– Ile z jego powodu straciliście?

Filippone zbladł. Teraz pot ściekał mu strumieniami po świńskiej twarzy.

– Skąd o tym wiecie?

– My wiemy o wszystkim – powiedział komisarz, który strzelił w ciemno i jak widać trafił. – Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– No... sporo.

– Wie pan, że Ernesto Ficarra jest obecnie oskarżony o związki z organizacjami mafijnymi, handel hurtowy środkami odurzającymi i o stręczycielstwo?

– Coś mi się obilo...

– Coś się obilo! I to jest ta wasza transparentność?

Filippone był przerażony.

– Ostatnie pytanie i potem poproszę, żeby natychmiast pan stąd wyszedł. Czy niejaki Michele Pennino jest pańskim klientem?

Filippone nieco się ożywił.

– Już nie.

– Dlaczego?

– Cóż... postanowił nas opuścić, nie podając powodu i...

– Bez powodu? Wie pan, że bardzo wiele ryzykuje, nie mówiąc mi prawdy?

Filippone skurczył się jak przedziurawiony balon.

– Poleciałem pani Cosulich, żeby... żeby nie przywiązywała wielkiej wagi do proveniencji środków deponowanych u nas przez Pennina...

– Ale któregoś dnia Cosulich zbuntowała się, nie przyjęła lokaty i Pennino zmienił bank. Czy tak było?

- Tak.
- Proszę stąd wyjść.

*

- Myśli pan, że to Pennino...
 - Ależ skąd, chciałem tylko wiedzieć, czy kiedy Cosulich podała mi nazwiska Pennina i Parisiego, chciała zmylić trop. A tego tu pana dyrektora chciałem postraszyć i pomieszać mu szyki.
 - Czyli Cosulich powiedziała panu prawdę.
 - Częściowo – przyznał Montalbano.
- Fazio otworzył usta, ale natychmiast zamknął je z powrotem.
- Tymczasem – ciągnął komisarz – nie musisz już wypytywać przyjaciół Peritorów, czy w ich kręgu stało się coś ważnego.
 - Dlaczego?
 - Bo powiedział nam już o tym księgowy Falletta.
 - Falletta? Niby co?
 - Tym wydarzeniem był przyjazd Cosulich do Vigaty sześć miesięcy temu. Może mi o tym powiedziała, w każdym razie zapomniałem. Teraz trzeba dowiedzieć się, kto wprowadził ją w to towarzystwo, to niezwykle ważne.
- Fazio milczał przez chwilę.
- Potem przemówił, wpatrując się w czubki swoich butów.
- Kiedy postanowi pan wreszcie powiedzieć mi wszystko, co wie lub sądzi na temat Cosulich?
- Montalbano od dawna spodziewał się takiego pytania.
- Już niedługo. Ale przynieś mi informacje o tym ostatnim nazwisku, Schirò. Pojadę teraz do Marinelli, jestem zmęczony. Widzimy się jutro rano.

18

Siedział na werandzie z pustym żołądkiem, ściśniętym w pięść.

*Czemu mi – pry – złe myśli, serce tak psujecie?
Przecz mi co raz, to więcej żalu przydajecie,
Kiedym nie zażył, kiedym omieszkał pogody...*

No nie, koniec z Ariostem. A zwłaszcza koniec z Angelicą z czasów jego młodości. Pozostała mu tylko jedna rzecz do zrobienia, niepotrzebnie cały czas zadręczał się wątpliwościami. Iść do przodu, nawet jeśli wiele go to kosztowało.

Wyjął z kieszeni dwie kartki z danymi osobowymi zebranymi przez Fazia, które wziął, wychodząc z biura. Zaczął je studiować.

Ale sam nie wiedział, czego szuka.

Potem, nagle, przerwał.

Ponieważ niespodziewanie usłyszał w głowie słowa Angeliki.

...moja matka była z Vigaty... mój ojciec też już nie żyje... straszny wypadek, tu... miałam pięć lat...

Poczuł się, jak gdyby zalała go potężna fala gorąca, tak mocna, że musiał wstać i pójść pod prysznic.

Wrócił na werandę i przeczytał dane Angeliki.

Cosulich Angelica, córka Daria i Clementiny Baio, urodzona w Trieście szóstego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, zamieszkała...

Ogarnęło go coś w rodzaju gorączki. Wstał i zadzwonił na komisariat.

– Tak jest, panie komisarzu.

– Catarella, nie miałbyś ochoty zarwać nocy?

– Dla pana to nawet tysiąc!

– Dziękuję. Archiwum Giornale dell’Isola jest już skomputeryzowane, prawda?

– Tak, raz nawet z niego korzystaliśmy.

– To zajrzyj do rocznika 1984, sprawdź, czy jest tam informacja o wypadku samochodowym, w którym zginęły dwie osoby, mąż i żona.

Nazywali się, tylko zapisz dobrze, Dario Cosulich i Clementina Baio. Powtórz mi te nazwiska.

– Cosulicchio Dario i Clementina Pario.

– Jeszcze raz ci je podyktuję, zapisz poprawnie! I kiedy tylko coś znajdziesz, dzwoń do mnie do domu.

Na szczęście noc była cudownie piękna i spokojna.

Wystarczyło, żeby Montalbano popatrzył na morze albo w niebo, i już poziom zdenerwowania obniżał się o kilka stopni.

Był właśnie przy szóstej szklaneczce whisky i drugiej paczce papierosów, kiedy zadzwonił telefon.

– Znalazłem, panie komisarzu! I wydrukowałem.

Głos Catarelli brzmiał triumfująco.

– Przeczytaj mi to.

Catarella zaczął czytać.

Vigàta, trzeci października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Korespondencja własna. Dzisiaj rano sprzątaczką znalazła w mieszkaniu przy ulicy Rosolino Pio 104 zwłoki Daria Cosulich, wiek czterdzieści pięć lat i jego żony Clementiny Baio, wiek czterdzieści lat. Chodzi o zabójstwo połączone z samobójstwem.

Cosulich zastrzelił się po zabiciu żony strzałem z pistoletu. Dario Cosulich, pochodzący z Triestu, przyjechał do naszego miasta siedem lat temu i otworzył hurtownię tkanin. Po rewelacyjnym starciu interesy zaczęły iść gorzej. Tydzień przed tragicznym zdarzeniem Cosulich musiał ogłosić bankructwo. Wyklucza się motyw zazdrości. Można przypuszczać, że Cosulich nie był dłużej w stanie stawiać czoła żądaniom lichwiarzy, do których był zmuszony się zwrócić.

Brakowało ostatniego fragmentu mozaiki, którą widział już teraz bardzo wyraźnie. Wrócił na werandę i ponownie zaczął studiować dane z kartek.

Ale od razu zorientował się, że litery skaczą mu przed oczami.

Kiedy doszedł do jedenastego nazwiska, Ettore Schisy, znajdującego się na drugiej stronie, poczuł, jakby przebiegł przez niego prąd.

Zaczął czytać dane z pierwszej kartki.

I nagle zrozumiał, że może znalazł ostatni brakujący fragment.

Cosulich Angelica, córka Daria i Clementiny Baio, urodzona w Trieście szóstego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, zamieszkała... przy ulicy... Schisa Ettore, syn Emanuela i Franceski Baio, urodzony w Vigacie trzynastego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, zamieszkały w Vigacie przy ulicy...

Jeden mały punkt styczny, który w sumie mógł jednak okazać się wyłącznie przypadkowy.

Może Fazio miał rację z tym Schisą.

Spojrzał na zegarek. Już po pierwszej. Za późno na wszystko.

Nagle, od strony morza, ktoś krzyknął:

– Kładź się już spać, komisarzu!

To pewnie jakiś niewidzialny żartowniś na łodzi.

Wstał.

– Dziękuję! Skorzystam z tej rady! – krzyknął w stronę morza.

I poszedł spać.

Telefon obudził go o ósmej rano. Dzwonił Fazio.

– Komisarzu, chciałem tylko powiedzieć, że dzwoniłem do mojego przyjaciela w szpitalu. Pani Cosulich spędziła bardzo dobrą noc i lekarze dziwią się, w jakim tempie wraca do zdrowia.

– Dziękuję, gdzie jesteś?

– W biurze.

– Te dane osobowe, które mi dałeś, to była kopia czy oryginał?

– Kopia, oryginały mam tutaj.

– Miałeś czas, żeby je przejrzeć?

– Nie.

– No to weź się za nie teraz i porównaj dane Cosulich z danymi Schisy.

– O kurwa! – krzyknął Fazio po chwili.

– Teraz, podczas gdy będę się mył i ubierał, wysił swój geniusz adresowy. Jasne?

– Tak jest. Lecę do ratusza.

– Wychodząc, weź od Catarelli artykuł, który przeczytał mi dzisiaj w nocy, i rzuć na niego okiem.

Dwa ekspresy kawy natychmiast postawiły go do pionu. To będzie ciężki dzień. W komisariacie spotkał Fazio.

– Byłem w biurze danych osobowych. Clementina i Francesca były siostrami. To co teraz robimy?

– Teraz działamy według scenariusza. Pojedziemy odwiedzić pana Ettore Schisę.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy nie lepiej zawiadomić wcześniej prokuratora?

– Byłoby lepiej, ale nie chcę tracić czasu. Im szybciej zakończymy tę sprawę, tym lepiej. Masz dyktafon?

– Tak, już po niego idę.

*

Fazio zatrzymał się przed numerem czterdzieści osiem na ulicy Risorgimento.

Czteropiętrowa kamienica była dość zaniedbana.

– Schisa mieszka na drugim – powiedział Fazio.

Weszli w bramę. Nie było portiera ani windy.

Kiedy wchodzili po schodach, Fazio wyjął rewolwer, wsadził go za pasek spodni i zapiął marynarkę. Montalbano spojrzał na niego.

– Niech pan pamięta, że brak mu piątej klepki.

Fazio nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

– Pan Ettore Schisa? – zapytał Montalbano.

– Tak.

Komisarz zdziwił się.

Schisa nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat, a tymczasem stojący przed nimi mężczyzna wyglądał na kogoś dobrze po pięćdziesiątce.

Zaniedbany, w kapciach, z długą brodą, rozczochrany, w niezmiętej od wielu dni koszuli z zatłuszczonym kołnierzykiem.

Oczy mężczyzny błyszczały jak w gorączce albo od narkotyków. A dwie sinawe plamy pod oczami sprawiały, że przypominał kłowna.

– Jestem komisarz Montalbano, a to inspektor Fazio.

– Proszę – powiedział Schisa, przepuszczając ich.

Weszli do mieszkania. Montalbano od razu poczuł, że powietrze jest tu niezdrowe, ciężkie, uniemożliwiające oddychanie. W wielkich pokojach panował wielki bałagan. Idąc w kierunku salonu, Montalbano zauważył na krześle w przedpokoju talerz z resztkami makaronu, leżące na stoliku skarpetki, książki, koszule, kieliszki, brudne filiżanki z resztkami kawy porozrzucane na podłodze. Schisa poprosił ich, żeby usiedli.

Żeby usiąść, Montalbano musiał najpierw zdjąć z krzesła brudne, dziurawe majtki. Fazio z kolei walczył z popielniczką wypełnioną po brzegi niedopałkami.

– Przyszliśmy do pana, aby... – zaczął komisarz.

– Wiem, po co przyszliście – przerwał mu Schisa.

Komisarz i Fazio wymienili szybkie spojrzenia.

Może wszystko okaże się prostsze, niż zakładali.

– Po co? – powiedział Montalbano.

– Mogę nagrywać? – zapytał Fazio.

– Tak, przyszliście w sprawie włamań?

Schisa zapalił papierosa. Montalbano zauważył, że trzęsą mu się dłonie.

– Zgadł pan – powiedział komisarz.

Schisa wstał.

– Nie chcę, żeby tracili panowie czas, proszę łaskawie za mną.

Poszli za gospodarzem.

Zatrzymali się przed drzwiami ostatniego pokoju, do którego wchodziło się z długiego korytarza. Schisa otworzył drzwi, zapalił światło i wszedł.

– Tu jest cały łup. Niczego nie brakuje.

Montalbano i Fazio osłupieli. Tego się nie spodziewali.

– Czyli nie napisał mi pan prawdy? – zapytał komisarz.

– Nie. Cała trójka była sownie opłacana w gotówce po każdym włamaniu. Przedstawiali mi wycenę, a ja im płaciłem. Zrujnowało mnie to, jestem bez grosza.

– Skąd brał pan pieniądze?

– Nigdy bym tyle nie miał z pensji lekarza rodzinnego. Lata temu wygrałem sporą sumę w Totocalcio i wszystko odłożyłem.

– Mogę się rozejrzeć? – zapytał Fazio.

– Proszę.

Fazio wszedł do pokoju i schylając się, oglądał porozrzucone w nieładzie przedmioty. Obrazy stały oparte o ściany.

– Wydaje mi się, że brakuje biżuterii i futer zgłoszonych przez panią Cosulich – powiedział, zakończywszy inspekcję.

– Brakuje, bo nigdy nie zostały skradzione. Nigdy ich nie było, nie istniały – odpowiedział Schisa.

– Czyli tamta kradzież miała tylko w pewien sposób ochronić Cosulich? – zapytał Montalbano.

– Właśnie tak. Możemy już stąd wyjść?

Wrócili do salonu.

– Teraz ja zadaję pytania – powiedział komisarz. – Pan, panie Schisa, wymyślił serię włamań, żeby ukryć jedyną prawdziwą kradzież, która pana interesowała, w domu Pirrery. Co było w jego sejfie?

– Pirrera był podłym lichwiarzem pozbawionym jakichkolwiek skrupułów. Zrujnował wiele rodzin. Łącznie z rodziną moją i Angeliki.

– Dlaczego i pańską?

– Ponieważ mój ojciec i Dario Cosulich ożenili się z siostrami Baio. A mój ojciec był współnikiem Daria w hurtowni tkanin. Wujek Dario zabił żonę i zastrzelił siebie, mój ojciec zmarł na zawał dwa lata później. Od tego czasu myślałem tylko o zemście.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie: co było w sejfie?

– Dwa filmy nakręcone w Super 8. I kilka zdjęć. Kiedy jego ofiary nie miały już więcej pieniędzy, żądał zapłaty w naturze. Na filmach jest z dwiema dziewczynkami, siedmio- i dziewięcioletnią. Chce pan zobaczyć?

– Nie – powiedział Montalbano, krzywiąc się. – Ale jak pan się o nich dowiedział?

– Bo Pirrera uwielbiał pokazywać je tym nieszczęsnym kobietom, które zmuszał do współżycia. Udało mi się odnaleźć jedną z tych kobiet, zapłaciłem jej i otrzymałem oświadczenie na piśmie.

– Kiedy postanowił się pan zemścić?

– Od kiedy umiałem myśleć. Od zawsze, ale nie wiedziałem, jak to zrobić.

– Przyjazd pańskiej kuzynki Angeliki spowodował, że...

– Tak. Sytuacja dojrzała, kiedy Angelica została przeniesiona tutaj. Przegadaliśmy na ten temat całe noce. Ona, na początku, była przeciwna, opierała się, ale potem, stopniowo, udało mi się ją przekonać.

– Jak znaleźliście złodziei?

– Wiedziałem, że Angelica... no że od czasu do czasu spotykała się z...

– Wiem wszystko – uciął Montalbano.

– No więc poradziłem jej, żeby znalazła wśród nich kogoś, kto chciałby... Pewnego dnia natknęła się na właściwą osobę, Angela Tuminello. Tego, którego zranił wasz agent, a wspólnicy zabili.

– Może mi pan podać nazwiska tych dwóch?

– Oczywiście. Salvatore Geloso i Vito Indelicato. Są z Sicudiany. Fazio zapisał sobie nazwiska na kartce.

– A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego ci dwaj strzelali do Cosulich?

– To o wiele bardziej skomplikowana sprawa. Angelica, kiedy przyszedł pan do niej do domu po włamaniu, powiedziała mi, w obecności tych trzech złodziei, że się zaprzyjaźniliście. Starła się ukryć kradzież w willi jej kuzyna.

– Chwileczkę – przerwał Montalbano. – Spotykaliście się tam, żeby obmyślać włamania?

– Tak. Wtedy Tuminello poradził jej, żeby związała się z panem, dzięki czemu wiedzielibyśmy zawczasu o wszystkich pańskich posunięciach.

Fazio wpatrywał się w podłogę, nie ośmielał się nawet podnieść głowy.

– Kiedy powiedział jej pan, że będzie obserwował dom Sciortinów, poradziłem, żeby tam do pana pojechała. Zgodziła się. Ale potem zadzwoniła do nas, mówiąc, że poinformował ją pan o odwołaniu obserwacji. To prawda?

Fazio podniósł głowę i spojrzał na niego.

Montalbano był zaskoczony, ale natychmiast wziął się w garść, podczas gdy w głowie zaczęły mu walić radośnie dwa dzwony.

– Prawda – przyznał.

To była wierutna bzdura, wielka jak ten dom, ale teraz...

– Kiedy cała trójka wpadła w zasadzkę i Tuminello został ranny, tamci dwaj byli pewni, że to Angelica ich zdradziła – ciągnął Schisa.

– Zdanie, które napisał pan w anonimie, o możliwości komplikacji, dotyczyło ewentualnej zdrady Angeliki?

– Tak.

– Czyli pan, tak jak i pańscy współnicy, stracił do niej zaufanie?

– Boże, na początku wcale nie byłem do końca przekonany, potem jednak doszedłem do wniosku, że Angelica nas nie zdradziła. Zadzwoiłem do niej i wydała mi się szczerą. Powiedziałem o tym pozostałym, ale...

– À propos anonimów. W pierwszym liście, którym chciał mnie pan wrobić, nie zdradził pan, do czego tak naprawdę służył pokój w willi kuzyna Angeliki. Dlaczego?

– Nie miałem żadnego interesu w tym, aby zrujnować jej reputację albo narobić kłopotów. Przeciwnie, musiałem ją ochraniać.

Jak w grze Catarelli. Czyli miał rację.

– Proszę mówić dalej.

– Niewiele już mi zostało do powiedzenia. Usiłowałem ich przekonać, że nie mają racji, ale nie udało mi się.

– To pan zadzwonił do mnie, zmieniając głos, aby uprzedzić o śmiertelnym niebezpieczeństwie grożącym Angelice?

– Tak, uznałem, że to dobry pomysł, ale ci kretyni i tak znaleźli sposób, żeby do niej strzelić.

– Pan osobiście brał udział we włamaniu do mieszkania Pirrery?

– Tuminello już wtedy nie żył. Nie mogłem sobie tego odmówić, w przeciwnym razie cała moja praca poszłaby na marne.

– Kiedy wszedł pan w posiadanie filmów i zdjęć, od razu zadzwonił pan do Pirrery?

– Tego samego wieczoru. Powiedziałem mu, że następnego dnia wszystko anonimowo prześlę na komisariat.

– Wiedział pan, jakie będą konsekwencje takiej rozmowy?

– Oczywiście! Liczyłem na to, że się zabije! Nie mogłem się doczekać! Modliłem się o to do Boga! I w końcu ta świnia się zabiła.

Wybuchnął śmiechem.

To było straszne, bo nie mógł przestać.

Tarzał się po podłodze i śmiał, śmiejąc się, walił głową o ściany.

W pewnej chwili zaczął toczyć pianę. Wtedy Fazio wkroczył do akcji. Podszedł do Schisy i wymierzył mu potężnego kopniaka w podbródek. Kiedy mężczyzna upadł zemdłony, Fazio zaczął wydzwaniać po pomoc. Trzeba było przeszukać cały apartament. Zinventaryzować wszystko, czekało ich całe mnóstwo pracy.

– Wezwij może lekarza – poradził Montalbano.

I rzeczywiście. Po odzyskaniu przytomności Schisa ponownie zaczął się śmiać.

Nie mógł ustać na nogach, a kiedy usiłowali go posadzić, osuwał się na ziemię jak kłoda.

Komisarz zdał sobie sprawę, że Schisa chyba już nigdy nie będzie normalny.

Coś w nim pękło. Przez lata zżerało go pragnienie zemsty, a teraz, kiedy osiągnął cel, wszystko, mózg, nerwy, mięśnie, rozpadło się w jego ciele.

Lekarz wezwał karetkę i odjechał z chorym.

Montalbano opuścił mieszkanie dopiero wtedy, kiedy Fazio odnalazł filmy i zdjęcia. Było tam też zdjęcie Angeliki z Schisą, komisarz włożył je do kieszeni.

Wsiadł do auta i pojechał porozmawiać z Tommaseo.

Opowiedział mu wszystko, podkreślając, że odzyskano cały łup, że Schisa był chory psychicznie, że w sumie nikogo nie zabił, że miał powody do zemsty i że całkowicie zdominował Angelicę.

Tommaseo natychmiast wydał nakaz aresztowania Gelosa i Indelicata. Potem zapytał ze smutną miną:

– Jak wygląda ta dziewczyna?

Montalbano wyjął zdjęcie i podał je prokuratorowi.

Tommaseo tracił głowę dla każdej pięknej kobiety. Ale sam nie miał do nich szczęścia.

– Boże mój – powiedział prokurator, śliniąc się gorzej niż Schisa.

Kiedy wrócił do Vigaty, było już po drugiej. Nie chciało mu się jeść, ale odbył swój codzienny spacer w stronę mola.

Teraz, kiedy zrobił już prawie wszystko, co miał do zrobienia, bo brakowało jeszcze najtrudniejszej części, jedna jedyna myśl krążyła mu w głowie.

Ciągle ta sama.

Usiadł na płaskiej skale.

*Czasem stoi na skale, w morze patrząc, ale
I sama skamieniałej jest podobna skale.*

Siedział nieruchomo, pochłonięty tylko jedną myślą.

Angelica mnie nie zdradziła.

I nie mógł zrozumieć, czy ta myśl sprawia mu przyjemność, czy też zadaje ból.

Chciałby nie musieć już nigdy pojawić się w pracy. Tysiącrotnie przeklął swoją pracę gliniarza.

Ale musiał zrobić to, co pozostało do zrobienia.

– Rozmawiałem z lekarzem – powiedział Fazio. – Cosulich można już wręczyć nakaz.

Spojrzał na swojego szefa i powiedział neutralnym tonem:

– Jeśli chce pan tu zostać, to ja sam pojedę.

To byłoby jego ostatnie tchórzostwo.

– Nie, pojedę z tobą.

Przez całą podróż nie zamienili ani słowa.

Fazio dowiedział się o numer pokoju i to on zaprowadził na miejsce poruszającego się jak robot komisarza.

On też otworzył drzwi i wszedł do środka.

Montalbano został na korytarzu.

– Pani Cosulich... – zaczął Fazio.

Montalbano policzył do trzech, zebrał się w sobie i też wszedł do pokoju.

Wezłowie łóżka było lekko podniesione.
Angelica, w masce tlenowej, patrzyła na Fazia.
Kiedy tylko zobaczyła wchodzącego Montalbana, uśmiechnęła się.
Cały pokój pojaśniał.
Komisarz zamknął oczy i zacisnął powieki.
– Angelico Cosulich, jest pani aresztowana – usłyszał głos Fazia.
Zrobił w tył zwrot i uciekł ze szpitala.

NOTA

Jakiś czas temu, w Rzymie, banda włamywaczy okradła wiele mieszkań w sposób opisany w tej powieści.

Całą resztę: nazwiska, nazwy instytucji, fakty, sytuacje, miejsce akcji i wszystko inne wymyśliłem sam i nie ma to żadnego związku z rzeczywistością.

Zakładając, że rzeczywistość należy uznać za wyłączoną z powieści.

Uśmiech Angeliki jest pierwszą książką publikowaną przez Sellerio po śmierci mojej przyjaciółki Elviry.

Elvira zadzwoniła do mnie po przeczytaniu tekstu, wskazując na bardzo poważny błąd, który umknął uwadze zarówno mojej, jak i innych czytających.

Wspominam to tylko po to, aby powiedzieć wam i przypomnieć sobie, z jaką uwagą, pasją i zaangażowaniem Elvira czytała swoich autorów.

A.C.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory
Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY

2007

PIES Z TERAHOTY

2007

ZŁODZIEJ KANAPEK

2007

ZNIKNIĘCIE PATÒ

2004

GŁOS SKRZYPIEC

2008

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO

2008

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO

2009

WYCIECZKA DO TINDARI

2007

ZAPACH NOCY

2008

PIWOWAR Z PRESTON

2008

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO

2009

KOLOR SŁOŃCA

2009

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA
2010

PENSJONAT „EWA”
2010

PAPIEROWY KSIĘŻYC
2011

SZARY KOSTIUM
2011

SIERPNIOWY ŻAR
2012

SKRZYDŁA SFINKSA
2013

SEZON ŁOWIECKI
2014

POLE GARNCARZA
2014

WIEK WĄTPLIWOŚCI
2015

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU
2016

KRÓLOWA POMORZA I INNE HISTORIE Z VIGATY
2016

TANIEC MEWY
2017

POLOWANIE NA SKARB
2018

GRA LUSTER
2019

PRZYPISY

[1] *Orlando furioso*, *Orland szalony*, to najdłuższy europejski epos rycerski, napisany przez Ludovica Ariosta w XVI wieku. Epos opisuje przygody (i nieodwzajemnioną miłość do Angeliki, wschodniej królowny) Orlanda, paladyna króla Franków (przyp. tłum.)

[2] Wszystkie cytaty z: *Orland szalony*, tłum. Piotr Kochanowski, Biblioteka Narodowa, Ossolineum, 1965.

[3] Vincenzo Cardarelli, wiersz *Adolescente*, przekład własny.

[4] Na wyspie Zakintos urodził się inny, sławniejszy Ugo Foscolo, wielki włoski poeta.